



NESTOR

Czasopismo Artystyczne

3(61) 2022

Rok XVI

www.nestor-krasnystaw.eu

ISSN 1898-1801



Gejzer Strokkur - fot. W. Krajewski



Reykjanes – miejsce styku dwóch płyt tektonicznych.



Formacje skalne na półwyspie Reykjanes.



Błękitna Laguna.



Wodospad Skógafoss.



Wulkan Eyjafjallajökull.



Kamienista czarna plaża i klify.



Jökulsárlón – laguna lodowcowa.



Wodospad Gullfoss.

Islandia to kraina lodu i ognia. Krajobrazy jakby z innego świata, a to przecież Europa. Z Polski nie jest tam dalej niż na południe Hiszpanii. Liczne mniej lub bardziej malownicze wodospady, wulkany i powulkaniczne, księżycowe krajobrazy, gejzery i gorące źródła, dymiące obszary geotermalne to na Islandii norma i codzienność.

Kraj zamieszkuje tyle osób, co w Lublinie i Świdniku razem. Połowa ludności skupiona jest w stolicy. Miasta wielkości Krasnegostawu zaliczane są już do dużych. A wszystko to na obszarze 1/3 terenu Polski. Stąd gęstość zaludnienia to zaledwie 3 osoby na kilometr kwadratowy. I to widać. Większość kraju to pustkowia. Życie skupia się na wybrzeżach, a centrum wyspy jest dostępne tylko latem i to samochodem z napędem na cztery koła.

Atrakcji turystycznych jest tam co niemiara. Już samo położenie wyspy pod kołem podbiegunowym sprawia, że latem słońce zachodzi tam grubo po północy, wschodzi dwie godziny później. Zimą jest odwrotnie – dzień trwa zaledwie dwie-trzy godziny. Już samo to jest niezwykłym przeżyciem. Islandia leży na styku dwóch płyt tektonicznych – euroazjatyckiej i północnoamerykańskiej. Na półwyspie Reykjanes można przejść przez most nad rozpadliną między nimi.

Tereny geotermalne są nie tylko źródłem energii. Woda jednej z elektrowni wykorzystujących naturalne ciepło z wnętrza ziemi zasila baseny Błękitnej Laguna. To swego rodzaju spa. Woda w niej ma temperaturę 37°C latem i zimą. Jest bogata w sole, minerały, krzemionkę, co bardzo pomaga w chorobach skóry.

Gorące źródła można obserwować jako gotującą się wodę w pierwszym lepszym zagłębieniu, ale mogą one wytryskiwać jako gejzery. Niektóre z nich wybuchają regularnie co kilka minut na wysokość nawet kilkudziesięciu metrów.

Islandzkie wulkany są ciągle groźne. Wiele problemów w ruchu lotniczym niemal w całej Europie sprawił wybuch Eyjafjallajökull w kwietniu 2010 roku. I pomyśleć, że znajduje się... pod lodowcem. Bo na Islandii wulkanom towarzyszą lodowce. Tak lód i ogień idą w parze. W odległości zaledwie paru godzin jazdy ze stolicy można podziwiać krajobraz ze spływającymi do morza górami lodowymi.

Islandia zaskakuje turystę bogactwem atrakcji. Gdzie spojrzeć, coś niezwykłego, a to tak blisko...

Wiesław Krajewski



Trwa Rok Marszałka Mikołaja Sienickiego w 500-lecie urodzin tego wielkiego parlamentarzysty. O przywódcy konfederacji szlacheckiej w Krasnymstawie pisze Monika Nagowska w drugiej części swojego opracowania. Obok pojawia się interesujący wątek powstania styczniewego na ziemi siennickiej, autorstwa Agnieszki i Edwarda Wierzchosiów. Następnie Józef Adam Dąbek prezentuje poczet duchownych parafii Chłaniów, Arkadiusz Kostecki rusza tropem malarstwa sakralnego Turewiczów, m.in. w kościele w Borowicy, natomiast Lucjan Cimek zwraca uwagę na piękno i architekturę parafii Krupe. Waldemar Seroka zaskakuje istnieniem złotego olimpijczyka z Ostrzycy w powiecie krasnostawskim - Staszka Grędzińskiego.

Nie zabraknie refleksyjnych pielgrzymkowych wspomnień Marty Kafarskiej oraz kapitana pilota Mariana Rybczyńskiego opisującego z młodzieńczą swadą lotnicze przygody. W tej części, tym razem po pióro poety sięgnie regionalista dr Leszek Janeczek, sławiąc absolwentów i Liceum Ogólnokształcące im. Władysława Jagiełły. Obok zaprezentuje swoją twórczość poetycką Mirosław Iwańczyk, który nie rozstaje się z „Nestorem”. Niezmiennie towarzyszy nam tak zwana prasówka dr. Kazimierza Stoleckiego, który co prawda odszedł do wieczności przed rokiem, ale pozostawił dzieła tytanicznej pracy, dzięki czemu możemy nadal odkrywać lokalne dzieje.

Czasopismo artystyczne „Nestor” od dawna patronuje wartościowym wydarzeniom. Dzisiaj prezentujemy prace fotograficzne IV Wojewódzkiego Konkursu Fotograficznego „Leśny Album” organizowanego przez Zespół Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego w Siennicy Różanej. Ciekawą oraz inspirującą lekturą są prace konkursu „Legenda ziemi krasnostawskiej” organizowanego po raz XIX przez Powiatową Bibliotekę Publiczną w Krasnymstawie. Poznamy również wyniki XXV Konkursu Poetyckiego im. Anny Kamieńskiej.

Kilka książek recenzuje Jan Henryk Cichosz, który następnie w zgrabnym eseju oznajmia o mijającym 50-leciu własnej twórczości. Życzymy Ci kolejnych 50 lat, Henryku!

Numer urozmaicają tłumaczenia poetów serbskich w wykonaniu Olgi Lalić-Krowickiej, felieton „Korepetycje dla lekarzy” przygotowany przez dr. Wiesława Krajewskiego oraz refleksyjny wiersz Tadeusza Kicińskiego poświęcony 40-leciu Kabaretu „Czarny Salceson”.

Andrzej David Misiura

Spis treści

Islandia	1
<i>Wiesław Krajewski</i>	
Słowo redaktora	1
<i>Andrzej David Misiura</i>	
O Mikołaju Sienickim w 450 rocznicę krasnostawskiego kaptura – część 2	3
<i>Monika Nagowska</i>	
Mogiłki - powstanie stycziowe 1863-1864 na ziemi siennickiej	6
<i>Edward Wierchoś, Agnieszka Wierchoś-Hilczer</i>	
Kapłani parafii Chłaniów – ciąg dalszy	14
<i>Józef Adam Dąbek</i>	
Na tropie zapomnianego klanu Turewiczów	25
<i>Arkadiusz Kostecki</i>	
Dzieje wsi i parafii Krupie w gminie Krasnystaw	27
<i>Lucjan Cimek</i>	
Powiat krasnostawski na łamach „Głosu Lubelskiego”, pisma lubelskiej Narodowej Demokracji 1937-1939	29
<i>Kazimierz Stolecki</i>	
Poezja - Mirosław Iwańczyk	44
Sennickie Augustynki. Podsumowanie IV Wojewódzkiego Konkursu Fotograficznego im. Augusta Cieszkowskiego „Leśny album”	47
<i>Monika Nagowska</i>	
Prace z XIX powiatowego konkursu „Legendy ziemi krasnostawskiej” organizowanego przez Powiatową Bibliotekę Publiczną w Krasnymstawie	53

Spis treści

Pielgrzymki	66
<i>Marta Kafarska</i>	
Poezja - Leszek Janeczek	69
Psychologia po alkoholu Z cyklu: Dęblińskie przypadki	69
<i>Marian Rybczyński</i>	
Poezja - Dragan Jovanović Danilov	79
Fronczka anioły, diabły i kobiety	81
<i>Jan Henryk Cichosz</i>	
Wystawiła wilgotny język	81
<i>Jan Henryk Cichosz</i>	
Między szeptem a krzykiem Ochwanowskiego	82
<i>Jan Henryk Cichosz</i>	
Protokół XXV Konkursu Poetyckiego im. Anny Kamińskiej	83
Z wypowiedzi jurora	85
<i>Marcin Jurzysta</i>	
Sam na sam z sobą, na moje 50-lecie pracy twórczej ..	87
<i>Jan Henryk Cichosz</i>	
Meteor	89
<i>Waldemar Seroka</i>	
Poezja - Milan R. Simić	89
Korepetycje dla lekarzy	93
<i>Wiesław Krajewski</i>	
Poezja - Tadeusz Kiciński	100

Składamy serdeczne podziękowania za wsparcie finansowe Pani Barbarze Rusinek-Zdun, Panu Mirosławowi Iwańczykowi oraz anonimowemu darczyńcy. Łącznie na niniejsze wydanie otrzymaliśmy 650 złotych. Obecnie wyczerpane zostały wszystkie środki na rok 2022, na co znaczący wpływ miały podwyżki cen papieru, matryc i innych materiałów drukarskich. Od hojności Państwa oraz lokalnych wódatarzy zależy, czy wydany zostanie kolejny – ostatni tegoroczny numer.

Darowizny na opłacenie usług drukarskich prosimy kierować na subkonto przy Powiatowej Bibliotece Publicznej: Bank Spółdzielczy w Krasnymstawie **25 8200 0008 2001 0012 4067 0004**. W tytule przekazu należy wpisać: Nestor. W imieniu czytelników, dziękujemy za każdą wpłatę – Zespół redakcyjny.



NR 3 (61) 2022 – ROK XVI NESTOR Czasopismo Artystyczne
Wersja elektroniczna: www.nestor-krasnystaw.eu

Wydawca archiwalnych numerów 1 - 20:
Oficyna Wydawnicza ELIPSA – Andrzej Misiura

Wydawca numerów 21 - 31:
Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR
Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie

Wydawca aktualny:
Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR
Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie
Urząd Miasta Krasnystaw

Redaktor odpowiedzialny: Andrzej David Misiura

Adres redakcji: andrzejdavidmisiura@gmail.com

Montaż elektroniczny: Paweł Piłat

Druk: Wydawnictwo „ROMAR”, ul. Poniatowskiego 20, 22-300 Krasnystaw

Redagują:

Andrzej David Misiura (redaktor naczelny)
Tadeusz Andrzej Kiciński (z-ca redaktora naczelnego)
Wiesław Krajewski (sekretarz redakcji)
Paweł Piłat (skład i lamowanie)

Stale współpracują:

Zbigniew Atras (Krasnystaw)
Jan Henryk Cichosz (Krasnystaw)
Lucjan Cimek (Krasnystaw)
Leszek Janeczek (Krasnystaw)
Ewa Magdziarz (Krasnystaw)
Monika Nagowska (Krasnystaw)
Henryk Radej (Chelme)
Elżbieta Szadura-Urbańska (Warszawa)
Agnieszka Szykuła-Zygawska (Zamość)

Redakcja nie zwraca materiałów niewykorzystanych.
Zastrzegę sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów.
Nestor redagowany jest pro publico bono.
Autorzy również nie otrzymują honorariów.

Monika Nagowska

Mikołaj Sienickim w 450 rocznicę krasnostawskiego kaptura – część 2



W obliczu bezkrólewia, jakie zapanowało w 1572 r., po śmierci Zygmunta Augusta, szlachta ziemi chełmskiej 17 lipca zawiązała konfederację w Krasnymstawie i ustaliła, jak zapewnić porządek prawny i bezpieczeństwo w regionie. Było to pierwszy sąd kapturowy na ziemiach polskich w tym czasie. W laudum, czyli sejmikowej uchwale, wymieniono obecnych podczas tego doniosłego wydarzenia. Byli to: Aleksander Łaszcz (starosta chełmski), Mikołaj Sienicki (podkomorzy chełmski), Stanisław Orzechowski (podchorąży chełmski), Jakub Snopkowski (wojski chełmski), Piotr Gorzkowski (sędzia ziemski chełmski), Andrzej Żuliński, Andrzej Hański, Jan Wołczek, Adam Gorajski, Wacław Uhrowiecki, Jan Łaszcz (podkomorzy bełski), Mikołaj Rej, Mikołaj Grabia, Bronisław Grabia, Aleksander Drohiczański, Tomasz Drzemlik, Paweł Żółkiewski Radwan, Jakub Gorzkowski, Jan Sarnicki, Jan Romanowski, Stanisław z Koniecpola (podkomorzy sieradzki), Tomasz Stano, Zygmunt Wereszczyński, Paweł Żuliński, Mikołaj Sarnicki, Sebastian Latyczyński, Jan Latyczyński, Trojan Orchowski i Wawrzyniec Krzywczycki. Zapewnienie porządku prawnego i bezpieczeństwa było konieczne, by zacząć myśleć o wyborze nowego króla. Wyznaczenie miejsca i czasu elekcji należało do prymasa Jakuba Uchańskiego, choć nie wszyscy zgadzali się, by to on podejmował decyzję w tej sprawie. Jednym z oponentów był wojewoda krakowski Jan Firlej, który zwołał konkurencyjny zjazd senatorów w Knyszynie. Szlachta ziemi chełmskiej wydelegowała więc na ów zjazd Mikołaja Sienickiego.

Sienicki stanął się w Knyszynie i przebywał tam z całą pewnością od 24 do 31 sierpnia. Szlachta nie została oficjalnie zaproszona na zjazd senatorski, ale dla dobra Rzeczypospolitej postanowiono wysłuchać przedstawicieli rycerstwa. Prawdopodobnie Sienicki – stojący na czele delegacji – przybył do Knyszyna już 10 sierpnia, czyli na czas, kiedy zwołano zjazd, nie wiedząc o przesunięciu terminu. Opóźnienie obrad wynikało z

zamieszania, jakie wprowadziły zjazdy w Łowiczu i Krakowie – żądano potwierdzenia uchwał, czekano na przybycie wszystkich senatorów (zjazd zbojkotowało wielu senatorów wielkopolskich), zaostrzał się spór między Uchańskim a Firlejem. Zjazd rozpoczął się w niedzielę od oddania hołdu zmarłemu królowi. Knyszyn wskazany przez marszałka koronnego jako miejsce zjazdu senatorów miał więc znaczenie symboliczne, Firlej wygłosił tego pierwszego dnia mowę żałobną. W Knyszynie spoczywało ciało króla, który schronił się w tamtejszym zamku przed epidemią dżumy – zmarł prawdopodobnie na suchoty, choć pod koniec życia był już bardzo schorowanym człowiekiem i miał liczne dolegliwości. Znamienne, że również uczestnicy zjazdu w obawie przed dżumą, już w poniedziałek 25 sierpnia opuścili Knyszyn i obradowali poza miastem w namiocie przywiezionym przez marszałka litewskiego Jana Chodkiewicza. Litwini utrzymywali nawet, że to oni są organizatorami zjazdu, gdyż Knyszyn leży na Podlasiu, które przed unią należało do Wielkiego Księstwa Litewskiego. Domagali się zwrotu tych ziem. Niebagatelne znaczenie w kontekście wyboru miejsca zjazdu miała też możliwość przejęcia skarbu królewskiego i testamentu. Skarb przechowywany był w dwóch skrzyniach zawierających 50 000 i 21 000 złp¹. Do ich otwarcia nie chcieli dopuścić królewscy dworzanie i na tym tle doszło do sporów. W obliczu zbliżającej się do Knyszyna zarazy, senatorowie nie chcieli dopuścić, by ciało króla zostało opuszczone przez uciekających dworzan. Z tego też względu postanowiono przenieść je do Tykocina. W późniejszym czasie królewska trumna wędrowała ówczesnym zwyczajem po kraju, by ostatecznie znaleźć miejsce w Krakowie.

To właśnie z Knyszyna pochodzi jedyna zachowana mowa Sienickiego z okresu bezkrólewia, wygłoszona 27 sierpnia. Dokładny opis zjazdu w Knyszynie znany jest nie tylko z „Dziennika zjazdu knyszynskiego”, ale też z „Kroniki za Zyg-

¹ Mniejsza kwota została przeznaczona na zjeździe w Knyszynie na cele obronne, a większa pozostała nienaruszona. Dopiero po tych ustaleniach rozpoczęła się debata. Szczegóły na ten temat – Sebastian Adamkiewicz: *U wezglowia króla. Opis zjazdu w Knyszynie z sierpnia 1572 r.* Dostępny w Internecie: <https://histmag.org/U-wezglowia-krola.-Opis-zjazdu-w-Knyszynie-z-sierpnia-1572-r.-1082>.

munta Augusta w Knyszynie zmarłego roku 1572". XIX-wieczna kopia kroniki znajduje się w zbiorach Biblioteki Raczyńskich². Stąd wiadomo czego dotyczyło wystąpienie Sienickiego, gdyż kronikarz przytoczył ją „in extenso”, czyli w całości. Stał się Sienicki dzięki temu bohaterem kroniki, której zapis świadczy o tym *jak wytrawny szlachecki polityk odslania retoryczne zwodzenie szlachty przez senatorów, oskarżając magnatów o próby odsunięcia obywateli od informacji*³.

Początkowo delegacja posłów w ogóle nie była dopuszczana do udziału w obradach – Sienicki wystąpił na forum dopiero 27 sierpnia. Na początku przemowy Mikołaj Sienicki wyraził żal z powodu śmierci króla, ale nie poprzestał na tym i od razu wskazał niebezpieczeństwa, jakie pojawiły się wraz z opustoszeniem polskiego tronu: *Teraz wszyscy na nas oczy przedarli, miasto przyjaciół, pełno zjeżdżają, jako by nas opanowali. I nam wszystko pana naszego z śmiercią przypadło, który obżalować każdy umie, ale jako niebezpieczeństwom zabiec, nie widzimy, aby kto przemyślał*⁴. Sienicki bez ogródek zarzucał senatorom zaniechania lub brak umiejętności sprostania tym trudnym wyzwaniom, bo choć odbywały się zjazdy, to w rozbiciu, bez współdziałania i bez efektu: *jedni tam, drudzy tu i wszystko różnie jedni o drugich*⁵. W obliczu braku właściwych działań, bezwładu, rozprężenia i postępującego bezprawia – szlachta musiała wziąć sprawy w swoje ręce i zawiązywać lokalne konfederacje, takie jak w Krasnymstawie. Zabezpieczono w ten sposób porządek prawny w regionie, „pograniczną obronę” i zamki. Sienicki nie omieszczał też wspomnieć o opóźnieniu obrad, podkreślił, że rycerstwo „ochotnie biegało”, a następnie czekało w związku z opóźnieniem. Zaniepokoił się niepełnym składem senatu, ale ponieważ delegacja zobowiązana została przez „brać swą” i przez nią wyprawiona – pozostało prze-

kazać senatorom, że rycerstwo ofiarowuje chęć współdziałania. Sienicki uczynił to mimo dotychczasowych prób lekceważenia i odsunięcia szlachty, przejawiających się brakiem wieści o zwoływanych zjazdach i o królewskiej śmierci. Fakty te nie zostały przecież braci szlacheckiej oficjalnie obwieszczone, co z sarkazmem zaznaczył mówca: *Iedwieśmy się tu od furmanów o niej dowiedzieli*⁶.

Po wypunktowaniu tego, co złe – był wszak Sienicki w pełni świadomym uczestnikiem ówczesnego życia politycznego – mówca pojednawczo (i przewrotnie) stwierdził, że w związku z potrzebami Rzeczypospolitej nie chce rycerstwo „expostulować”, czyli skarżyć się i wypominać. Skupił się na konkretnych kwestiach, takich jak: opłacenie żołnierzy w obronie pogranicznej, zabezpieczenie zamków, działalność dyplomatyczna, konieczność odprawienia posłów zagranicznych, wyznaczenie miejsca i czasu elekcji, a także potrzeba zgody między senatorami i współdziałania ich ze szlachtą. Zapewnieniem obrony i opłaceniem wojska zajęła się już część bogatszej szlachty w obawie przed zewnętrzną napaścią. Środki na ten cel powinny jednak pochodzić nie z prywatnych zasobów szlachty, lecz ze skarbu królewskiego, a wobec śmierci władcy – ze skarbu państwa. Mówca prosił przy tym nie tylko o zwrot poniesionych kosztów, ale też o opłacenie żołnierzy na kolejne pół roku. Sienicki poruszył też kwestię zabezpieczenia zamków – które zostały porzucone lub wymagają doposażenia. Ponieważ łatwo stać się mogły łupem nieprzyjaciół – choćby wobec groźby najazdu tatarskiego – konieczne stało się ich „opatrzenie”. Szlachecki mówca wprost wskazał na Lwów, Przemyśl, Żydaczów, Bar i Halicz. Następnie podpowiadał, by wzmocnić zabiegi dyplomatyczne i dla uspokojenia sytuacji w kraju (zwłaszcza na czas elekcji) wysłać do państw sąsiednich listy i posłów z zapewnieniem życzliwości i sojuszy „które z dawna są”. Posłowie ci mieliby przypomnieć o wartości dobrosąsiedzkich stosunków i uprzedzić ewentualne nieprzyjemne zamierzenia. Dotyczyło to zwłaszcza cesarza – obrażonego z powodu odsunięcia przez polskiego króla jego siostry Katarzyny – oraz książąt „powinnych przyległych i konfederat” (powinowatych i sprzymierzonych). Zalecał Sienicki

² Krzysztof Koehler: *Kronika za Zygmunta Augusta w Knyszynie zmarłego roku 1572: zapomniany tekst z dziejów pierwszego bezkrólewia*. [w:] *Literatura renesansowa w Polsce i Europie: studia dedykowane Profesorowi Andrzejowi Borowskiemu*. Red. Jakub Niedźwiedz. Kraków: Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2016, ss. 482-503.

³ *Kronika za Zygmunta Augusta...* op. cit., s. 27.

⁴ Ibidem, s. 81.

⁵ Ibidem.

⁶ Ibidem, s. 82.

senatorom wysłanie poselstw do Turków, Tatarów i Rosjan, aby zapewnić sobie spokój z ich strony, który to spokój nie był zbyt pewny wobec kryzysu politycznego w Rzeczypospolitej. Co więcej, za równie ważne uznał odprawienie z kraju posłów cudzoziemskich, którzy mogliby ingerować w przebieg elekcji. Wymienił przy tym ks. kardynała Giovanniego Francesco Commendonę i prosił senatorów o oddalenie postronnych osób, dodając stanowczo, że bez spełnienia tego warunku szlachta do elekcji nie przystąpi.

Tak kolejno przedstawiając szlacheckie postulaty, Sienicki w swojej przemowie doszedł do kwestii zasadniczej – ustalenia czasu i miejsca elekcji. Zaznaczył, że delegaci nie chcą koła senatorskiemu przeszkadzać w obradach, ale „upominają i proszą”, by czasu *interregnum* nie przedłużać, gdyż posłowie obcych państw prowadzą swoją agitację, a przy granicach zbierają się obce wojska. Za podstawę porozumienia w tej kwestii uznał Sienicki zjednoczenie wysiłków senatorów „wszech krajów” w Rzeczypospolitej. W tym okresie rozłam panował również w samym senacie i nie było zgody co do wyboru nowego króla. Niebezpieczeństwo wynikające z przedłużającego się bezkrólewia bardzo dobrze rozumiał Mikołaj Sienicki: *przeto powtarzamy i prosimy, abyście W.M. w zgodzie między sobą i tu i gdzie indziej odprawowali wszystko, a zwłaszcza sejm ten electionis wszyscy zgodnie złożyli, bo jeśli nam młodszym W.M. zły przykład z siebie niezgody poda, łatwo nas w nie zaprawicie, a wie to Bóg jeśli je zahamujecie. [...] boć to ludzi bardzo obraża, że jedni bez drugich zjazdu czynicie, na nich stanowicie*⁷. Ta wypowiedź jasno dowodzi, dlaczego Sienicki wchodził podczas sejmów w spory z senatorami. Wypowiadał się bowiem bezpardonowo, domagając się – jak zawsze – rzetelnego wypełniania obowiązków. Na koniec zaś pozwolił sobie na pewną uszczypliwość, wypominając wydarzenia dnia poprzedniego, czyli otwarcie skrzynek królewskich i szukanie testamentu Zygmunta Augusta: *wczorajsze W.M. sprzętu pańskiego wynajdywanie, testamentów się dowiadywanie w podziw nam było, żeście ją nobis exclusis [z łac. wykluczając nas] odprawować zaczęli*. W tym kontekście mocno wybrzmiały sło-



Fragm. mapy Waclawa Grodeckiego „Poloniae Lithuaniaeque descriptio” z Knyszynem, Tykocinem i Krasnymstawem (Antwerpia 1609), międzyoryt ręcznie kolorowany ze zbiorów Biblioteki Narodowej (źródło: <https://polona.pl/item/polinae-lithuaniae-litvaniae-descriptio,MTCzMTk5MjU/0/#info:metadata>).

wa zamykające wystąpienie Sienickiego – prośba o informowanie rycerstwa o sprawach „koronnych” (dotyczących państwa). Za przemowę podziękował nowy biskup krakowski Franciszek Krasiński, pochwalił przy tym odpowiedzialne postępowanie szlachty. Trudno by w Knyszynie zachowano się mniej uprzejmie wobec posłów szlacheckich, skoro wieść się rozniosła, że ze zjazdu w Łowiczu szlachtę „wyganiano” i zostało to bardzo źle przyjęte. Nad zgłoszonymi postulatami senatorowie obradowali w dalszej części zjazdu i nawet ustalono miejsce elekcji – między Lublinem a Bystrzycą. Co prawda pierwotnie wskazywano Lublin, z uwagi na to, że był wolny od morowego powietrza, ale panowie litewscy nie chcieli się zgodzić na to miasto, gdyż kojarzyło im się ono z utratą ziem, jaka nastąpiła w związku z unią 1569 r. Wyznaczono też termin na 13 października 1572 r.

⁷ Ibidem, s. 85.

Aby rzecz cała doszła do skutku, konieczne było porozumienie ze szlachtą wielkopolską. W ostatnim dniu sierpnia obecni na zjeździe możnowładcy wystosowali do senatorów wielkopolskich „List Rad w Knyszynie do Rad wielkopolski”, w którym informowano o ustaleniach zjazdu i planowanej dacie elekcji. Z listem tym oraz stosownym pełnomocnictwem wydelegowano... Mikołaja Sienickiego. Zamiast wrócić do domu, wyruszył więc w podróż z bardzo trudną misją.

Monika Nagowska

Bibliografia:

Akta sejmikowe ziemi chełmskiej 1572-1668. Oprac. Wiesław Bondyra, Henryk Gmiterek, Jerzy Ternes. Lublin: Wydawnictwo UMCS, 2013.

Dubas-Urwanowicz Ewa: Bezkrólewie – czas integracji czy podziałów. „Przegląd Historyczny” 1994 nr 1-2/85, ss. 35-43.

Dubas-Urwanowicz Ewa: Koronne zjazdy szlacheckie w dwóch pierwszych bezkrólewicach po śmierci Zygmunta Augusta. Białystok: Wydawnictwo Uniwersytetu w Białymstoku, 1998.

Dubas-Urwanowicz Ewa: Królestwo bez króla? Kompetencje monarsze w dwóch pierwszych bezkrólewicach po śmierci Zygmunta Augusta. „Przegląd Historyczny” 2002 nr 2/93, ss. 145-158.

Grzybowski Stanisław: Mikołaj Sienicki – Demostenes sejmów polskich. „Odrodzenie i Reformacja w Polsce”, t. II, 1957, ss. 91-132.

Koehler Krzysztof: Kronika za Zygmunta Augusta w Knyszynie zmarłego roku 1572: zapomniany tekst z dziejów pierwszego bezkrólewia. [w:] Literatura renesansowa w Polsce i Europie: studia dedykowane Profesorowi Andrzejowi Borowskiemu. Red. Jakub Niedźwiedz. Kraków: Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2016, ss. 482-503.

Kronika za Zygmunta Augusta w Knyszynie zmarłego roku 1572: i inne dokumenty polityczne z czasów pierwszego bezkrólewia. Vol. 1: od lipca 1572 do marca 1573. Wstęp i oprac. Krzysztof Koehler. Kraków: Akademia Ignatianum, Wydawnictwo WAM, 2016.

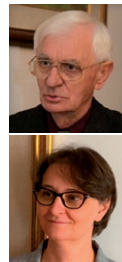
Płaza Stanisław: Wielkie bezkrólewia. Kraków: Krajowa Agencja Wydawnicza, 1988.

Sucheni-Grabowska A.: Sienicki Mikołaj. [w:] Polski Słownik Biograficzny, t. XXXVII, Kraków: Polska Akademia Nauk, 1996-1997, ss. 155-162.

Edward Wierchoś
Agnieszka Wierchoś-Hilczer

Mogilki - powstanie styczniowe 1863-1864 na ziemi siennickiej

Historia est magistra vitae.
(Historia jest nauczycielką życia).



Zacytowaliśmy powyższą łacińską maksymę Cycerona, aby potwierdzić, że wspomnienia czasu zaborów, przeżycia okresu dwu wojen światowych, zdobycie niepodległości, budowa odrodzonej Ojczyzny oraz opowieści historyczne przekazywane nam przez rodziców, dziadków, kuzynów pozostały w nas - ich dzieciach i wnukach. Potwierdzić, że są one częścią naszego wychowania historycznego wyniesionego z rodzinnego domu. Potwierdzić też, że stały się one również patriotycznym niepisany przekazem danym nam przez dobrych, uczciwych, pracowitych ludzi obdarzonych przyjaźnią sąsiadów żyjących przed kilkudziesięciu laty na tej ich oraz wciąż naszej Małej Ojczyźnie, jaką jest ziemia siennicka.

W roku 2023 minie 160 lat od wybuchu powstania styczniowego w Królestwie Polskim na Litwie i Rusi. Powstania, które zapisało się 764 zwycięstwami, a także porażkami w Królestwie Polskim, 145 w historii województwa lubelskiego oraz 41 w powiecie Krasnystaw („obwodzie Krasnystaw”), na terenie którego pierwszą bitwę stoczono 23 stycznia 1863 roku pod Małą Bukową, zaś ostatnią 4 maja 1864 roku pod Krasnymstawem.

Ziemia siennicka to w tamtych latach tereny parafii rzymskokatolickiej, która bardzo dokładnie pod względem powierzchni i zamieszkałej ludności została udokumentowana w „Catalogus Universi Cleri Saecularis et Regularis Dioecesis Lublinensis An. Dni. 1870. Lublin. Typis Ladislai Kossakowski”¹. Parafię Siennica Różana w dekanacie Krasnystaw tworzyły miejscowości: *Siennica Różana, Siennica Królewska, kolonia Borkowice, Wola Siennicka, Złomica, Majdan Zdzański, Zagroda, Zdzańca, Kwoczka, Wierzchowiny, kolonia Stujfo*. Zamieszkiwało ją wówczas: 1991 osób wyznania

¹ <https://fbc.pionier.net.pl/details/nnVpvfw>.

rzymskokatolickiego, 800 grekokatolickiego i 40 Żydów. Był to administracyjnie powiat Krasnystaw w guberni lubelskiej.

W obecnej gminie Siennica Różana opisana została w szczegółach jedna zwycięska bitwa na południowym skłonie pól przynależnych od północnego wschodu do wsi Wierzchowiny i Żdzanne. Były to tereny podobne jakby do „wielkiej polany”, opasanej brzegami tzw. Lasu Rządowego i obecnie Sośniny od zachodu, północy i wschodu, oraz zabudową tych dwu wiosek od południa, przeciętej przebiegającym traktem łączącym Krasnystaw z Chełmem. Należy wspomnieć, że miejsce to leżało też nad źródłami i występującymi wówczas znacznymi rozlewiskami rzeki Siennica (mapa 1).



Mapa 1. Tereny bitwy pod Chełmem, Pokrówką, Deputydami, Wierzchowinami i Żdzannem, 5.8.1863 r.

Korzystając z zasobów cyfrowych Biblioteki Uniwersyteckiej im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku, dokumentuję ten opis zamieszczonym powyżej fragmentem mapy Królestwa Polskiego (kol. VII, sek. VIII), wydanej w roku 1843 w Petersburgu na potrzeby armii carskiej. Mapę opracowaną w Kwatermistrzostwie Generalnym WP w latach 1822-1831 przez polskich topografów pracujących wcześniej na rzecz wojsk napoleońskich.

Przebieg tej krwawej, bitwy szczególnie zrelacjonowanej przez Stanisława Zielińskiego, bibliotekarza Muzeum Narodowego w Rapperswilu w książce pt. „Bitwy i potyczki 1863-1864”². Na podstawie materiałów drukowanych i rękopiśmiennych Muzeum Narodowego w Rapperswilu w roku 1913 dostępnych w Wielkopolskiej Bibliotece Cyfrowej, w oryginalnym zapisie ze stron 98-99 przytaczamy w oryginale poniżej.

Oprócz Wierzchowin i Żdzannego z parafii Siennica Różana nie są wymieniane inne miejscowości, przy czym Żdzanne wspomniane jest po raz drugi przy opisie dekoncentracji oddziałów powstańczych 2.11.1863 r. pod Mołoduszynem (stro- na 108). Oto *Rucki zamiast dojść do Zdzannej jak miał przepisane, stanął w Chełmie a dowiedziawszy się o zbliżaniu się moskali cofnął się na dawne stanowisko.*

Województwo Lubelskie.

5. 8. 63. Deputydże, L., ob. krasnostawski; 8 km. ptd. od Chełma (Deputaty, Dubienka, Chełm, Pokrowka, Zdanne, Wierzchowiny).

Świeżo utworzony przez Cieszkowskiego (Ćwieka) oddział w połączeniu z oddziałem po Czachowskim, dowodzonym przez majora Eminowicza, zanocowawszy w Stawie, wyruszył wraz z oddziałem R u c k i e g o, który ze Święcicy nadciągnął i o godzinie 8. zajęł Chełm. Ponieważ doniesiono, że moskale zbliżają się od Krasnostawu, Uściługa, Włodawy i Dubienki, niepodobna było trzymać się w Chełmie, wobec niebezpieczeństwa zupełnego obsaczenia. O godzinie 10. rano dano znać, że nieprzyjaciel w sile 1 roty liniowej i seciny kozaków zbliża się do Deputydż. Natychmiast sformowawszy się, ruszyli powstańcy do Pokrówki i tuż za tą wsią rozpoczął się bój tyralierski o godz. 1/2 11. przed południem. Moskale cofnęli się na wzgórek krzaczasty, powstańcy zaś rozstawili się w taki sposób: cały oddział Eminowicza w pierwszej linii, to jest jedna kompania strzelców pod kapitanem Rudowskim na prawem, druga pod p.o. kapitana Gromejką na lewem skrzydle, kosynierzy pod p.o. kapitana Sztokiem we środku; prócz tego stał w pierwszej linii na lewem skrzyd-

² S. Zieliński, *Bitwy i potyczki 1863-1864 oraz spis alfabetyczny i chronologiczny bitew i potyczek 1863-1864*, Graf.ika 2019.

le, do zajęcia Moskwy tyłu przeznaczony, oddział naczelnika Ćwieka. Karabinierzy w drugiej linii stanowili rezerwę tegoż skrzydła, cały zaś oddział Ruckiego tworzył drugą linię dla środka i skrzydła prawego. Pierwszy moment boju udał się przez śmiałe postępowanie tyralierów. Moskale opuścili wzgórek, cofnęli się do karczmy deputyckiej Poczekajka, dominującej nad prawym skrzydłem powstańców, a dominowanej przez lewe skrzydło i środek, gdyż powstańcy zaraz wzgórek krzaczasty zajęli. Moment drugi stanowiło wyparcie moskali z korzystnej pozycji pod karczmą. Prawe skrzydło tyralierów śmiało podsunęło się pod górę i zajęło wiatrak, równocześnie armatka Eminowicza, dawszy 3 razy ognia, zmusiła nieprzyjaciela do cofnięcia się do Deputyck po półtoragodzinnej walce, w której ludzie Gromejki i Ćwieka w pierwszej, karabinierzy zaś w drugiej linii oraz kapitan Rudawski, dobrze się sprawili, tylko oddział strzelców Ruckiego w tyralierzy rozsypany, tyralierów innych oddziałów ogniem raził. W Deputyckach moskale na nowo się usadowili, ale wnet powstańcy wieś zajęli i nieprzyjaciel ponownie ze swej pozycji wyparty, nie zajął nawet pobliskiego lasu, tylko pędem uchodził ku Wierchowinom. Za lasem armatka, dobrze ustawiona, poraz drugi przyczyniła się do kompletnej ucieczki moskali, których ścigano poza Wierchowiny aż do Zdanych. Z powodu bliskości Krasnogostawu dalszego pościgu zaniechano i wrócono do Deputyck. – W tej walce stracili moskale 23 zabitych i kilkudziesięciu rannych. Polacy zaś 11 zabitych, ale rannych około stu, gdyż strzelając rozsypani, najwięcej sami siebie kaleczyli. Mimo wszystko, udało się Buchnerowi uratować cały tabor. Po bitwie Ćwiek i Eminowicz, poróżnieni z Ruckim z powodu strat poniesionych przez ogień tyralierów Ruckiego, ruszyli w Krasnostawskie, podczas gdy Rucki pozostał w Chełmskiem.

Bój pod Deputyckami trwał od 10. rano do 4. po południu. Odznaczyli się w oddziale Ćwieka: major Adolf Murdelio, kap. Roman Krasucki, adj. kap. Matkowski Julian i p.o. adjutanta Zakrzewski, podpor.: Korczyński Franciszek, Jaruszewski Wilhelm, Babicki Stanisław i Muszalski Zygmunt; od zuawów Żukow-kowski Aleksander, Żebrowski Julian; od strzelców Ignacy Chojnowski, Ludwik Zaremba, Antoni Godziszewski; od kosynierów

Wojciech Czajkowski. Z oddziału Eminowicza: Rudowski, Gromejko, p.o. adjutanta Rusiecki Henryk, podpor. Samborski, Dr. medycyny Henryk Kościeszka, który dopełniwszy obowiązków żołnierza, opatrywał rannych, za co mianowany na placu boju p.o. podporucznika, podof. Jan Ożarowski z kawalerii, który, znudzony beczynnością jazdy, uwijał się ciągle przed łańcuchem tyralierskim, zagrzewając do boju, trębacz Wojciech Gawrył, który nie odstępując łańcucha, wciążył trąbę do ataku; podoficer Bogumił Becker, Telesfor Szczerba, Gustaw Herman, Antoni Nowakowski, Andrzej Kadier, Stanisław Ochyriski, Dr. Grzybowski i ks. kapelan Pleszyński; lekarz i kapelan z zaszczytnym poświęceniem, dopełniwszy obowiązki żołnierza, jeden opatrywał rannych, drugi z pociechą szedł im duchową. Z oddziału majora Ruckiego: szef sztabu Białobłocki, kapitan Kulczycki, Zielonka, Witkowski, Kotowski Leon, Krasnowolski, adj. Piotrowski, Siniewicz podpor. 2-go plutonu jazdy, któremu Rucki podczas walki polecił pełnienie obowiązków adjutanta, Bronisław Zbyszewski, Jan Lipski, rotm. Niedźwiedzki, Hiketta, porucz. Otto, Jost, chorąży Majewski, podoficerowie: Klein, Gołębiowski, Djańczyński, Ruciński, Dymowski, Sienkiewicz, Dutkiewicz, Charaszewski. Szulakowski, Niemcewicz, wachm. Żebrowski, szeregowcy: Łaniewski, Grzesicki. awansowany na podporucznika, Kowalski, Strudzicki, Czajkowski, Tomaszewski, Gałęzowski, Depczyński, Sieszycki, Dmochowski. Wśród rannych byli: podporucznik Korczyński i Kaczorowski, wśród poległych Lipski, dow. kawalerii i Józef Turczynowicz, były organizator pow. piotrkowskiego³.

W tej zwycięskiej bitwie brały udział oddziały trzech dowódców, tj. Kajetana Cieszkowskiego – Ćwieka, którego ojciec Ignacy był rodzonym bratem Pawła Cieszkowskiego z Surhowa, ojca Augusta Cieszkowskiego patrona Zespołu Szkół Kształcenia Rolniczego w Siennicy Różanej. Była to pierwsza powstańcza bitwa oddziału Ćwieka. Tzw. „Ćwieki” pod dowództwem Kajetana brały udział jeszcze w kolejnych szesnastu bitwach i potyczkach powstańczych stoczonych od 5. 8.1863 roku

³ S. Zieliński, *Bitwy i potyczki 1863-1864; na podstawie materiałów drukowanych i rękopiśmiennych Muzeum Narodowego w Rapperswilu* (<https://www.wbc.poznan.pl/dlibra/publication/50260/edition/66792/content>).

do 21.1.1864 roku. Kajetan Cieszkowski – Ćwiek, jako dowódca V oddziału Wojsk Narodowych zmarł w Krakowie 5.7.1877 roku i został pochowany na cmentarzu Rakowickim (fot. 1).

Nie mniej znakomitymi dowódcami swych oddziałów byli dwaj pozostali uczestnicy bitwy pod Wierzchwinami i Żdżannem. Józef Rucki brał udział w szesnastu bitwach stoczonych od 28.4.1863 r. do 2.11.1863 r., bój pod Wierzchwinami i Żdżannem był dziesiątym. Zaś Władysław Eminowicz ze swym oddziałem stoczył od 4.5.1863 do 22.2.1864 roku sześć bitew.

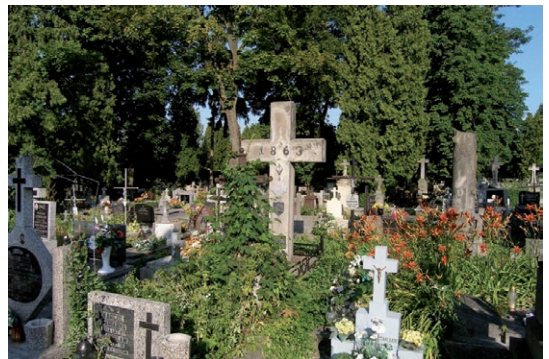


Fot. 1. Płyta nagrobna Kajetana Cieszkowskiego – Ćwieka. Cmentarz Rakowicki w Krakowie (kwatera KC). (fot. A. Kornecka, https://www.rmf24.pl/fakty/polska/news-zachowywanie-pamieci-spacer-po-cmentarzu-rakowickim-w-krakow,nld,5615217#crp_state=1).

Poległych powstańców w „bitwie pod Deputycznymi”, tak ją bowiem utrwalono w przekazie historycznym, pochowano w jednym lub kilku trudnych obecnie do ustalenia miejscach, gdyż nie została dokładnie określona ich liczba. Zieliński podaje co prawda, że było ich tylko 11 i około 100 rannych, lecz w „Przypisach i źródłach” w odsyłaczu Deputycze 5.8 L pisze, że: *Ćwiek podał liczbę 14 zabitych i 30 rannych, a Rucki 12 zabitych i 60*

*rannych*⁴. Wobec tych rozbieżności, autor skłania się, aby straty powstańców właściwiej byłoby oszacować liczbą uzyskaną po zsumowaniu tych danych raportowanych przez obu dowódców.

Najbardziej dokładny zapis miejsca pochówku zamieszczony jest w dokumentach cmentarza przy ul. Lwowskiej w Chełmie, gdzie znajduje się jedna z mogił powstańczych. *Akt zgonów nr 52 z 5 sierpnia 1863 podaje, że w mogile tej zostało pogrzebanych 12 poległych w boju pod Deputycznymi*. Autorzy tej informacji dotarli do kurhanów usypanych jako mogiły w Kolonii Deputycze i Niedziałowice gm. Rejowiec, sugerując, że mogą to być też bezimiennie mogiły powstańcze (fot. 2)⁵.



Fot. 2. Mogiła powstańców z 1863 roku na cmentarzu parafialnym w Chełmie przy ulicy Lwowskiej (fot. P. Gapiński, <https://rowery.olsztyn.pl/wiki/miejsc/1863/lubelskie/chelm>).

Na terenie powiatu krasnostawskiego rozegrało się wiele bitew i krwawych utarczek. Duże zalesienie terenu, bliskość granicy austriackiej, skąd napływały do powstania nowe siły sprawiała, że koncentrowały się tu oddziały powstańcze i wojska rosyjskie⁶. Wokół granic ziemi siennickiej (parafii Siennica Różana) w czasie trwania powstania styczniowego w latach 1863-1864 stoczono osiem poważnych bitew: Krasnystaw – 2, Chełm – 2, Żulin - 1, Rejowiec – 1, Mołodutyn – 1, Kumów – 1 oraz jedna, którą można zapisać jako w ziemi siennickiej (mapa 2). Być może, że mieszkań-

⁴ Tamże, s. 503.

⁵ Materiały Muzeum Ziemi Chełmskiej „Szlakiem powstańczych bitew i potyczek na ziemi chełmskiej” – 20 września 2013 r.

⁶ F. Żurek, *Powiat Krasnostawski w walce o wolność*, Instytut Józefa Piłsudskiego, Warszawa 1937, s. 17.

cy okolicznych miejscowości też brali udział w tej bitwie, włączając się aktywnie do walki o wolność Ojczyzny. Nasza mama i babcia Janina Wierchoś doskonale pamiętała udział w uroczystościach kościelnych, szkolnych lub gminnych kilku powstańców ubranych w charakterystyczne mundury i czapki wojskowe, mieszkańców Kozieńca, Woli Siennickiej i Baraków. *W kościele Parafialnym w Siennicy Różanej, mieli oni swoją ławkę po lewej stronie w prezbiterium, a podczas procesji eucharystycznych szli w zwartej grupie przed księdzem celebrującym pod baldachimem.*



Mapa 2. Bitwy powstańcze 1863-1864 w okręgu Krasnymstaw – powiat Krasnymstaw⁷.

Bardzo wiele innych cennych informacji można przeczytać w wyżej cytowanej książce Franciszka Żurka. Ten wielki bojownik o wolną Polskę, patriota ziemi krasnostawskiej, urodzony w roku 1891 w Olszance, przez wiele lat mieszkał w Krynicach k. Krupego. Zbierał opowiadania, wspomnienia, relacje ustne i piśmienne od żyjących świadków i uczestników wydarzeń z lat po-

wstania, opracowywał je i wydawał. Należy pamiętać, że było to prawie 70 lat po zakończeniu walk.

Franciszek Żurek opisuje w swej książce, że *społeczeństwo powiatu krasnostawskiego brało masowy udział w żałobnych manifestacjach patriotycznych i żałobnych procesjach stawiania „krzyży powstańczych” obok prawie wszystkich ważniejszych dróg i na cmentarzach parafialnych. Krzyży zrobionych ze świeżo zrąbanych dębowych pni, pokrytych korą, na których widniały nierówno obciosane sęki, a ramiona były ucięte ukośnie. [...] „krzyże powstańcze” wznoszono nie tylko w Niemienicach, Surhowie. Łopienniku. Siennicy Różanej, ale na najdalszych krańcach powiatu – Czermięcinie⁸.* Takie stojące dwa krzyże – jeden na wzgórzu po lewej stronie traktu Żdżanne-Maciejów tuż za stawami rybnymi, a drugi obok nieistniejącego już młyna wiatraka przy trakcie Żdżanne-Niedziałowice-Rejowiec, pamiętamy wraz z bratem Stanisławem Wierchosiem. Bardzo wiele takich krzyży było na cmentarzach w Żdżannym i Siennicy Różanej. Na tych cmentarzach stoją jeszcze krzyże nagrobne z drewna stylizowane na powstańcze, których wykonawcą był Antoni Stelmach ze Żdżannego, uczeń Kazimierza Dobrzańskiego. Stoją też krzyże wykonane przez profesjonalnych kamieniarzy nawiązujące w motywie do powstańczych (fot. 3).

Do powstania wyruszały, oprócz oddziałów organizowanych z danej wsi, jak np. *oficjalistę z dworu w Siennicy Różanej, w którym pośród wielu był Hykała z Siennicy Różanej, a także mieszkańcy innych miejscowości⁹.* Franciszek Żurek dalej tak o tym pisze: *Poza oddziałami, które szły z poszczególnych wsi, przyłączali się do partyj powstańczych chłopi i wyrobnicy ze wszystkich wsi pojedynczo, nie grupowo i wymienia Karola Prokopa z Rudki, Zająca, Marcina Mysza, Zaja z Kozieńca (zginął pod Krasnymstawem), Boskiela oraz Karola Hoduna z Zagrody (?), Majewskiego z Siennicy Nadolnej¹⁰.* Organizowali się oni w oddziały piechoty uzbrojone w kosy na sztorc. Franciszek Żurek pisze, że

Do powstania wyruszały, oprócz oddziałów organizowanych z danej wsi, jak np. *oficjalistę z dworu w Siennicy Różanej, w którym pośród wielu był Hykała z Siennicy Różanej, a także mieszkańcy innych miejscowości⁹.* Franciszek Żurek dalej tak o tym pisze: *Poza oddziałami, które szły z poszczególnych wsi, przyłączali się do partyj powstańczych chłopi i wyrobnicy ze wszystkich wsi pojedynczo, nie grupowo i wymienia Karola Prokopa z Rudki, Zająca, Marcina Mysza, Zaja z Kozieńca (zginął pod Krasnymstawem), Boskiela oraz Karola Hoduna z Zagrody (?), Majewskiego z Siennicy Nadolnej¹⁰.* Organizowali się oni w oddziały piechoty uzbrojone w kosy na sztorc. Franciszek Żurek pisze, że

⁸ F. Żurek, *Powiat krasnostawski...*

⁹ Tamże, s. 16.

¹⁰ Tamże, s. 17.

⁷ S. Zieliński, *Bitwy i potyczki...*, s. 501.



Fot. 3. Krzyże wykonane z drewna oraz kamienne stylizowane na krzyże powstańcze. Cmentarz parafii pw. św. Michała Archanioła w Żdżannem (fot. T. Wierzchoś).

np. Leon Pawłowski, kowal z Małochwieja, kuł na wielką skalę kosi dla powstańców. A także oddziały strzelców (karabinierów) zwanych też „ptasznikami” od posiadanych strzelb skałkowych, oraz tzw. „samopałów” wytwarzanych i odkuwanych we własnym zakresie. Takie dwa egzemplarze, być może z czasów powstania były przechowywane przez wiele lat w rodzinie Marceliego Wierzchosia i jego syna Stanisława, dalekich naszych kuzynów. Strzelcy wyposażeni byli też w zdobytą broń palną i białą na przeciwniku (fot. 4). Trzeci rodzaj wojsk – jazdę tworzyli ziemianie, żołnierze lub wojskowi, którzy w tej formacji służyli wcześniej w wojsku, uzbrojeni w broń sieczną i palną.



Fot. 4. Szabla wydobyta ze schowka rodziny L. Hendygery w Krasnymstawie. W.S. Wierzchosia (fot. M. Wierzchoś).

Wielkim oparciem dla powstańców były dwory ziemian. Oprócz ofiar materialnych i pieniężnych, w dworach organizowano kwatery, noclegi, wyżywienie, schronienie, także opiekę medyczną, a nawet szpitale. Rolę sanitariuszek spełniały żony i rodziny Ziemian. Tak było u Borawskich z Siennicy Różanej i Smorczewskich ze Żdżannego¹¹. Właściciel Żdżannego Adolf Smorczewski był także bardzo zaangażowany we władzach powstania styczniowego ziemi chełmskiej. Nękanym wywózką na Syberię chronił się we Włoszech, gdzie zamieszkiwał okresowo.

Pięciogodzinny bój pod Pokrówką, Deputycami, Wierzchowinami i Żdżannem został wygrany dzięki dowódcom, którzy obrali właściwą taktykę, „świeżości” atakujących powstańców oraz ukształtowaniem pola bitwy. Rozpoczęła się ona bowiem na wzgórzu pod Pokrówką otoczoną podmokłymi bagnistymi łąkami. Liczne drzewa i krzewy dawały osłonę atakującym od wschodu i południa, zaś kolejne podmokłe tereny ciągnące się aż do Deputyc i las – od północy. Ukształtowanie terenu opadające stopniowo prawie do Wierzchowin i Żdżannego też sprzyjało przez cały czas bitwy przemieszczaniu się wszystkich spieszonych oddziałów Cieszkowskiego, Ruckiego i Eminowicza. Im bliżej tych miejscowości, tym teren był bardziej zalesiony i dość znacznie opadał ku zachodowi aż do samej wsi. Na północ od Żdżannego rozlewiska bagienne rzeki Siennica ograniczały też przegrupowania obronne wojsk rosyjskich. Nie bez znaczenia wpływ miało też tempo i motywacja pokonania nieprzyjaciela przez atakujących. Rosjanie przez pięć godzin byli w odwrocie i nie mogli zorganizować kontrataku, chociaż posiadali przewagę liczebną oraz lepsze uzbrojenie (mapa 1 i 3).

¹¹ Tamże, s. 29.



Mapa 3. Prawdopodobne pole bitwy pod Wierzchowinami i Żdzannem 5.8.1863 roku. Trójkąt wskazuje Mogiłki – miejsce pochówku poległych żołnierzy rosyjskich.

Powstańcy walczyli na polach przynależnych do dwu folwarków – Wierzchowiny i Zwierzyniec (niezaznaczonego na mapie), których właścicielem był wówczas Adolf Smorczewski (1829-1898) ze Żdzannego. Być może przypisani jemu włościanie, po zakończeniu bitwy wyszukiwali poległych powstańców, którzy zostali następnie pochowani na cmentarzu w Chelmie oraz innych okolicznych miejscowościach. Nieśli pomoc i opatrywali licznych rannych, jak też prawdopodobnie grzebali poległych Rosjan na małym „wojennym cmentarzu” zlokalizowanym wówczas na skraju lasu „Sośnina” w pobliżu zabudowań folwarku Zwierzyniec (mapa 3). Mieszkańcy Żdzannego, Wierzchowin i Kostunina miejsce to i przyległe pola nazwali od tego czasu „Mogiłkami”, tak jak „Jeziórka” – od licznych jezior, „Półnanki” – od połowy łana (miara powierzchni pól), „Serwitut” – od nadanych serwitutów leśnych, „Owczarnia” – od dawnych pastwisk owiec, „Pastowień” – od pastwisk dla bydła, „Kwoczka” – bagniste łąki, gdzie żerowały kaczki i gęsi itp. Na usypanych bezimiennych ziemnych mogiłach nigdy nie było krzyży, tablic upamiętniających ani nie odprawiano nabożeństw lub modlitw.

Miejsce było wydzielone, odpowiednio szanowane, jak liczne bezimiennie groby, niezaśmiecane lecz pozostawione własnemu losowi.

Właścicielem folwarku Zwierzyniec do czasów reformy rolnej, tj. do roku 1944, był Robert Smorczewski (1921-1998) prawnuk Augusta, który wydzierżawił pola, sad, pałac, budynki gospodarskie (oborę, stodołę, spichrz) Tadeuszowi Osiekiemu. On zachował to miejsce, tak jak i nowi właściciele przyległych działek, którzy w ramach „parcelacji Grabskiego” (1925) je nabyli, jak np. Marcin Zygar oraz Wojciech Małysz wraz z kilko-

ma innymi gospodarzami tuż przed wojną część arealów folwarku Zwierzyniec. Maria Małysz-Dawdziuk, córka Czesławy Zygara i Wojciecha Małysza, wnuczka Marcina Zygara tam urodzona, doskonale opisuje Mogiłki, pamięta i przekazuje, że w tej małej enklawie leśnej, gdzie rosły już duże dęby, brzozy, jałowce i paprocie, na małym pagórku mogło być 11-15 mogił: 3 duże podłużne, 5 mniejszych okrągłych i parę mniejszych podłużnych. W pobliżu tego miejsca od czasów przedwojennych przy głównym gościńcu stał krzyż, pod którym partyzanci w schowku składali broń a naprzeciw dworu wysoki słup z zawieszonym metalowym „gongiem”. Ona, będąc sołtysem tej miejscowości, zastąpiła w roku 2008 zniszczony przez czas, stojący od początku 20 wieku krzyż z drewna, krzyżem metalowym by utrwalić to miejsce dla historii. Po wojnie, w wyniku reformy rolnej, najbliższe Mogiłek otrzymali swoje działki i duży murowany czworak, w którym mieszkali robotnicy folwarczni, Prokop Dawdziuk oraz Jan Mielniczuk. Mogiłki jako wydzielone miejsce jednak jeszcze pozostały. Po zorganizowaniu się w roku 1957 Spółdzielni Produkcyjnej w Zagrodzie – folwark Zwierzyniec,



Mapa 4. Kolonia Zwierzyniec (mapa Google). M – Mogiłki, D – parcela C. Soczyńskiego po wyburzonym dworze R. Smorczewskiego, biały kwadracik – krzyż, 1 – gospodarstwo W. Małysza, 2 – gospodarstwo M. Zygara, 3 – gospodarstwa P. Dawidziuka i J. Mielniczuka.

jego budynki gospodarcze i część indywidualnych gospodarstw „nowo nabytych” w wyniku reformy rolnej, została włączona do jej struktur. Piękny dwór zburzono, wycięto trzy wiekowe dęby przy nim rosące, a Czesław Soczyński, członek Spółdzielni wznosił „na tak przygotowanej działce” swoje zabudowania mieszkalne i budynki gospodarcze. W tym czasie bezimienne Mogiłki zostały wykarczowane i rozorane. Obecnie miejsce do zlokalizowania po nich to parcela, przyległa po jej lewej stronie do wytyczonej drogi od gościńca do zabudowań spółdzielni, ok 300 metrów od krzyża za nowymi domostwami po Dawydziku i Mielniczuku (mapa 4).

W następnym latach liczni mieszkańcy, którzy zakupili lub uzyskali w spadku gospodarstwa na tym terenie, zamieszkiwali w jednostce administracyjnej, która otrzymała nazwę Kolonia Zwierzyniec, a zwyczajowo „Reforma”. Mogiłki już zginęły. Lecz w naszym domu rodzinnym w Żdżanem, Mogiłki były jeszcze bardzo długo wspomina-
ne za sprawą serdecznej przyjaźni taty i dziadzia

Wincentego z Marcinem Czerwińskim – Zygarem z Mogiłek. Oni do lat 70. ubiegłego wieku nawzajem się odwiedzali, wspomagali, a w nagłych trudnych sprawach gospodarskich nieśli niezbędną pomoc.

Nastaly „nowe czasy” i na niektórych zapomnianych grobach, a nawet cmentarzach, wyrosły nowe domy, działnice czy też sieje się zboża, sady rośliny lub tworzy parki. Zacierają się przeszłość. Niech więc przywołana historia bitwy powstańczej pod Wierzchowinami i Żdżanem 5.8.1863 roku oraz Mogiłek, wspomaga budować w naszej gminie te „nowe czasy” w szacunku do wszystkich mieszkańców obecnych i tych już nieobecnych. Tych, którzy tutaj byli, walczyli lub zginęli. Jedni przekonani o słuszności sprawy, drudzy w jej obronie, w wielu przypadkach do niej przymuszani rozkazem lub służbą żołnierską. Bowiern bohaterom, jak też pokonanym, należy się nasza pamięć.

prof. dr hab. Edward Wierchoś
dr Agnieszka Wierchoś-Hilczer

Józef Adam Dąbek

Kapłani parafii Chłaniów – ciąg dalszy



W 59 numerze „Nestora” został zamieszczony mój tekst, dotyczący historii chłaniowskiej parafii i zawierający wykaz pracujących tam kapłanów. Wykaz ten dotyczył dość szerokiego przedziału czasu, sięgając końca XVI wieku aż do lat współczesnych. Obecny tekst, głównie poświęcony osobom duchownym wywodzącym się z tej parafii, jest wcześniej zapowiadany uzupełnieniem tamtego artykułu.

Przeoglądając monografie opisujące historię parafialnych społeczności, widzimy jak cennym dodatkiem wzbogacającym słowo pisane są ilustracje. Najczęściej są to stare, unikalne fotografie. Na takich zdjęciach zwykle są przedstawiane ważne wydarzenia, jak na przykład coroczne uroczystości związane z dziećmi przystępującymi do Pierwszej Komunii Świętej. Aby w pewien sposób wzbogacić opisywaną historię chłaniowskiej parafii, chciałbym w tym artykule zamieścić kilka fotografii pochodzą-

cych z mojego rodzinnego archiwum. Pierwsze prezentowane tu zdjęcie zostało wykonane 27 czerwca 1937 roku. Odnosi się ono do czasów księdza Stanisława Kondrata, posługującego w parafii w latach 1936-1946. Jest to zdjęcie grupy dzieci, które w tym roku brały udział w uroczystości przystąpienia do sakramentu Pierwszej Komunii Świętej. Z przybitej na odwrocie zdjęcia pieczętki można odczytać, że jego wykonawcą był pochodzący z Mokrego Lipia, zawodowy fotograf J. Płocharz. Uwieczniona na fotografii grupa liczy kilkadziesiąt osób. Pośrodku stojących dzieci, siedzą na krzesłach trzy dorosłe osoby. Jest tam proboszcz ks. Kondrat, a po obu jego stronach, jeśli dobrze pamiętam z rodzinnego przekazu, znajdują się państwo Stanisława i Michał Łabędkowscy. Oboje byli nauczycielami w Szkole Powszechnej w Wierchowinie. Pan Łabędkowski przez wiele lat (1926-1945) pełnił tam funkcję kierownika. Dawne fotografie mają swój niepowtarzalny urok. Tym zdjęcie jest budzący dobre wspomnienia widok kościoła otoczonego potężnymi, wiekowymi drzewami. Widzimy murowaną, starszą część kościoła oraz część drewnianą, obie pokryte gontowym dachem. Przy dobrym powiększeniu oryginalnego



Pamiętka Pierwszej Komunii Świętej, rok 1937.



Przed starą plebanią, rok 1958.

zdjęcia, w wielu dziecięcych twarzach, można by rozpoznać rysy swoich rodziców, babć lub dziadków. Chłopcy są ubrani dość różnorodnie. Daje się tylko zauważyć jednakowy fason ich fryzur, a właściwie ich brak. Widać, że szkolna „moda” już od dawna preferowała włosy ścięte krótko. Za to wszystkie dziewczynki poubierane są w długie białe sukienki. Część z nich przysiadła na rosnącej przy parkanie trawie, a część po prostu na wiodącej do plebanii drodze. Do fotografii dołączyło też kilka wyglądających zza parkanu kobiet. Zapewne są to szczęśliwe mamy swoich pociech, głównych bohaterów tej fotografii. Dodam jeszcze, że mężczyzna stojący obok chłopców po lewej stronie zdjęcia to mój dziadzio Władysław Bednarz, który przez kilkanaście lat pełnił w parafii funkcję kościelnego. Miał wtedy 33 lata.

Kolejne zamieszczone tu zdjęcie pochodzi już z lat znacznie późniejszych. Był to rok, kiedy proboszczem w Chłaniowie był jeszcze ks. Demetriusz Filipowicz, a do parafii został przydzielony pierwszy po wojnie wikariusz, ks. Józef Nowak.

Można na podstawie tych danych łatwo ustalić, że zdjęcie zostało zrobione latem roku 1958. Utrwalone na zdjęciu twarze mogą być dla wielu z nas wyjątkową okazją do odświeżenia i przetestowania własnej pamięci. Tłem fotografii jest wejście na ganek starej plebanii. Część osób tam stojących zasłania rosnąca obok schodów tzw. rajską jabłonka. Na górze zdjęcia widzimy księdza Filipowicza oraz trzech innych księży goszczących wtedy w parafii. Jednym z nich był ksiądz kanonik Wincenty Pawelec, wieloletni dziekan turobiński, a okazją do wykonania tej fotografii był być może dzień parafialnego odpustu. Widoczną na zdjęciu grupę stanowią małe dzieci, jak też dorastająca młodzież. Pośrodku nich stoi wikariusz ksiądz Nowak i obok niego Edward Polski, ówczesny okazjonalny organista. Jeszcze teraz mogę rozpoznać prawie wszystkie twarze zapisane na tym fotograficznym obrazie. A tego chłopaczka na samym dole zdjęcia, uchwyconego przez obiektyw w nietypowej pozie, znam najlepiej. Miał on wtedy 10 lat.

Zakonnicy, siostry zakonne i księża pochodzący z parafii Chłaniów

W wielu opracowaniach opisujących historię danej parafii, zwykle są też umieszczane mniej lub bardziej szczegółowe informacje o osobach duchownych z tejże parafii pochodzących. Wbrew pozorom, zbieranie informacji dotyczących czasów dawnych, jest czasami łatwiejsze niż poszukiwanie informacji o osobach żyjących niedawno. Dzieje się tak wtedy, kiedy na przykład zabraknie rodziny, pełniącej rolę tak zwanych „żywych nośników pamięci”. Sam się o tym przekonałem, jak trudno jest znaleźć informacje o wydawałoby się niedawno żyjących tu osobach, kiedy brakuje o nich rodzinnego przekazu, kiedy „czas zatarł ślad”.

Br. zakonny Paweł Krzywicki, pijar

Jedną z osób duchownych pochodzących z parafii Chłaniów, był wywodzący się z Zabłocia Paweł Krzywicki. Z powodu braku bliskiej rodziny, zebrane o nim informacje są dość skąpe. Zakonnikiem został jeszcze w czasach przedwojennych. Zachowało się w moim domu jego zdjęcie. Dziadzio Władysław zapisał na nim na odwrotnej stronie - „Krzywicki Paweł, brat zakonny, Kraków 1938 rok”. Z odcisniętej na fotografii pieczęci można odczytać adres zakładu fotograficznego – Studio Kraków, Floriańska 31. Niektórzy z parafian pamiętają, jak jeszcze w latach powojennych przyjeżdżał w rodzinne strony. Remigiusz Rogoś, mój pochodzący z Chłaniowa starszy kolega, dobrze tego brata zakonnego pamięta. Kiedy był jeszcze ministrantem, często widywał starszego już wiekiem br. Pawła biorącego udział w postudze podczas kościelnych nabożeństw. Od kolegi Remka dowiedziałem się też, że br. Paweł prawdopodobnie należał do zakonnej wspólnoty krakowskich oo. pijarów. Nieznana jest data śmierci i miejsce jego pochówku.

Tak mogłaby się zakończyć historia życia zakonnego brata Pawła Krzywickiego, gdyby nie moja dalsza kwerenda, wsparta życzliwością innych osób. Dzięki informacjom uzyskanym od oo. pijarów z Krakowa, mogę teraz o br. Pawle napisać dużo więcej. Notatkę o br. Pawle Krzywickim, jaką



Brat zakonny Paweł Krzywicki, pijar.

otrzymałem od pani Agnieszki Szmerek pracującej w zakonnym Archiwum Polskiej Prowincji Zakonu Pijarów, chciałbym tu zamieścić w całości:

Br. Paweł (imię zakonne Felicjan) Krzywicki, urodził się 4 listopada 1895 roku w Załawczu, pow. Krasnystaw, parafia Turobin, diecezja lubelska. W latach 1914-1918 służył w wojsku (wówczas rosyjskim). Do zakonu wstąpił 4 kwietnia 1920 r. Śluby czasowe złożył 25 maja 1922 r., a śluby wieczyste 18 października 1925. Z zawodu był kucharzem, toteż po wstąpieniu do zakonu pracował jako kucharz i kuchnię zarządzał. Angażował się również duszpastersko, m.in. kierując śpiewem liturgicznym. Czas II wojny światowej przeżył w stronach rodzinnych, a po jej zakończeniu z zapalem włączył się w akcję apostolską, rozprowadzając po całej Polsce dewocjonalia. Był znany jako osoba pomocna w organizowaniu rekolekcji i misji parafialnych. Był też znany jako osoba pracowita i bardzo życzliwa. Zmarł w domu zakonnym Kraków-Rakowice 14/15 kwietnia 1970 roku. Msza żałobna odbyła się w Krakowie-Rakowicach 16 kwietnia, a kazanie okolicznościowe wygłosił wówczas o. Bonawentura Kadeja SP. Zgodnie z życzeniem rodziny br. Pawła, pochowany został w rodzinnym grobowcu w Turobinie. Uroczystościom pogrzebowym, jakie odbyły się w rodzinnej parafii w dniu 17 kwietnia, przewodził o. Bernard Małek SP.

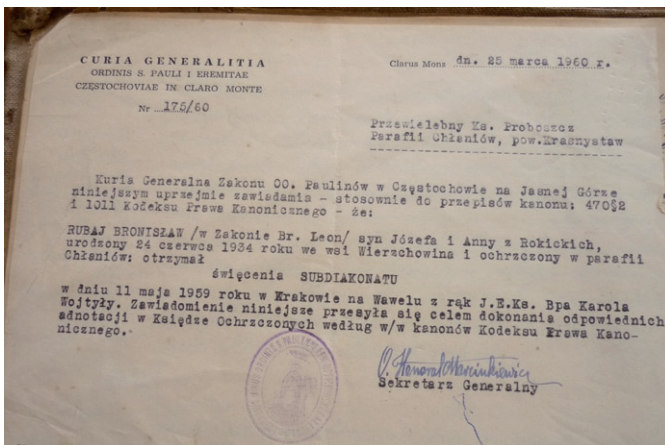
Widoczny w zamieszczonym wyżej tekście skrót SP wiąże się z łacińską nazwą „Scholarum Piarum”, a przyjętą przez zakon dewizę stanowią dwa słowa – Pobożność i Nauka. Zgodnie z tym misyjnym powołaniem oo. pijarzy zakładali przyklasztorne szkoły, gdzie zajmowali się nauczaniem dzieci i młodzieży i wychowaniem ich w duchu pobożności. Jednym z wielu sławnych pijarów był żyjący w XVII wieku pisarz i pedagog ks. Stanisław Konarski. Jego nowatorskie jak na owe czasy przemyslenia dotyczące ustroju państwa, były załącznikiem nowych ustaw społecznych i stanowiły cenną naukę dla twórców Konstytucji 3 maja.

Dowiedziałem się też z tego samego źródła, z Krakowa, że rodzicami br. Pawła byli Błażej i Katarzyna z domu Smagała. Pozwoliło mi to ustalić, że ich ślub odbył się w parafii Turobin w roku 1886. Oboje więc pochodzili z tamtych stron. Być może dopiero na początku XX wieku przeprowadzili się do należącego do chłaniowskiej parafii Zabłocia. A doczesne szczątki brata Pawła wróciły w rodzinne strony swoich przodków.

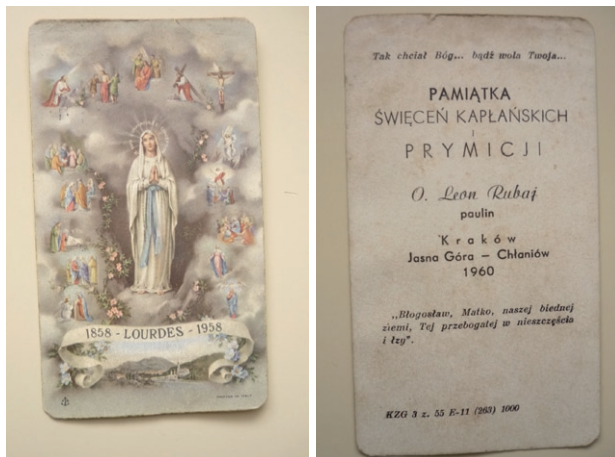
O. Leon Rubaj, paulin

Kolejnym zakonnikiem, o którym udało mi się zebrać nieco więcej informacji, jest pochodzący z Wierchowiny Bronisław Rubaj. Jego dom rodzinny, jak pamiętają starsi mieszkańcy tych okolic, znajdował się w pewnym oddaleniu od wioski, na skraju przylegających do wsi pagórków. Część informacji o rodzinie Rubajów przekazała mi pochodząca z Wierchowiny, a obecnie mieszkająca w Chłaniowie pani Alicja Domańska. Wiadomo stąd, że ojciec przyszłego zakonnika był ożeniony dwukrotnie. Matką Bronisława oraz dwóch jego siostr była pierwsza żona Józefa Rubaja, która zmarła jeszcze przed wojną. Od drugiej żony, czyli macochy Bronisława przybyło jeszcze troje dzieci. Rodzina była więc liczna. Kiedy jednak wszyscy dość szybko opuścili to gospodarstwo, stało się tak, że już od wielu lat nikt tam nie mieszka. Bronisław urodził się 24.06.1934 roku. Z aktu urodzenia

spisanego w kancelarii parafialnej dowiadujemy się, że jego ojciec Józef liczył sobie wtedy lat 31, a matka Anna z Rokickich miała lat 28. Oboje byli mieszkańcami folwarku należącego do dziedziców Wierchowiny, rodziny Chruścikowskich. Stąd też jego matką chrzestną była dziedziczka Jadwiga Chruścikowska. Niewiele wiadomo o dalszych latach jego edukacji. Pewnym jest, że był uczniem miejscowej szkoły podstawowej, jaka tam działała już od 1913 roku. Po uzyskaniu odpowiedniego wieku i wymaganej formacji duchowej, wstąpił do zakonu oo. paulinów w klasztorze na Jasnej Górze. O początkach jego życia zakonnego można się więcej dowiedzieć z informacji wysłanej z Jasnej Góry do rodzimej parafii, która to informacja, zgodnie z obowiązującym prawem kanonicznym została dołączona do aktu urodzenia. Z innych notatek umieszczonych przy metryce urodzenia czytamy, że 28.08.1958 złożył w zakonie oo. paulinów na Jasnej Górze uroczyste śluby dozgonne, przybierając imię zakonne Leon. Z pisma wysłanego z Częstochowy do proboszcza chłaniowskiej parafii dowiadujemy się, że święcenia subdiakonu otrzymał 11.05.1959 r. w Krakowie na Wawelu, z rąk JE ks. bpa Karola Wojtyły. Teraz, po latach wiemy, że ów biskup Karol Wojtyła, to niezapomniany „nasz” papież, Jan Paweł II. Jest to dla naszej parafii wyjątkowo cenna pamiątka. W roku 1960 odbyła się msza prymicyjna w rodzimej chłaniowskiej parafii. Okolicznościowe obrazki upamiętniające tę uroczystość powinny się jeszcze zachować w wielu domach tutejszych parafian.



Pismo z Jasnej Góry, dotyczące subdiakonu o. Leona Rubaja, paulina.



Pamiętka prymicji o. Leona Rubaja.

O dokładnej dacie tej prymicji, przypadającej 22 lutego 1960 roku, dowiedziałem się z zeszytu mojego dziadzia, w którym spisywał swoje przygotowywane na różne okazje przemówienia. Zeszyt ten odnalazłem całkiem niedawno i przy okazji uświadomiłem sobie teraz, po kim to prawdopodobnie odziedziczyłem moją skłonność do pisania. Zostały tam zapisane teksty związane z powitaniem lub pożegnaniem wizytujących parafię biskupów, jak też powitania misjonarzy, nowo przybyłych proboszczów itp. Te okolicznościowe przemówienia wygłaszał w imieniu Rady Parafialnej i jak pamiętam, robił to z wielkim zaangażowaniem i nienaganną klasą, stosowną do każdej celebrowanej uroczystości. Z niekłamaną przyjemnością chciałbym tu zacytować fragment jego przemówienia, kierowanego do prymicjanta o. paulina Rubaja. *Czcigodny księżu Prymicjancie! Wielką radością są dziś napelnione serca twoich rodziców i rodzeństwa oraz wszystkich tu zgromadzonych z powodu twojej prymicji. A radość stąd pochodzi, że od niepamiętnych czasów w naszej parafii stajesz tu przed nami jako pierwszy kapłan, który jest rodakiem tej parafii. Bo w tej parafii urodziłeś się, w tem tu kościółku byłeś ochrzczony. A będąc chłopięciem chodziłeś do tej świątyni na naukę religii, aby przygotować się do pierwszej spowiedzi i komunii świętej. A dziś jako kapłan odprawiasz w tej świątyni swoją pierwszą mszę świętą, tak zwaną prymicyjną, po której udzisz błogosławieństwa prymicyjnego swojej rodzinie, kapłanom i wszystkim wiernym tu zgromadzonym, którzy zechcą z tego daru skorzystać.*

Ojciec Leon już jako młody zakonnik, w okresie swojego klerykatu, wyróżniał się szczególnymi osiągnięciami w nauce. To spowodowało, że znalazł się w grupie kilku zakonników wybranych przez władze generalne oo. paulinów na wyjazd do USA. Mówił o tym swoim wiejskim kolegom, kiedy przed tym zaplanowanym już zagranicznym wyjazdem przyjechał odwiedzić chłaniowskiego proboszcza. Jeden z jego kolegów, mieszkający w Chłaniowie Stanisław Zwołak, dobrze zapamiętał jego słowa – „wyjeżdżam na misje i pewnie się już więcej nie zobaczymy”. Należy przypuszczać, że o. Leon Bronisław Rubaj wyjechał jeszcze w 1960 roku do jednej z placówek oo. paulinów, jakie znajdują się na terenie Stanów Zjednoczonych. Tu warto przypomnieć, że chyba najsłynniejszym miejscem pracy misyjnej oo. paulinów w USA, jest tak zwana amerykańska Częstochowa. Jest to Narodowe Sanktuarium M.B. Częstochowskiej, położone w pobliżu miasteczka Doylestown, odległego 70 kilometrów na północ od Filadelfii. Miejsce to jest słynne z jeszcze jednego powodu, gdyż właśnie tam znajduje się największy na terenie Stanów Zjednoczonych polski cmentarz. Jednym z założycieli tego Sanktuarium, był paulin o. Michał Zembrzuski, który przyjechał do USA już w 1951 roku. Właśnie do pomocy o. Zembrzuskiemu został wysłany z Jasnej Góry o. Leon Rubaj. Jest zatem wielce prawdopodobne, że dożywszy wśród swoich współbraci sędziwego wieku, nadal wśród nich tam przebywa. Ta nadzieja może być całkiem uzasadniona, gdyż przeszukując adresy internetowe, udało mi się jakiś czas temu uzyskać cenne informacje dotyczące aktywności duszpasterskiej o. Rubaja i miejsca jego pobytu. W parafii pw. św. Piotra w Dallas w 2019 roku została zamieszczona taka oto informacja: „Z powodu, że tutejszy proboszcz ks. Jacek Nowak przebywał w miesiącu sierpniu na urlopie w Polsce, zastępował go ks. Leon B. Rubaj, pełniący na co dzień posługę w San Antonio”. Oba te ogromne miasta leżą na południu Stanów Zjednoczonych w stanie Teksas. Jakże to daleko od małych wiosek Wierchowiny i Chłaniowa, gdzie dla o. Leona wszystko się zaczęło.

O. Joachim Gąbka, bernardyn

Z tą samą miejscowością Wierzchowina związany jest jeszcze jeden zakonnik, którego wielu starszych wiekiem parafian wciąż jeszcze dobrze pamięta. Zapamiętany został dlatego, gdyż w swojej rodzimej parafii Chłaniów gościł wielokrotnie. Rodzina Gąbków przywędrowała w te strony z miejscowości Chrzanów i znalazła dla siebie siedlisko obok wioski Wierzchowina na tzw. kolonii. Stojący tam wśród żyznych pól kompleks kilku gospodarstw, znany był dawniej i znany jest teraz pod nazwą Borowina. Przyszły bernardyn Paweł Gąbka urodził się jeszcze w poprzednim miejscu zamieszkania jego rodziny, czyli w Chrzanowie, 26 czerwca 1928 roku. Rodzice Pawła, Maria i Stanisław Gąbkowie, sprowadzili się do Wierzchowiny kilka lat przed wojną. Paweł był wtedy w takim wieku, że naukę w tutejszej szkole podstawowej rozpoczął od klasy czwartej. Był to rok szkolny 1937/38. Szkołę na poziomie podstawowym ukończył w roku 1942. Przez lata okupacji i przez wiele lat po wojnie, jego rodzina mieszkała w kolonii Borowina. Na tym samym miejscu mieszka do dzisiaj rodzina jego rodzzonego brata Tadeusza. Właśnie dzięki ich uprzejmości, w tym dzięki udzieleniu cennych informacji i udostępnieniu pamiątkowych zdjęć, o życiu zakonnym o. Joachima Gąbki (takie imię zakonne sobie przybrał), mogą napisać znacznie więcej. Świecenia zakonne otrzymał w 1957 roku w Krakowie i w tymże roku odbyła się w chłaniowskim kościele jego msza prymicyjna.

Pierwsze zgromadzenie zakonne, do którego został wysłany zaraz po prymicji, znajduje się w słynnej na cały kraj Kalwarii Zebrzydowskiej. Kolejne miejsca zakonnej posługi o. Joachima to znany z zabytkowego klasztoru Bernardynów Leżajsk oraz mniej znana miejscowość Skępe, położona w połowie odległości między Płockiem i Toruniem. To niewielkie, ale ważne dla historycznej ziemi dobrzyńskiej miasteczko, położone było niegdyś na szlaku handlowym łączącym polskie miasta z Litwą. Bernardyni zostali tam sprowadzeni już na początku XVI wieku. Znajdująca się w klasztorze oo. Bernardynów, cudowna figura Matki Bożej Skępskiej jest od lat



Podczas uroczystej procesji
– przewodniczy o. Joachim Gąbka.

otaczana kultem wiernych, a miejsce to znane jest jako pielgrzymkowe sanktuarium. Pełniąc funkcję gwardiana, o. Joachim przebywał w tym klasztorze od połowy lat 60. Świadczą o tym notatki informujące o tym, że został przydzielony do organizowania lokalnych, kościelnych uroczystości, związanych z obchodami Tysiąclecia Chrztu Polski. Należy tu przypomnieć, że w organizowaniu na terenie całego kraju tych milenijnych uroczystości, ówczesne władze państwowe starały się na różne sposoby przeszkadzać i deprecjonować ich znaczenie. W państwowych środkach społecznego przekazu, stosowano wtedy zastępczą nazwę – Tysiąclecie Państwa Polskiego.



Pamiątka mszy prymicyjnej o. Joachima Gąbki.



Ojciec Joachim Gąbka, bernardyn.

W latach 1978-1984 o. Joachim był gwardianem klasztoru oo. Bernardynów w Piotrkowie Trybunalskim. Jak pamiętamy, daty te obejmują trwający w Polsce przez kilka lat okres stanu wojennego. Po jego zakończeniu, o. Joachim zaangażował się w zorganizowanie na terenie klasztoru „sali pamięci”, poświęconej działalności pochodzących z tych okolic żołnierzy AK. Spotkało się to z dużym uznaniem i wdzięcznością akowskiego środowiska. Dowodem tego jest umieszczona w budynku Muzeum AK pamiątkowa tablica z napisem: „Ojcu Joachimowi Pawłowi Gąbce, 1928-1994, Gwardianowi klasztoru oo. Bernardynów w Piotrkowie Trybunalskim, 1978-1984, organizatorowi „Sali Pamięci” im. mjr. Gaja, wdzięczni akowcy”. Kolejnym etapem jego zakonnego życia była służba w klasztorze oo. Bernardynów znajdującym się w Radomiu. Były to lata 1984-1988. W roku 1988 zostaje powołany do parafii w Warszawie, gdzie na Czerniakowie właśnie została rozpoczęta budowa nowej świątyni. W pierwszym roku jego posługi zostały wykonane i poświęcone fundamenty kościelnego budynku. Jego budowa z powodu niewystarczających funduszy przeciągała się. Aby temu zaradzić, gwardian klasztoru o. Joachim Gąbka, jak też inni współbracia zakon-

ni, często wyjeżdżali do różnych parafii na głoszenie nauk rekolekcyjnych. Zbierane w ten sposób datki były przeznaczane na dokończenie budowy kościoła. Na dwa dni przed jednym z takich planowanych wyjazdów, o. Joachim 13.11.1994 roku nagle umiera. Został pochowany w Warszawie, przy swojej ostatniej parafii. Poświęcenie kościoła pw. św. Jana z Dukli, patrona oo. bernardynów, wybudowanego tam przy ul. Czerniakowskiej, odbyło się dwa lata później, w 1996 roku.

S. Sławomira, karmelitanka bosa

Można zaryzykować taką tezę, że powołania do stanu duchownego raczej nie podlegają prawom ziemskim. Zatem nie można ich przewidzieć ani też statystycznie „zaplanować”. Trudno się spodziewać, żeby liczba powołań z danej parafii była na przykład proporcjonalna do liczby wiernych. W czym więc tkwi tajemnica powołania? Z wielu przykładów wiadomo, że powołania kapłańskie lub zakonne są wynikiem przemiany duchowej danej osoby, przemiany, która wynika jednak z pewnych uwarunkowań, najczęściej z własnych doświadczeń nabytych w życiu rodzinnym. Takim przykładem pewnego rodzaju „determinizmu” wynikającego z atmosfery rodzinnego domu, może być droga do służby zakonnej siostry Sławomiry. Sławomira Tomasik urodziła się w Turobinie 26.10.1961 r., a przez lata młodości jej miejscem zamieszkania, wraz z siostrą Wandą i rodzicami Kazimierą i Mieczysławem, była niewielka miejscowość Chłaniówek, od zawsze należąca do parafii Chłaniów. Zapoznajmy się z jej świadectwem. O swojej drodze do życia w stanie zakonnym pisze ona tak: *Nie tylko religijność młodych rodziców, ale także harmonia życia rodzinnego, którą tworzyli mówiła mi o Bogu – o Jego pięknie i dobroci, albo może dokładniej: o dobroci, która jest piękna. Jeszcze dziś pamiętam katechezy mojej Mamy, które zazwyczaj odbywały się przed snem i moje pierwsze modlitwy wstawiennicze w różnych rodzinnych potrzebach. A żeby tę małą ofiarę osłodzić, Mama podkładała mi poduszkę pod kolana.*

Po ukończeniu ośmioklasowej Szkoły Podstawowej w Chłaniowie, Sławomira uczyła się w Liceum Ogólnokształcącym w Wysokiem. Pla-



Pamiątka Pierwszej Komunii Świętej s. Sławomiry.

nowała też swoją dalszą edukację na studiach medycznych. Jednak stało się inaczej. Duchowe rozterki przeżywane w latach swojej młodości siostra Sławomira opisuje bardzo bezpośrednio: *Szkoła, poznawanie nowych ludzi, szczególnie dzieci w moim wieku, również ułatwiało mi spostrzeganie Jezusa w historii codziennego życia moich koleżanek i kolegów. I chociaż nie byłam „duszą towarzystwa”, wydaje mi się, że byłam akceptowana i nawet lubiana, pomimo mojego upodobania do samotności. Widzenie świata takim jakim on jest – przyrody, ludzi i całego rozwoju cywilizacji, zawsze napępniało mnie entuzjazmem miłości do Boga. Już w liceum żyłam z wewnętrznym przekonaniem, że małżeństwo nie będzie moim powołaniem. Jednak o życiu zakonnym nie myślałam. Ale był Ktoś Kto myślał o nim dla mnie...*

Siostra Sławomira jest w swoim zgromadzeniu zakonnym już od ponad 40 lat. Pamięta wciąż wiele szczegółów z tej drogi, która ją doprowadziła na jej „górze Karmel”. W przestanych mi wspomnieniach, jest wiele bardzo osobistych refleksji wyrażonych prostymi a jednocześnie pięknymi słowami. Słowa te, nam ludziom świeckim



Siostra Sławomira, karmelitanka bosa.

pokazują, na czym polega autentyczność powołania do pełnego oddania się służbie Bogu, służbie za klasztorną kratą. Możemy dalej w jej „curriculum vitae” znaleźć następujące wyznanie: *Coraz realniejsze stawało się obranie służby Bożej. I tak, chociaż planowałam, że będę lekarzem, brałam korepetycje, żeby dostać się na medycynę, to moje serce było gdzie indziej. Określenie, gdzie było wydaje mi się tylko jedno: przy Bogu i przy ludziach. W ten sposób nadszedł jeden z najważniejszych dni w moim życiu, 13.05.1981 r. Noc z 12 na 13 maja spędziłam na modlitwie na mojej skromnej stancji w Lublinie. Przyznaję, płakałam, błagając aby Bóg przez Maryję ukazał mi drogę, na której mam realizować Jego zbawczy plan. Wstałam wcześniej, ale dopiero około 8.00 rano wyszłam na miasto w poszukiwaniu zakonnicy. Nie miałam szczęścia, idąc Alejami Racławickimi nie spotkałam żadnej. Dopiero w kościele oo. Dominikanów (moim ulubionym) zatrzymałam się na modlitwę i postanowiłam sobie, że nie wyjdę stąd, dopóki nie przyjdzie tu jakaś zakonnica. Myślałam, że będę czekać długo. Okazało się, że wystarczyło kilka minut, aby przyszła starsza już zakonnica, która uklękła tylko na chwilę przed tabernakulum i skierowała się do wyjścia. Wybiegłam za nią, błyskawicznie żegnając się z Panem w tabernakulum. „Siostro, – zagadnęłam – chciałabym wstąpić do zakonu”. Spojrzała na mnie i w jej starzejących się oczach ujrzałam Niebo. To pierwszy i ostatni raz, gdy w spojrzeniu, w oczach zwykłego człowieka ujrzałam, że jest łaska, w której skąpana jest dusza ludzka i że jest Niebo, do którego ta łaska prowadzi.*

Wybierając dla siebie miejsce na resztę życia, po krótkim pobycie w domu formacyjnym sióstr urszulanek koło Poznania, zdecydowała się na Klasztor Klauzurowy Sióstr Karmelitanek Bosych w Warszawie. Według dokładnej nazwy, jest to Klasztor Mniszek Bosych Zakonu Najświętszej Maryi Panny z Góry Karmel. Tutaj została przyjęta do zakonu, przekraczając próg klauzury 1 sierpnia 1981 roku. Oprócz najważniejszej rzeczy, jaką jest dla nich modlitwa, siostry karmelitanki bose zajmują się takimi prostymi zajęciami jak: praca w kuchni, ogrodzie, pralni, sprzątanie, szycie oraz malowanie figurek, które później są sprzedawane. Jak pisze o sobie s. Sławomira, jest ona tzw. siostrą „kołową”, czyli pracuje na łączu pomiędzy klauzurą a światem zewnętrznym, gdzie przychodzą osoby kontaktujące się z klasztorem w różnych sprawach.

Dodam dla wyjaśnienia - słowo klauzura oznacza zamkniętą dla osób postronnych część domu zakonnego lub klasztoru. Tak więc każdy zakon klauzurowy to zakon zamknięty, oparty na surowych regułach. Natomiast nazwa Karmel jest związana z krainą geograficzną Palestyny i oznacza nazwę własną nadmorskiego pasma górskiego, położonego w północnej części tego kraju. Już w pismach Starego Testamentu, wzięte z języka hebrajskiego określenie Karmelu czy też góry Karmel, oznaczało miejsce święte, interpretowane jako winnica lub ogród Boga. Stąd właśnie wzięta się nazwa rozsianych teraz po całym świecie zakonów karmelitańskich.

S. Barbara, karmelitanka Dzieciątka Jezus

Siostra Barbara urodziła się w rodzinie Jana i Danieli Lewczyków, 10 maja 1968 roku, w miejscowości Władysławin, należącej do parafii Chłaniów. Władysławin to dość duża wioska, składająca się jakby z kilku części, tak zwanych kolonii, oddalonych od głównej drogi. Przez kilka lat po wojnie funkcjonowała tam czteroklasowa szkoła podstawowa, do której chodziły dzieci z okolicznych domów. Po wybudowaniu w roku 1964 w Chłaniowie nowej, większej szkoły, ta lokalna placówka oświatowa została zamknięta. Siostra Barbara ukończyła osiem klas Szkoły Podstawo-

wej w Chłaniowie. Lata dzieciństwa i lata szkolne, tak jak i jej rówieśnikom, upłynęły jej w rodzinnym domu, gdzie mieszkała razem z rodzicami i rodzeństwem. Dzieci wiejskie chcące uczyć się dalej, opuszczają w wieku czternastu lub piętnastu lat swoje rodzinne domy, aby potem wracać do nich już jako rzadki gość, na dni świąteczne lub na dłużej, w czasie wakacji. Tak też i siostra Barbara, zaczynając naukę w szkole średniej, a potem studia, pożegnała się z rodzinnym Władysławinem.



Siostra Barbara, karmelitanka Dzieciątka Jezus.

Jak pisze o sobie: *Do Zgromadzenia Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus, z woli i łaski Bożej wstąpiłam 31.05.1997 r. Po odbyciu formacji postulat i nowicjatu – czasu przygotowania do życia zakonnego i rozwoju duchowego złożyłam I Profesję zakonną 01.10.1999 r w Łodzi. Śluby wieczyste, jako s. Barbara od Niepokalanej i św. Józefa, złożyła pięć lat później, 30 września 2004 roku.*

Historia Zgromadzenia Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus, nie jest tak stara, jaką mogą się szcycić inne zakony żeńskie, jak na przykład karmelitanki bose (XVII wiek) lub klaryski (XIII wiek). Zgromadzenie, do którego należy s. Barbara, zostało założone 31.12.1921 roku. Jego założycielami byli: sługa Boży o. Anzelm od św. Andrzeja Corsini (Maciej Józef Gądek, prowincjał karmelitów bosych) oraz matka Teresa od św. Józefa (Janina Kierocińska, tercjarka karmelitańska). W ubiegłym roku ta zakonna wspólnota obchodziła stulecie swojego istnienia. Dom macierzysty Zgromadzenia mieści się w Sosnowcu.

Utworzenie Zgromadzenia Karmelitanek Dzieciątka Jezus było odpowiedzią na prośby o nowe siostry zakonne, potrzebne do pracy charytatywnej wśród ubogich. Dlatego od pierwszych lat ich zakonnej posługi, regułą Zgromadzenia jest modlitwa i aktywna działalność apostołska, czyli praca wśród potrzebujących pomocy. Zgodnie z celem i duchem Zgromadzenia, siostry mogą utrzymywać domy wychowawcze dla dzieci ubogich, dla sierot lub opuszczonych przez rodziców, prowadzić przedszkola, katechizować w szkole i poza szkołą, pomagać w pracy duszpasterskiej jako katechetki, zakrystianki, organistki, kancelistki i opiekunki charytatywne. Mogą też prowadzić domy rekolekcyjne, pomagać w krajach misyjnych, spełniać inne rodzaje apostołstwa czynnego według potrzeb Kościoła, prowadzić ochronki, świetlice, warsztaty terapii zajęciowej, chóry i schola, bractwa Dzieciątka Jezus itp. Patronujące całemu Zgromadzeniu Dzieciątka Jezus, nadaje tej wspólnoty szczególną misję do spełnienia i wyznacza priorytety w postępowaniu wobec drugiego człowieka. Jak pisze o tym s. Barbara: *Nasze życie wzorujemy na osobie Chrystusa Dzieciątka. Wobec Boga staramy się być jak dzieci, całkowicie ufne, zdane na Niego i przekonane o Jego bezwarunkowej, darmowej miłości do nas. Tę miłość niesiemy osobom, do których nas posyła. Cechami Dzieciństwa jest ufność, ubóstwo, pokora i miłość wzajemna.*

Siostra Barbara, będąc w zakonie, głównie poświęciła się pracy pedagogicznej. Przez wiele lat, aż do roku 2012, pracowała w prowadzonym przez siostry przedszkolu w Barcicach jako nauczycielka – przedszkolanka. Od roku 2012 pracuje w przedszkolu w Gorzycach leżących w archidiecezji przemyskiej jako dyrektor i nauczyciel. W 2014 roku została wybrana przełożoną Domu Zakonnego w Gorzycach i nadal pełni tę funkcję. Aby sprostać tym wymaganiom, wcześniej ukończyła w Krakowie studia magisterskie na kierunku Administracji Pedagogicznej, a następnie ukończyła studia podyplomowe związane z organizacją i zarządzaniem oświatą. Wciąż ma dużo pracy. Jednak od czasu do czasu stara się odwiedzać swoje rodzinne strony i mieszkającą tu rodzinę.

Ks. kapelan ppłk. Krzysztof Pietrzniak

W ostatnich latach, w parafii Chłaniów jeszcze dwie osoby odkryły powołanie do stanu kapłańskiego. Pierwsza z nich dotyczy można powiedzieć samego centrum parafii, gdzie stojący pośrodku wioski, zbudowany przed wiekami kościół, od lat jednoczy całą parafialną społeczność. Tutaj właśnie, w rodzinie wieloletniego chłaniowskiego organisty Mieczysława Pietrzniaka, 19 czerwca 1965 urodził się syn Krzysztof. Ten bliski związek jego rodziny z kościołem, lata bycia ministrantem oraz udział w tzw. formacyjnych spotkaniach oazowych, zapewne wpłynęły na jego późniejszą decyzję wstąpienia do lubelskiego seminarium duchownego. Ksiądz Krzysztof Pietrzniak święcenia kapłańskie otrzymał w katedrze lubelskiej z rąk arcybiskupa Bolesława Pylaka. Stało się to 6.07.1992 r.



Ks. kapelan ppłk. Krzysztof Pietrzniak.

Dzień później, uroczyście celebrowano jego prymicję w kościele parafialnym w Chłaniowie. Po ukończeniu seminarium, wybrał, jak sam mówi o sobie, podwójną służbę Bogu i ludziom i zdecydował się na posługę wojskowego kapelana. Długa jest lista jego parafii związanych z jednostkami i garnizonami Wojska Polskiego. Zaczynając od Lublina,

poprzez służbę w Bydgoszczy, Rzeszowie, Gdyni, Wędrzynie, Malborku, swoje wojskowe przydziały zakończył w Sieradzu. Tam w 2014 roku stał się księdzem emerytem, a jako kapelan przeszedł do cywila. Nadal służy pomocą duszpasterską w diecezji lubelskiej. Znany jest z udziału w kościelnych uroczystościach związanych ze świętami narodowymi, jak też i tych, które upamiętniają lokalną historię. Dobrym tego przykładem jest jego coroczne angażowanie się w kultywowanie pamięci o tragicznych wydarzeniach z roku 1944 podczas pacyfikacji Władysławina i Chłaniowa. Jego okolicznościowe homilie pełne są wziętych z historii przykładów, gdzie w ludziach i ich czynach łączą się dwie cechy – wiara i patriotyzm.

Ks. Tomasz Atras

Kilkanaście lat później parafia doczekała się kolejnego, wywodzącego się z niej księdza. Te ostatnie lata, jakie zostały nam dane, przeniosły nas w nowy, wyjątkowy okres. Wszak żyjemy na przełomie drugiego i trzeciego tysiąclecia. Warto tu zauważyć, że kolejne w tej parafii kapłańskie powołanie akurat zadziało się na początku XXI wieku i zarazem na progu nowego tysiąclecia. Podobnie jak w przypadku wspomnianego wcześniej brata zakonnego Pawła Krzywickiego, miejscem, gdzie urodził się i wychowywał ksiądz Tomasz Atras, jest niewielka wioska Zabłocie. Urodził się 1 marca 1977 roku w rodzinie Stanisława i Danuty Atrasów. Święcenia kapłańskie otrzymał z rąk metropolity lubelskiego Józefa Życińskiego 28 maja 2005 roku. Zgodnie z kościelną tradycją, następnego dnia, w niedzielę, w chłaniowskiej parafii uroczyste obchodzono jego prymicję. Ks. Tomasz Atras ma za sobą jeszcze niewiele lat pracy duszpasterskiej. Większość tych lat spędził w Chełmie. Początkowo był tam wikariuszem w parafii Świętej Rodziny, a od 1 lipca 2012 roku pracuje w parafii pw. Przenajświętszej Trójcy. Nazywany w swym środowisku jako ks. Tomek, znaczną część swojej pracy dydaktycznej poświęca szkolnej katechezie. Znany jest z dużego zaangażowania w organizowaniu jasnogórskich pielgrzymek. Często też odwiedza swoje rodzinne strony.

Parafia Chłaniów, jak większość parafii wiejskich, staje się coraz mniej liczna. Według podanej w 2017 roku informacji, obejmowała 1615 osób. Aktualna liczba wiernych to niewiele ponad 1500. A przecież wielu z nas pamięta odbywające się w latach 50. i 60. parafialne odpusty. Cały teren wokół kościoła zajmowały liczne odpustowe stragany. Po odpustowej sumie przy straganach kłębiły się tłumy mieszkańców jak też i przyjezdnych gości. Ale to już było - jak w tej znanej piosence – i nie wróci więcej. Musimy się z tym pogodzić, że świat się zmienia. Oby na lepsze. Pielęgnowmy więc i szanujmy te dobre wspomnienia, tak jak przechowujemy w szufladach stare, pamiątkowe fotografie.

Zawierając całą społeczność chłaniowskiej parafii nieustającej Bożej Opatrzności, z wiarą i nadzieją oczekujemy na kolejne kapłańskie i zakonne powołania.

Józef Adam Dąbek

Książki nadesłane

Anna Łyczewska, „Zarażona wojną”, wiersze, Norbertinum, Lublin 2022, ss. 30;

Zbigniew Włodzimierz Fronczek, „Anioły, diabły i kobiety”, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Lublin 2021, ss. 221;

Zbigniew Fronczek (red.), „Szkiecownik. O pisarzach lubelskich”, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Lublin 2021, ss. 360;

Andrzej Misiura (red.), „Maestro. Katalog twórców rękodziela oraz sztuk plastycznych ziemi siennickiej”, Biblioteka „Ziarna”, Centrum Kultury w Siennicy Różanej 2021, ss. 88.

Arkadiusz Kostecki

Na tropie zapomnianego klanu Turewiczów



Kościół w Borowicy doczekał się już kilku opracowań, mniej lub bardziej szczegółowych. Najbardziej szczegółowym zdaje się być praca dra Jana Górnika pt. „Drewniany kościół z epoki klasycyzmu w Borowicy” (1963). Wcześniej świątynia była przez wiele lat pomijana w opracowaniach naukowych. Aktualnie podobnie dzieje się z częścią jej wyposażenia. Jednym z takich obiektów, który przykuł moją uwagę, jest obraz w głównym ołtarzu kościoła.



Obraz Przemienienia Pańskiego z kościoła w Borowicy (zbiory prywatne autora).

Scena Przemienienia Pańskiego na górze Tabor ukazuje sześć osób: Jezusa, Mojżesza i Eliasza oraz trzech Apostołów – Piotra, Jakuba Starszego i Jana. Jest to kopia górnej części znanego powszechnie renesansowego przedstawienia, które stworzył Rafael Santi. Borowicki obraz przez lata wzbudzał wśród wiernych różne odczucia. Choć wy-

daje się być całkiem poprawnie („akademicko”) namalowaną kopią dzieła Santiego, to jednak nie każdemu przypadł do gustu. Jednym z krytyków pracy był pierwszy administrator borowickiej świątyni, ks. Jan Walniczek, który w 1923 r. sporządził „Inwentarz Fundi instructi kościoła parafialnego we wsi Borowica”, opisując w nim wyposażenie modrzewiowego kościoła. Obraz Przemienienia Pańskiego jawił mu się jako *mierna reprodukcja z nieznanego obrazu w ramach na biało pomalowanych*. To dość krzywdząca ocena, zważywszy na fakt, że przeprowadzona przez Agatę Woźniak-Niemkiewicz w 1999 r. konserwacja obrazu nie ujawniła znaczących prze-malowań płótna – a co za tym idzie, obraz musiał wyglądać tak samo za czasów ks. Walniczka. Być może negatywna opinia wynikała nie tyle z wyglądu obrazu, co ze wschodniego brzmienia nazwiska malarza (ks. Walniczek znany był z uszczypliwości wobec ludności ukraińskiej) – ale tego prawdopodobnie już nigdy się nie dowiemy.

Wcześniej w ołtarzu borowickiej świątyni eksponowano obraz Jezusa na krzyżu, mocno zniszczony w czasie I wojny światowej. Scena Przemienienia, namalowana farbami olejnymi na płótnie o rozmiarach 180 x 128 cm, została przystosowana wielkością do istniejącej wnęki ołtarzowej. Obraz powstał w 1915 roku, a sygnatura na nim zdradza, że autorem pracy jest W. Turewicz. I właśnie tutaj pojawia się zasadnicze pytanie: kim był ten artysta, obecnie praktycznie nikomu nieznanym?

Pragnąc ustalić imię owego malarza, w pierwszej kolejności rozpocząłem poszukiwania od zasobów internetowych. Ku memu rozczarowaniu, spośród malarzy o tym nazwisku napotykałem wyłącznie na wzmianki o niejakim Stanisławie Turewiczu. Wertowanie wielu słowników i encyklopedii artystów również nie przyniosło efektów. Byłem już nawet gotów uznać, że inicjał „W.” na obrazie to w rzeczywistości artystyczne ujęcie skrótu „St.”, pochodzącego od imienia Stanisław.

W trakcie poszukiwań przypadkowo natknąłem się na artykuł Anny Konopki pt. „Tajemnice św. Wita”. Artykuł wspomina o autorze obrazu św. Wita z kościoła parafialnego w Mełgwi, niejakim Medardzie Turewiczu – tak samo tajemniczym, jak W. Turewicz z borowickiego płótna. O obu artystach nie można znaleźć praktycznie żadnych wzmianek. Co więcej, nawet data urodzin Stanisława Turewicza nie jest

znana. Zbieżność nazwisk tych trzech artystów nie dawała mi spokoju – a co, jeśli Stanisław, Medard i enigmatyczny W. Turewicz to trzy różne osoby, które były ze sobą w jakimś stopniu spokrewnione? Rozwijana od lat pasja genealogiczna podpowiedziała mi, że warto w takim razie zerknąć do bazy Lubelskie Korzenie – lubgens.eu. I to był „strzał w dziesiątkę”.

Według informacji zawartych w bazie, dość łatwo udało się ustalić, że **Medard Turewicz** urodził się w 1881 r. w parafii pw. Nawiedzenia NMP w Woźuczynie, jako syn Ignacego Turewicza i Marianny z Wójtowiczów. Ożenił się ze Stanisławą Łuczowską (13/26 stycznia 1908 r.) w Chełmie, gdzie zamieszkał na stałe. Po nagłej śmierci Stanisławy ożenił się ponownie z Leokadią Trembicką (11/24 lipca 1909 r.) w Zamościu, razem z żoną zamieszkał w Chełmie. Zmarł niedługo potem, 5/18 marca 1912 r. w Chełmie.

Przy spisaniu aktu zgonu Medarda obecny był jego starszy brat **Walerian Turewicz**, który urodził się 28 kwietnia 1872 r. w Gródku k. Hrubieszowa. W Nabrożu wziął ślub ze Stanisławą Juszcza, dokładnie 2/14 stycznia 1894 r. Zapewne na przełomie wieków przeniósł się na ziemie chełmskie, do Marysina k. Rejowca. Udzielał się artystycznie wśród miejscowej społeczności, czego dowodem jest wzniesiony w 1932 r. pomnik Nieznanego Żołnierza w Marysinie. Walerian Turewicz (według ówczesnych notatek prasowych „znany artysta malarz”) kierował pracami artystycznymi przy budowie pomnika. Prawdopodobnie to on jest autorem obrazu Przemienienia Pańskiego, wiszącego w głównym ołtarzu kościoła w Borowicy – wszak Marysin i Borowicę dzieli niespełna 20 km. Walerian zmarł w Marysinie 30 stycznia 1944 r., owdowiając drugą żonę, Annę z Haponiuków. W akcie zgonu został określony jako „profesor gimnazjum” – niestety, nie udało się określić, w której dokładnie szkole uczył.

Co ciekawe, we wspomnianej bazie lubgens.eu natknąłem się także na kolejne, bardzo interesujące wpisy. Oto w Chełmie urodził się **Stanisław Marcin Turewicz**, syn Waleriana i Stanisławy z Juszczaaków. Na podstawie aktu urodzenia, przyszedł na świat 31 października/13 listopada 1900 r. W akcie ślubu nr 32/1929 z parafii pw. św. Jana w Lublinie, potwierdzającym zawarcie sakramentu małżeństwa przez Stanisława Marcina Turewicza

z Ireną Janke, pan młody tytułowany jest „profesorem”. Taki tytuł zapisany w księgach parafialnych, pomimo bardzo młodego wieku kawalera (28 lat), świadczy raczej o tym, że Stanisław był dyplomowanym nauczycielem – podobnie było w przypadku jego ojca, Waleriana (który wg aktu ślubu był „profesorem gimnazjum”).

Stanisław Turewicz znany jako malarz i grafik stylu *art déco*, członek grup artystycznych takich, jak Syndykat Artystów Plastyków Ziemi Południowo-Wschodnich czy Związek X-ciu Artystów Plastyków ze Lwowa, związany był z lwowskim akademickim środowiskiem artystycznym i tam też ukończył studia w młodym wieku. Istnieje zatem duże prawdopodobieństwo, że po ukończeniu studiów powrócił w rodzinne strony i zajął się nauczaniem w szkole, tak jak niegdyś jego ojciec.

Aby jednak ostatecznie udowodnić, że Stanisław Marcin Turewicz z Chełma oraz Stanisław Turewicz – artysta stylu *art déco* to ta sama osoba, należałoby odnaleźć więcej ku temu dowodów. Tym samym zachęcam czytelników do własnych poszukiwań. Osobiście będę wdzięczny za informacje o odnalezieniu kolejnych wzmianek lub dzieł opisanych wyżej twórców. Być może dzięki temu już niedługo uda się przywrócić Lubelszczyźnie i reszcie świata dziedzictwo artystycznego klanu Turewiczów.

Arkadiusz Kostecki

Bibliografia:

J. Górak, *Drewniany kościół z epoki klasycyzmu w Borowicy*, Lublin 1963.

A. Konopka, *Tajemnice św. Wita*, źródło: <https://www.swidnik.pl/tajemnice-sw-wita/> [dostęp: 11.05.2022].

S. Rudnik, *Dawne i obecne wyposażenie kościoła pw. Przemienienia Pańskiego w Borowicy*, [w:] D. Kopciowski, A. Frąckiewicz, B. Stolarz (red.), „Wiadomości Konserwatorskie Województwa Lubelskiego”, Tom 19 (2017), Lublin 2017.

„Zwierciadło” (czasopismo), nr 22/1932, ss. 3-4.

Portal genealogiczny Lubelskie Korzenie – Baza indeksów, źródło: www.regestry.lubgens.eu [dostęp: 11.05.2022].

Lucjan Cimek

Dzieje wsi i parafii Krupę w gminie Krasnostaw



W odległości 9 km na północny wschód od centrum Krasnegostawu leży wieś Krupę, położona po obu stronach małej rzeczki o nieco śmiesznej nazwie – Bzdurka. Sama wieś, przecięta drogą wojewódzką nr 812, swój wiek szacuje na około 600 lat, a rodowód wywodzi od sławnych Krupskich.

Jerzy Krupski w 1502 r. został starostą chełmskim, a następnie hrubieszowskim, bełskim i horodelskim. Był również kasztelanem bełskim i lwowskim, a przed śmiercią został wojewodą bełskim. Należał więc do osób o błyskotliwej karierze na terenach ziemi ruskiej, której początki ponoć zawdzięczał temu, że uratował w 1497 r. na polu bitwy pod Koźminem (Bukowina) życie królewiczowi Janowi Olbrachtowi, podając mu konia, by ten salwował się ucieczką z pola bitwy, w czasie której zabito pod nim dwa piękne rumaki. Jerzy Krupski ożenił się z Beatą z Buczacza na Podolu, córką wojewody ruskiego. Był znany z wielu przedsięwzięć budowlanych i wiele wskazuje na to, że pod jego nadzorem wybudowano w rodowej miejscowości Krupę okazałą fortecę, która dała początek lokalizacji późniejszego zamku. W ślad za małżonką Jerzego Krupskiego napłynęła do Krupę ludność rusińska wyznania greckokatolickiego, zasiedlając okoliczny teren.

W czasie wybuchu powstania styczniowego, w Krupem i jego okolicach (Ostrów Krupski, Siennica Nadolna i Wincentów) agitację powstańcą prowadził i czynnie wspierał właściciel majątku Krupę, Gilimerson. Z zemsty Moskale zabili go we własnym domu. Obecnie jest rzeczą zupełnie niemożliwą ustalić, co dokładnie spowodowało taką wściekłość rosyjskiego wojska, aby na oczach całej rodziny rozsiekać człowieka szablami. Nic więc dziwnego, że ludność rusińska zasilila szeregi powstańcze, chcąc pomścić Gilimersona i ucisk caratu. Cały okres powstania styczniowego był jedną wielką próbą dla zbiorowej duszy wsi Krupę. Zaprocentował on 3 listopada 1918 r. rozbrojeniem austriackiego posterunku żandarmerii w Krupem,

co dało sygnał, że należy przystąpić do rozbrajania okupantów w całym powiecie krasnostawskim.

Na progu niepodległości w skład zasadniczej wsi Krupę wchodziły trzy przysiółki: Kol. Krupę, Popówka i Zastawek. Według spisu powszechnego z 1921 r. wieś Krupę liczyła 87 domów i 627 stałych mieszkańców. Obok przeważającej pod względem narodowości ludności rusińskiej, mieszkało tu również około 20 procent Polaków i niecałe 5 procent Żydów. Do 1875 r. istniała w Krupem parafia greckokatolicka. W czasie kasaty unii została zamieniona na prawosławną, która przetrwała do zakończenia II wojny światowej (w Krupem mieszkali prawosławni, a w Ostrowie Krupskim katolicy należący do parafii łacińskiej w Krasnymstawie).

Dawny kościół pounicki, drewniany, jednonawowy stał w miejscu dzisiejszej plebanii. W 1875 r. został przemianowany na cerkiew prawosławną. Uległ całkowitemu spaleniowi podczas działań wojennych w 1914 r. Obecny kościół pw. Matki Bożej Częstochowskiej, został wybudowany w latach 1900-1905 jako cerkiew prawosławną. W 1945 r. oddano go katolikom, a jesienią tegoż roku poświęcił go dziekan krasnostawski, ksiądz prałat Bronisław Malinowski. W 1946 r. przebudowano wieżę i dachy, usuwając siedem kopuł cerkiewnych, popularnie zwanych cebulami. Dokonał tego ks. kapelan Jan Piotr Orzeł, który w latach 1946-1950 był proboszczem w parafii Krupę i potrafił doskonale zorganizować tę pracę. Wojewódzki Urząd Repatriacyjny w Lublinie, po wysiedleniu ludności rusińskiej za Bug, przyznał nowej parafii łacińskiej 12,31 ha ziemi ornej łącznie z łąką. Decyzją Powiatowego Wydziału Rolnictwa i Leśnictwa w Krasnymstawie z 7 maja 1962 r. zabrano parafii 8,96 ha ziemi ornej na Państwowy Fundusz Ziemi. Była to duża strata. Obecnie parafia posiada 3,35 ha ziemi ornej i łąki, stanowiącej użytek ekologiczny. Od początku powstania parafia łacińska w Krupem weszła w skład dekanatu krasnostawskiego. Aktualnie proboszczem jest ks. Piotr Hawryluk.

W latach 1946-1948, wspomniany już wyżej, energiczny ks. kapelan Jan P. Orzeł rozpoczął i zakończył budowę nowej plebanii. Dawny cmentarz unicki został założony na początku XIX wieku, później zamieniono go na prawosławną. Cmentarz katolicki istnieje od 1946 r. i przylega do cmentarza wcześniejszego. Spoczywa na nim ks. kanonik

Edward Wolski (1918-1997) – pochodzący z pobliskiego Ostrowa poeta ludowy i były żołnierz Batalionów Chłopskich w placówce Siennica Różana, a także chluba wsi Krupie – Czesław Czaban, żołnierz armii gen. Władysława Andersa, uczestnik bitwy pod Monte Cassino. Jest też zbiorowa mogiła żołnierzy Wojska Polskiego poległych w latach 1939-1945.

Archiwum parafii w Krupem nie posiada starych dokumentów. Ma dokumenty i księgi od czasów powstania parafii łańciskiej oraz niektóre artefakty z byłej cerkwi, np. korony, które trzymano nad nowożeńcami podczas ceremonii zaślubin.

Sama bryła kościoła, stosunkowo niewielka, murowana z czerwonej cegły, jednonawowa, neobarokowa. Do niższego i węższego prezbiterium przylegają dwie zakrystie, nawa prostokątna. Przy nawie znajduje się kruchta, a nad nią wieża zwieńczona krzyżem. Ołtarz główny jest wykonany z drewna lipowego i sosnowego w stylu późno-renesansowym, datowanym na 1663 r. W ołtarzu tym jest obraz Matki Bożej Częstochowskiej z 1946 r. Otoczony jest on czcią i wdzięcznością parafian, którzy zamieszkują tę ziemię, a także wiernych z najbliższej okolicy. Jeden ołtarz boczny w stylu renesansowym z 1663 r. znajduje się po lewej stronie nawy. W ołtarzu tym jest renesansowy krucyfiks. Obydwa ołtarze zostały sprowadzone do Krupego w 1970 r. z Wińska koło Wołowa na Dolnym Śląsku. Ołtarz boczny z prawej strony poświęcony jest Matce Bożej Fatimskiej. Ławki w nawie są z drewna dębowego i jesionowego, zostały wykonane w latach 1971-1972. Na chórze muzycznym znajduje się fisharmonia. Na ścianach kościoła widnieją kilka zabytkowych obrazów: Wniebowzięcie NMP (XVIII w.), Ostatnia Wieczerza (XVII w.), św. Jan Ewangelista (XIX w.), św. Łukasz (XIX w.). Okna zdobią kolorowe witraże z postaciami świętych.

Na wieży kościelnej jest umieszczona mała sygnaturka oraz dzwon spiżowy wagi około 300 kg, przywieziony przez

ekspatriantów z dawnego województwa lwowskiego (wykonany przez słynną Odlewnię Dzwonów Rudolfa Matheisela we Lwowie w 1928 r.). Dzwon, swoim donośnym biciem przypomina potomnym o wielkości II Rzeczypospolitej i ich kresowym rodowodzie, ale oni już na dobre wrosli w tę ziemię. Dowodem tego jest okazała remiza Ochotniczej Straży Pożarnej i nowa szkoła z dobrym zapleczem sportowym oraz zadbane domostwa, świadczące o wysokiej gospodarności i kulturze mieszkańców wsi Krupie.

Lucjan Cimek



Zabytkowy kościół pw. Matki Bożej Częstochowskiej w Krupem k. Krasnegostawu przyciąga licznych turystów i wiernych, mal. Alicja Cimek, akryl na płótnie, 50x40, 2021.



Krupie, dwór klasycystyczny z lat 1779-1782, przebudowany około 1840 r. – stan obecny, mal. Alicja Cimek, akryl na płótnie, 30x40, 2021.

Kazimierz Stołecki

Powiat krasnostawski na łamach „Głosu Lubelskiego”, pisma lubelskiej Narodowej Demokracji 1937-1939



1937, nr 186, 10 VII. Wychowankowie Odrodzenia z K.U.L. pracują już społecznie w terenie. Krasnystaw, 9.7. (tel. wł.) Kilka dni temu w Krasnymstawie odbyło się zebranie „Koła Inteligencji Katolickiej”, które jest jedną z organizacji wchodzących w skład Akcji Katolickiej. Na zebraniu tem wygłosić miał odczyt o masonerii urzędnik miejscowego starostwa p. Wajrak. P. Wajrak jest byłym studentem K.U.L., wychowankiem ideowym Odrodzenia, którego był nawet prezesem i z ramienia którego był prezesem Bratniej Pomocy S.K.U.L. Należy do grupy inteligencji przez Odrodzenie wychowanej i ukształtowanej. Przed wygłoszeniem referatu p. Wajrak postawił wniosek, by Koło Inteligencji Katolickiej uchwaliło rezolucję potępiającą J.E. Ks. Metropolitę Sapiechę i uzależnić wygłoszenie referatu od uchwalenia tej rezolucji. Zaprotestował przeciwko temu energicznie miejscowy proboszcz, ks. prałat Malinowski i na znak protestu opuścił salę. Poparli jego stanowisko inni obecni na zebraniu. Wówczas p. Wajrak oświadczył, że on opuszcza salę i wezwał wszystkich, którzy się z nim solidaryzują, by uczynili to samo. Wraz z p. Wajrakiem wyszli: urzędnik starostwa p. Zontag z żoną, p. Kowalska – żona sierżanta, oraz dwie urzędniczki pp. Maliżanka i Grosówna. Łącznie z p. Wajrakiem wyszło 6 osób. Wystąpienie p. Wajraka pozwala nam zapoznać się bliżej z typem inteligencji katolickiej, wychowywanej przez Odrodzenie na K.U.L. Zwłaszcza, że p. Wajrak jest okazem typowym, hodowanym w cieplarnianych warunkach. Typ rzeczywiście miły i dodatni, cenny, jako awangarda katolicyzmu w Polsce. *** Krasnystaw. Rozbój na drodze. W dniu 2 b.m. około g. 21 na drodze do wsi Majdan Wierzchow-

ski, gm. Żółkiewka, pow. krasnostawskiego, dwaj nieznani osobnicy zatrzymali Berezeckiego Walego, handlarza trzodą chlewną, zam. w Żółkiewce i zrabowali mu pod groźbą rewolweru 315 zł. po czym zbiegli. Pościg zarządzono.

1937, nr 187, 11 VII. Krasnystaw. Napad bandycki. Drozd Jan, zam. w kol. Fajstławice, pow. krasnostawskiego zameldował, że w dniu 6 b.m. około godz. 20-21 przybyli do niego na podwórze 2 nieznani osobnicy, którzy prosili o przenocowanie ich. W trakcie rozmowy wymienieni zakryli sobie twarze chustkami, a następnie dobyli broń palną i grożąc nią zażądali wydania pieniędzy. Po zrabowaniu około 300 zł., 12 rubli ros. i kilku koron austriackich, napastnicy nakazali domownikom, aby o wypadku tym nikomu nie meldowali, bowiem spalą ich lub zabiją, po czym udali się w kierunku pobliskiego lasu. Pościg zarządzono.

1937, nr 189, 13 VII. Krasnystaw. Wielki pożar. W sobotę około godz. 11.30 w folw. i wsi Dworzyska, gm. Izbica pow. krasnostawskiego, wskutek wadliwej konstrukcji komina, spłonęło 13 domów mieszkalnych, 33 różnych budynków gospodarczych, narzędzia rolnicze, zboże i częściowo inwentarz żywy. Straty wynoszą około 70.000 zł.

1937, nr 197, 21 VII. Krasnystaw. Śmierć kłusownika. Onegdaj dwaj mieszkańcy wsi Łopienik Górny, pow. krasnostawskiego Mazur Adolf i jego szwagier Dudek Feliks udali się na pola wsi Łopienik Górny na kłusownictwo. Podczas polowania Dudek manipulując nieostrożnie bronią myśliwską posiadaną nielegalnie, spowodował wystrzał raniąc w głowę Mazura, który nie odżywszy przytomności zmarł. Broń palną odebrano, winnego pociągnięto do odpowiedzialności karnej.

1937, nr 203, 27 VII. Krasnystaw. Pożar w Żółkiewce. Onegdaj, w os. Żółkiewka, pow. krasnostawskiego, z nieustalonej na razie przyczyny, na szkodę Chruściela Franciszka spłonął dom mieszkalny, obora i szopa, zaś na szkodę Chruściela Józefa obora i świnia z 9 prosiętami. Straty wynoszą 5844 zł. Dochodzenie prowadzi się.

1937, nr 215, 08 VIII. W ostatnich dniach skradziono kłacz i źrebię wartości 300 zł, Stanisławowi Łopinie w Czernięcinie, pow. krasnostawskiego, oraz 2 konie wartości 350 zł. Policja czyni poszukiwania celem ujęcia koniokradów.

1937, nr 228, 21 VIII. Wypadek motocyklisty. Wczoraj około g. 7-jej wieczór na 6 km. szosy od Krasnegostawu do Lublina, magister aptekarski Mazurkiewicz Stefan z Łęcznej pow. lubartowskiego, jadąc do Krasnegostawu motocyklem, zacerpił lewą nogą o koło przejeżdżającej furmanki, wskutek czego wyrzucił się, doznając złamania lewej nogi. Poszkodowanego umieszczono w szpitalu w Krasnymstawie. *** Kradzież koni. Na szkodę Maja Andrzeja zam. we wsi Dragany, gm. Wysokie, pow. krasnostawskiego skradziono 2 konie wart. 500 zł. Poszukiwanie zarządzono.

1937, nr 235, 28 VIII. Złote Krzyże Zasługi rozdzielono oficje w woj. lubelskim. Złoty Krzyż Zasługi po raz drugi za zasługi na polu pracy społecznej: Tadeuszowi Fleszyńskiemu w Maszowie powiatu krasnostawskiego.

1937, nr 246, 08 IX. Każdą panią zwiedzającą wystawę rzemieślniczą (Chmielna 4 III piętro), niewątpliwie zainteresują wyroby ludowe Iniane jak: obrusy, serwetki, rączniki, ścierki, poduszki, płótno i t.p. znanej tkalni Konrada Dudka w Krasnymstawie odznaczonej dyplomami i medalami.

1937, nr 263, 25 IX. Krasnystaw. Groźny pożar. We wsi Stryjów gm. Izbica pow. krasnostawskiego, z nieustalonej przyczyny wybuchł pożar w budynkach Romana Piotra. Szybko rozszerzający się ogień przerzucił się na inne budynki, niszcząc 16 domów mieszkalnych, 27 różnych budynków gospodarczych, zboże, 2 krowy i 11 szt. trzody chlewnej. Straty wynoszą około 41.000 zł. Dochodzenie trwa.

1937, nr 277, 09 X. Komornik Racinowski uwolniony od zarzutu nadużyć i defraudacji przez Sąd Apelacyjny. Głośną była w swoim czasie sprawa komornika Racinowskiego z Krasnegostawu, który oskarżony został o nadużycia wynosić mające kilkanaście tysięcy złotych. Komornik do winy się nie przyznał, mimo to wobec silnych poszlak i orzeczenia ekspertów skazany został przez Sąd Okręgowy lubelski na sesji wyjazdowej w Krasnymstawie na rok więzienia i 3000 zł. grzywny. Na skutek apelacji skazanego, sprawa znalazła się onegdaj przed Lubelskim Sądem Apelacyjnym. Rozprawie przewodniczył sędzia Ap. Kowalski. Sąd, po dokładnem rozpatrzeniu sprawy doszedł do wniosków wręcz odmiennych, niż Sąd Okręgowy. Ustalił, że komornik Racinowski żadnych nad-

użyć nie popełnił i że defraudacje nie miały miejsca, ale że w kancelarji i księgowości Racinowskiego istniały nieporządki i chaos, które stworzyły pozory nadużyć. Opierając się na tych wnioskach Sąd Apelacyjny wydał wyrok uniewinniający komornika Racinowskiego. W licznych sprawach komorników jakie się odbywały przed sądami lubelskimi, jest to bodaj pierwszy wyrok tego rodzaju i wywołał ogólną sensację.

1937, nr 278, 10 X. Kto ma dawać stypendia? Gminy czy starostowie? Dochodzą nas skargi z terenu pow. krasnostawskiego, na temat systemu, jaki zastosowany został przez władze przy wyznaczaniu gminnych stypendjów szkolnych. W swoim czasie, rząd wydał zarządzenie, by do budżetów gminnych wstawiano co rok pewne urny na stypendia dla najzdolniejszych chłopców, którzy nie mają dostatecznych środków na dalsze kształcenie. Zdawałoby się, że najprostszym i najbardziej zgodnym z intencją tego zarządzenia jest system wyznaczania stypendystów przez poszczególne Zarządy gminne. Tymczasem praktyka stosowana przez Starostwo krasnostawskie, zmierza do scentralizowania całej akcji. Sumy wyznaczone przez poszczególne gminy na stypendia, muszą być podobno posyłane do Starostwa, gdzie stworzono powiatowy fundusz stypendialny, a dopiero Starostwo dysponuje nim według własnej woli. Często zdarzają się wypadki, że starostwo odrzuca kandydatów wyznaczonych przez gminy, a na ich miejsce wyznacza swoich stypendystów. Ciekawe jest jak na tę sprawę zapatrują się czynniki kompetentne i czy na terenie innych starostw są stosowane podobne praktyki. Zwłaszcza warto by wiedzieć, kto zasadniczo ma wyznaczać stypendystów, gminy czy starostowie. Scentralizowanie stypendiów w rękach starostów nie wydaje się nam bynajmniej wskazane.

1937, nr 294, 26 X. Krasnystaw. Zabójstwo. We wsi Suchodoły gm. Fajslawice pow. krasnostawskiego podczas pijatyki wynikła kłótnia, a następnie bójka pomiędzy Kowalczykiem Stanisławem lat 33 a Bochniaczem Czesławem lat 22. W czasie bójki Bochniarz zadał nożem rzeźnickim cios Kowalczykowi w prawy bok powyżej pachwiny, kładąc go trupem na miejscu. Sprawcę zabójstwa zatrzymano do dyspozycji władz sądowych.

1937, nr 300, 02 XI. Kupiectwo polskie w krasnostawskim podjęło ożywioną akcję organizacyjną. Wczoraj Oddział Stowarzyszenia Kupców Polskich w Krasnymstawie, dokonał ważnego posunięcia organizacyjnego. Prezes Oddziału p. Zwierzchowski, sekretarz p. Wdowicki i skarbnik p. Gleń wyjechali do Izbicy i zwoławszy tam zebranie polskiego kupiectwa – założyli pododdział Stowarzyszenia. Pracuje tam około 15 polskich kupców. Spośród nich na zebranie stawilo się jedenastu. Po zreferowaniu celów i zadań Stowarzyszenia przez delegatów z Krasnegostawu – oraz statutu, jednogłośnie postanowiono założyć pododdział. Wybrano trzyosobowy Zarząd, do którego weszli pp. Wołkoński, Śliwiński i Rysek. Warto stwierdzić, że zainteresowanie organizacją jest wśród kupiectwa w krasnostawskim ogólne. Na kongres kupiecki do Warszawy wyjeżdża z Izbicy 3 kupców, z Krasnegostawu kilkunastu. Świadczy to doskonale o rozwijającej się polskiej aktywności gospodarczej. Kupiectwo prowincjonalne uskarża się na to, że kredyty państwowe przeznaczane dla kupiectwa polskiego – są dla kupców prowincjonalnych trudno dostępne. Po zlikwidowaniu lubelskiego oddziału Banku Spółek Zarobkowych – nie ma właściwie aparatu rozprowadzającego te kredyty na województwo lubelskie. Rzeczą najpilniejszą jest nie tylko rozszerzenie samej akcji kredytowej, ale powierzenie repartycji kredytów np. Komunalnym Kasom Oszczędności, które mają gęstą sieć w województwie.

1937, nr 303, 05 XI. Krasnystaw. Postrzelenie. We wsi Ponikwy gm. Zakrzew pow. krasnostawskiego został postrzelony z dubeltówki Zdybel Feliks lat 21 przez Stanisława Kowalczyka lat 22. Tłem zajścia była zemsta osobista. Zdybel doznał lekkiego uszkodzenia ciała.

1937, nr 310, 12 XI. Krasnystaw. Postrzelenie. We wsi Wólka Czernięcińska gm. Turobin pow. krasnostawskiego z nieustalonych powodów został postrzelony Batorski Józef lat 21 przez Kuryłę, mieszkańca tej samej wsi. Kuryło zbiegł.

1937, nr 310, 12 XI. Krasnystaw. Czerwony kur. We wsi Giełczew, gm. Wysokie pow. Krasnostawski z nieustalonych na razie powodów, spłonęła stodoła oraz zboże i narzędzia rolnicze. Straty wynoszą 4010 zł. Stodoła była własnością spadkobierców Michałaka Józefa.

1938, nr 1, 02 I. Na wsiach ciągle strzelają. Znowu awantura na zabawie. Krasnystaw 31.XII (tel. wł.). We wsi Zakrzew odbywała się zabawa taneczna. W czasie awantury, niejaki Jan Lewanda vel Daćko postrzelił z nielegalnie posiadanego rewolweru mieszkańca wsi Zakrzew Jana Deca lat 27. Daćce pistolet odebrano i pociągnięto do odpowiedzialności karnej.

1938, nr 17, 18 I. Krasnystaw zaczyna zmieniać oblicze. Odprężenie po zniknięciu radykałów i „bezpieczników”. Krasnystaw. Miasto Krasnystaw i powiat, znane były dawnymi laty z występów postów radykalnych jak: Okoń, Wrona, „Wojtek” Malinowski. Takich „świąt ludowych”, jakie były w Krasnymstawie, nie widziano w całej Polsce. Ale wszystko, co oparte na demagogii przechodzi bez śladu. Praca żmudna Fjałów, Kocuperów nie wydała owoców pożądaných ani dla państwa, ani dla społeczeństwa miejscowego. Szczególnie Kocuper zagadany mówca wieców przedwyborczych, „stary bezpiecznik”, pozostawił po sobie niemiłe wspomnienia. Należy stwierdzić, że po odejściu Kocopera nastąpiło odprężenie. Ludzie otrząsnęli się z dusznej atmosfery, tak lojalni jak i niełojalni, poczuli weselej patrzeć na świat i otoczenie, zabrali się do pracy nad lepszym jutrem Polski. A pracy jest dużo. Przede wszystkim ludność otumanioną pustymi frazesami należy skierować na właściwe tory, należy ją uświadomić pod względem pracy narodowej. Praca ta już rozpoczęta. Na miasto i powiat idą setki egzemplarzy prasy katolickiej, narodowej, szczególnie „Samoobrony”. To już robi swoje, a ludność garnie się do handlu, zakłada w mieście i po wsiach sklepiki, stragany; skup zboża, jaj, drobiu, cieląt. Jeszcze niedawno, Krasnystaw nie widział polskiego straganu – dzisiaj już ich jest 10. W najbliższym czasie powstaną polskie placówki z towarami, jakich dotąd nie ma. Wielką pomocą rozwoju nowych placówek i podtrzymaniu istniejących jest już prawie od roku działająca Chrześcijańska Kasa Bezprocentowa na czele z oddanym jej prezesem Z. Migurskim i dzielnym Zarządem. Kasa ta rozporządza gotówką około 3000 zł. a pieniądze zawsze są w ruchu. Krasnostawscy jakkolwiek żydów szanują, jako ludzi, nie biją ich, szyb nie tłuką, to jednak omijają ich sklepy, ale nie wszyscy. Należy podkreślić, że wieś krasnostawska lepiej rozumie spolszczenie

handlu niż inteligencja (nie wszystka) miejscowa i z okolicy.

1938, nr 19, 20 I. Przed wojną światową mówiono – powiat krasnostawski, i Sienkiewicz pisał „starosta krasnostawski”, pisze się przeciw Góry Świętokrzyskie, Świętopietrze w Rzymie. Dowcipni przybysze z Małopolski, podczas okupacji austriackiej, przewalili go Krasnostawskim. Mały Dziennik jeszcze zmienił nazwę na Krasnywstawski. Gdyby autor kroniki był uczniem szkoły powszechnej, za tę nowo wynalezioną nazwę „wstawiliby” mu, jako stopień 1 – lułę. Biedny powiat krasnostawski, krasnystawski, krasnywstawski, już sam nie wie jak się nazywa.

1938, nr 19, 20 I. N.O.K. (Narodowa Organizacja Kobiet) w Krasnymstawie rozwija się pomyślnie. Od naszego Czytelnika otrzymaliśmy następującą korespondencję: Dobiega już 9-ty rok, jak w Krasnymstawie powstał Oddział N.O.K. Krasnostawscy są poglądomi narodowych. Nic więc dziwnego, że w pierwszych latach swego istnienia, kiedy jeszcze B. B. nie było u szczytu chwały, a strachy jeszcze nie istniały, kobiety więcej uświadomione garnęły się do N.O.K. Z czasem, t.j. za rządów „starego bezpiecznika” (czytaj Kocupera), który różnymi sposobami działał na niekorzyść N.O.K. poszczególne członkinie, w obawie przed utratą posady swojej lub swych mężów, zaś młode z obawy „że nie wyjdą za mąż” (dosłownie tak straszono) – ustąpiły. Szeregi N.O.K. przeredziły się. Dziwnym zrządzeniem losów, młode, które pozostały w organizacji, wyszły za mąż, a tamte dotąd tkwią w panieństwie. Wszystkie szykany N.O.K. przetrwały, nawet i takie, jak plugawienie jej sztandaru, na którym jest godło Państwa i obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. „Stary bezpiecznik” miał mowę żalobną przed kościołem w Krasnymstawie; „plugawe te serca, plugawe te sztandary, które dzisiaj nie okryły się kirem żaloby”. Rzeczywiście nie było tam sztandaru N.O.K., ale nie z nienawiści, a ze względów zasadniczych, co nawet szlachetny przeciwnik zrozumie i wytłumaczy. Niedopuszczona do pracy na zewnątrz N.O.K. rozpoczęła energiczniej pracę wewnątrz organizacji. Dzisiaj N.O.K. rozrosło się i rośnie w siły, mając silną podstawę w świadomych swych celów członkach. Nie będzie przesady, jeżeli powiemy, że ton pracy narodowej w Krasnymstawie i okolicy nadaje Narodowa Organi-

zacja Kobiet, która w dniu 2 stycznia br., urządziła dla swych Członkiń „Opłatek”. Salę ubraną choinkami wypełniło 80 członkiń. W podniosłym nastroju dzielono się opłatkiem po uprzednim przemówieniu ks. prałata Malinowskiego i Przewodniczącej, życzone sobie wytrwania w pracy na posterunku, rozwoju organizacji N.O.K. na chwałę Boga i Wielkiej Polski. Wśród tego miłego nastroju postanowiły Członkinie wysłać list do Przew. N.O.K. w Warszawie P. Szebeko, z życzeniami, zawiadamiając za razem, że N.O.K. w Krasnymstawie nie tylko istnieje, ale się i rozwija.

1938, nr 52, 22 II. Trzech żydów – komunistów skazał Sąd na długoletnie więzienie. Krasnystaw (tel. wł.). Wyrokiem Sądu Okręgowego w Lublinie na sesji wyjazdowej w Krasnymstawie skazani zostali za udział w akcji wyrotowej Jancio Kalbeld z Izbicy na 6 lat więzienia, Chil Pelc z Izbicy na 9 lat więzienia i Estera Rozenberg również z Izbicy na 6 lat więzienia. Wszyscy pozbawieni zostali praw obywatelskich i honorowych na lat 10. W czasie przewodu sądowego przesłuchano kilkunastu świadków, którzy ponad wszelką wątpliwość stwierdzili winę wszystkich oskarżonych. Wysoki wymiar kary należy tłumaczyć przede wszystkim wysokim nasileniem złej woli u oskarżonych, oraz stopniem zaangażowania się w robocie wyrotowej. *** Fabryka Bukpol spłonęła doszczętnie. W dniu 18 bm. około godziny 19-ej w Krasnymstawie z nieustalonej na razie przyczyny, na szkodę Kołodziejczyka Walerego i S-ki, spłonęła fabryka giętych mebli p.f. „Bukpol” wraz z urządzeniem, materiałami surowcowymi i gotowymi fabrykatami. Straty wynoszą około 100.000 złotych. Pożar powstał w suszarni, zapełnionej półfabrykatami. W czasie pożaru 2 żołnierze z Baonu Telegraficznego ulegli wypadkowi, a mianowicie, podczas gdy jechali furmanką po narzędzia pożarnicze, wskutek spłoszenia się koni, szeregowiec Słomiński Aleksander doznał złamania lewej nogi, zaś szereg. Bednarski Zygmunt ogólnego potłuczenia nóg. Pożar został zlikwidowany przy udziale straży pożarnych w dniu 19 bm. o godzinie 3-ej. Dochodzenie prowadzi policja.

1938, nr 74, 16 III. Krasnystaw. 2.800 zł. padło łupem włamywaczy. Za pomocą włamania nieznanymi sprawcy dostali się do mieszkania lek. wet. Pleskacewicza Bazylego w Krasnymstawie

i skradli portfel z zawartością 250 zł., 1 obligację 7% dolarową stabilizacyjną na 500 dol., książeczkę oszczęd. z wkładem 2.100 zł. Dochodzenie prowadzi policja.

1938, nr 78, 20 III. Wszystkim tym, którzy wzięli udział w odprowadzeniu na wieczny spoczynek naszej ukochanej Matki ś.p. Anastazji Katarzyny z Dobrowolskich Prawdzic Cybulskiej zmarłej dnia 11 marca b.r. w Wysokiem k. Krasnegostawu i okazali wiele serca i życzliwości, a w szczególności: ks. Tytusowi Wolaninowi, ks. Czesławowi Zmysłowskiemu, ks. Józefowi Trusiowi, p. dyr. Gomułkiewiczowi składa serdeczne „Bóg zapłać”. Rodzina.

1938, nr 88, 30 III. Ogłoszenie. Z powodu parcelacji przez Państwowy Bank Rolny majątku Gielczew w powiecie krasnostawskim, odbędzie się 7 kwietnia b.r. o godz. 12-ej sprzedaż drogą licytacji inwentarza żywego obejmującego 21 dobrych koni, 24 sztuk rogacizny rasowej. Inwentarza martwego w pierwszorzędnym stanie t.j. dwa komplety młocarniane, dwie lokomobile, trzy żniwiarki, 18 wozów, dwie kosiarki, dwa kieraty (8-mio i 10-cio konny), dwie siewczarnie (dwukonna i trzykonna) pługi, dwa siewniki, skibowce, brony, radełki, wagi, zaprzęgi, powozy i kibitki, sanie i t.p. Wyjazd do Gielczwi z Lublina o godz. 9-ej rano autobusem w stronę Wysokiego stacja Gielczew, dojeżdżenie do majątku 6 minut pieszo.

1938, nr 91, 02 IV. W trosce o rozwój ziem wschodnich. W Krasnymstawie odbyło się zebranie przedstawicieli władz cywilnych, wojskowych oraz związków i stowarzyszeń. Powołano do życia Oddział T-wa Rozwoju Ziemi Wschodnich.

1938, nr 102, 13 IV. Długoletnie więzienie. Za udział w akcji wywrotowej. Znów seria procesów komunistycznych. Krasnystaw. Sąd Okręgowy w Lublinie na sesji wyjazdowej w Krasnymstawie rozpatrywał sensacyjną sprawę o udział w akcji wywrotowej. Na ławie oskarżonych zasiadło 10 osób. Sąd skazał Włodzimierza Kościuka na 15 lat więzienia, Pawła Szewczuka na 9 lat, Włodzimierza Krasowskiego na 8 lat, Helenę Wojtiek na 6 lat, Edwarda Małysza i jego kuzyna Edwarda Małysza po 5 lat, Bronisławę Frąc, Katarzynę Kusik, Czesława Małysza i Michała Stecia po 4 lata więzienia. Skazanych Sąd pozbawił praw obywatelskich na okres 10 lat. *** Krasnystaw. Tajemni-

cza zbrodnia. W pobliżu lasu maj. Bończa znaleziono zwłoki Włodzimierza Mazura mieszkańca wsi Olszanka, na którego szyi oprócz rany postrzałowej widniały dwie rany zadane siekierą. Podejrzanego o zabójstwo gajowego maj. Bończa – Władysława Harasima – aresztowano.

1938, nr 124, 07 V. Krasnystaw. Uroczystości strażackie. Ochotnicza Straż Pożarna w Turobinie uroczysto obchodziła 30-lecie swego istnienia. Odbyło się nabożeństwo, defilada straży Pożarnych i organizacji społecznych, a następnie dekoracja 12 osób za długoletnią służbę w Straży turobińskiej. W ramach obchodu poświęcono nową motopompę. W obchodzie wzięło udział 270 członków Straży oraz około 2.000 okolicznej ludności. *** Z żałobnej karty. Ś.p. Władysław Roch Robert Bleszyński w dniu 23 kwietnia br. zakończył życie w Toruniu i tamże został pochowany. Znany na terenie Lubelszczyzny rolnik i działacz społeczny. Urodził się w 1869 roku w majątku rodzinnym Gorzkowie w krasnostawskim. Po ukończeniu gimnazjum Pankiewicza w Warszawie i odbyciu praktyki rolniczej w dobrach Milejów, osiadł u siebie, oddając się z zamiłowaniem pracy na roli. Zjednał sobie powszechny szacunek i uznanie, o czym świadczy wybór na prezesa Związku Ziemian pow. krasnostawskiego, a następnie na stanowisko dyrektora biura Okręgowego Związku Ziemian w Lublinie. W parę lat później został zaangażowany przez Pomorską Izbę Rolniczą na inspektora hodowli owiec, wybitny znawca w tej dziedzinie pracował do ostatnich chwil na terenie Pomorza i Poznańskiego. Zmarł nagle na serce. Zgon Jego pogrzeżył w żalobie s. Wł., mierniczego zamieszkałego w Słonimie, oraz córki p. magistrza Helenę Bleszyńską, Pawlukową, p. Różę Bleszyńską, inspektorę harcerstwa przy Kuratorium Lubelskim i p. Hannę Bleszyńską, absolwentkę szkoły ogrodniczej w Snopkowie, pracującą w zakładach ogrodniczych Trufaut w Wersalu pod Paryżem. Śp. Władysław Bleszyński należał do ludzi o stałych zasadach narodowych, rozumiał potrzebę i zadania pracy narodowej, którym służył przez całe swoje życie, jako członek Stronnictwa Narodowego. Cześć pamięci zacnego człowieka i Polaka. J.S.

1938, nr 127, 10 V. Krasnystaw. Uroczystości strażackie. Ochotnicza Straż Pożarna w Turobinie uroczysto obchodziła 30-lecie istnienia.

W ramach uroczystości odbyło się nabożeństwo, defilada Straży Pożarnych i organizacji społecznych, a następnie dekoracja 12 osób za długoletnią służbę w Straży turobińskiej. W ramach obchodu ponadto odbyło się poświęcenie nowej motopompy. W obchodzie wzięło udział 270 członków Straży oraz około 2.000 okolicznej ludności.

1938, nr 129, 12 V. Krasnystaw. Gość z nieba. Na łąkach obok Krasnegostawu z powodu niesprzyjających warunków atmosferycznych wylądował szybowiec typu C.W. 5 Bis 35 należący do aeroklubu warszawskiego, prowadzony przez Krzysztofa Millera, lat 19, studenta Politechniki Warszawskiej. Lądowanie odbyło się normalnie.

1938, nr 129, 12 V. O puchar P.Z.U.W. Wielkie Zawody Lotnicze. W niedzielę zawodnicy wylądują w Lublinie. Dnia 15 V. o godz. 6.30 nastąpi start ze Lwowa do drugiego etapu lotu okrężnego na trasie: Lwów-Sokal-Włodzimierz-Hrubieszów-Zamość-Krasnystaw-Lublin-Lubartów-Biała Podlaska-Warszawa.

1938, nr 136, 19 V. Sprawca tajemniczego morderstwa został osadzony w więzieniu. Chełm. Na graniczących z powiatem chełmskim polach wsi Olszanka pow. krasnostawskiego dokonano niedawno w zagadkowych okolicznościach zabójstwa 18-letniego Józefa Mazura mieszkańca pobliskiej wsi. Jako podejrzanego o zabójstwo osadzono w więzieniu gajowego Harasyma. Dopiero obecnie w toku dochodzeń wyjaśniło się, że sprawcą zabójstwa jest 18-letni Stefan Kozieł. Zabójcę ujęto i osadzono w więzieniu. Gajowy Harasym odzyskał wolność. Tłem zabójstwa były porachunki osobiste. *** Groźne pożary niszczą dobytek ludzki. We wsi Krupe, pow. krasnostawskiego, z nieustalonej na razie przyczyny w zabudowaniach Marczuka Jana, wybuchł pożar, który zniszczył dom mieszkalny i sprzęty domowe, wartości 2293 zł. *** We wsi Krupe, pow. krasnostawskiego, z nieustalonej przyczyny w zabudowaniach Parasjana Mikołaja wybuchł pożar, który przerzucił się na zabudowania 8 innych gospodarzy, niszcząc 5 domów mieszkalnych oraz zabudowania gospodarcze wraz ze sprzętami domowymi i narzędziami rolniczymi. Ogólne straty wynoszą 11687 zł. Wypadku w ludziach nie było.

1938, nr 137, 20 V. We wsi Tarzymiechy, gm. Izbica pow. krasnostawskiego, w zabudowa-

niach Kałamajki Władysława, wybuchł pożar, który zniszczył zabudowania 18 gospodarzy, a to 14 domów mieszkalnych i 14 budynków gospodarczych. Straty ogólne wynoszą 14920 zł.

1938, nr 140, 23 V. Osada Żółkiewka spłonęła doszczętnie. Olbrzymi pożar szalał przez siedem godzin. W sobotę (21.V) około godziny 22-ej, w jednym z budynków gospodarskich w osadzie Żółkiewka, (położonej w odległości około 25 klm. od Krasnegostawu) wskutek nieostrożnego obchodzenia się z ogniem, wybuchł pożar. Trwająca od dłuższego czasu susza i silny wicher, sprzyjały rozszerzaniu się pożaru. To też w ciągu kilku minut wszystkie okoliczne zabudowania stanęły w płomieniach, a pożar z niezwykłą szybkością objął całą osadę. W akcji ratowniczej, którą kierowali przedstawiciele władz państwowych, wzięło udział przeszło 20 straży ogniowych. Mimo energicznej akcji pożar został opanowany dopiero w niedzielę o godzinie 5-ej rano. Spłonęła doszczętnie cała osada i sąsiadujący z nią folwark, p. Karola Walczaka. Ocalał jedynie kościół, budynek urzędu gminnego i posterunku policji oraz murowany dom, w którym mieści się apteka. Według prowizorycznych obliczeń straty wynoszą przeszło pół miliona złotych. Jak się dowiadujemy zawiązał się natychmiastowy komitet, który zajmie się losem setek rodzin, które pozostały bez środków do życia i bez dachu nad głową.

1938, nr 142, 25 V. Na zgłiszczach Żółkiewki obozuje pod gołym niebem 3163 osoby. Lublin. Wielki pożar, który ubiegłej niedzieli (22.V) strawił całą osadę Żółkiewka pod Krasnymstawem pozbawił dachu nad głową 455 rodzin. 3163 osób, w tym 1899 dzieci obozuje pod gołym niebem. Na miejsce pożaru przybył niezwłocznie p. wojewoda lubelski Jerzy de Tramecourt oraz naczelnik Wydziału Społ.-Polit. p. Kamiński. P. wojewoda wystąpił z wnioskiem do Ministerstwa o przyznanie kredytów na pomoc ofiarom pożaru. Na miejscu zawiązał się Komitet Społeczny, który przy współudziale Miejskiego Komitetu Pom. Dzieciom i Młodzieży w Krasnymstawie zorganizował akcję dożywiania dzieci i młodzieży. Na ten cel Komitet Woj. przyznał tymczasowo kwotę 500 zł.

1938, nr 148, 31 V. 12 nowych szkół powszechnych powstaje w pow. krasnostawskim. Krasnystaw. W roku 1937/38 na budowę szkół

w pow. krasnostawskim, Tow. Popierania Budowy Publ. Szkół Powszechnych udzieliło pożyczek w wysokości 39.000 zł. Komunalny Fundusz Poż.-Zapomogowy 36.000 zł., pożyczek i 3.000 zł., zapomóg, gminy 80.000 zł., zaś świadczenia w naturze wyniosły ponad 150.000 zł. Obecnie w budowie jest 9 szkół, 3 zaś w projekcie. Jeśli praca w tym kierunku w powiecie będzie prowadzona nadal w dotychczasowym tempie, to za 3 lata pow. krasnostawski będzie posiadał wystarczającą ilość izb szkolnych we własnych budynkach.

1938, nr 155, 08 VI. Ulgi podatkowe dla mieszkańców spalonej osady. Lublin. W związku z klęską pożaru, jaka w dniu 21 maja b.r. nawiedziła osadę Żółkiewka, która uległa niemal zupełnie spaleniu, dyrektor Izby Skarbowej w Lublinie p. Stefan Sieradzki przeprowadził wizję lokalną szkód i strat poniesionych przez pogorzalców. Dyrektor Sieradzki wydał Urzędowi Skarbowemu w Krasnymstawie polecenie bezzwłocznego zastosowania ulg w podatkach w postaci odroczenia, rozłożenia na raty lub umorzenia częściowego względnie całkowitego w ramach obowiązujących przepisów. *** Krasnystaw. Złot harcerzy. W Tarnogórze koło Krasnegostawu odbył się zlot harcerzy pow. krasnostawskiego, w którym wzięło udział około 240 harcerzy i 300 zuchów. Po nabożeństwie odbyła się defilada następnie biegi harcerskie i pokazy, zaś wieczorem ognisko. *** Napad bandycki. Szalek Bronisław, zam. w kol. Żegotów, pow. krasnostawskiego zameldował, że w dniu 4 b.m. około godz. 22.30 do jego mieszkania przyszło 5 osobników, z których 3 było zamaskowanych i uzbrojonych w broń myśliwską, jeden w rewolwer. Napastnicy zażądali wydania pieniędzy, a gdy spotkali się z odmową zabrali 2 zegarki, zboże w 2 workach i 65 łokci płótna wart. 90 zł. po czym wyszli grożąc śmiercią w razie zameldowania policji. Pościg za bandytami zarządono.

1938, nr 162, 15 VI. Krasnystaw. Nowa szkoła. W Pilaszkowicach w pobliżu Krasnegostawu odbyło się poświęcenie kamienia węgielnego pod budowę 7-klasowej szkoły powszechnej. W uroczystości wziął udział starosta powiatowy oraz miejscowa i okoliczna ludność, władze szkolne i nauczycielstwo.

1938, nr 168, 21 VI. Pięciu komunistów żydów skazano na karę więzienia. Sąd Okręgowy z Lublina, na sesji wyjazdowej w Krasnymstawie

skazał za akcję wywrotową Esterę Gryn na 5 lat więzienia, Icka Blumensztoka na 4 lata więzienia, Abusia Motykę na 3 lata, Ksyła Bekiera i Ksyła Gewercmana po 2 lata, pozbawiając wszystkich skazanych praw obywatelskich na przeciąg lat 10. *** CKM. Z biedką i zaprzęgiem otrzymał w darze chełmski pułk piechoty. W ub. niedzielę wieś Niemienice, jako pierwsza w pow. krasnostawskim, złożyła dar na dobrojenie Armii w postaci konia z uprzężą i wózka pod ciężki karabin maszynowy. Do Niemienic przybył oddział wojska, powitany przez przedstawiciela gromady Antoniego Gondarza. Uroczystość rozpoczęła się mszą św. połową, odprawioną przez kapelana ks. płk. Warchałowskiego w asyście ks. Mszczuka, który dokonał poświęcenia daru, po czym przekazał go dowódcy pułku płk. Muzyce. Przemówienia okolicznościowe wygłosili starosta Olejniczakowski i płk. Muzyka, po czym odbyła się defilada wojska, organizacyj i młodzieży szkolnej. W uroczystości wzięło udział przeszło 3000 osób z Krasnegostawu i okolicy.

1938, nr 171, 24 VI. Krasnystaw. Dozbrajamy armię. Z inicjatywy polskich rzemieślników powstał w Krasnymstawie Komitet mający na celu zebranie funduszków na karabin maszynowy dla wojska.

1938, nr 175, 27 VI. Uczestnik rajdu Międzynarodowego uległ katastrofie pod Krasnymstawem. Krasnystaw, 27.6. (tel. wł.). Wczoraj o godzinie 2.30 auto prowadzone przez uczestnika rajdu Międzynarodowego, p. Karola Klinga ze Stuttgartu opatrzone numerem rajdowym 12, na czwartym kilometrze przed Krasnymstawem wpadło na barierę odgradzającą część naprawianej szosy. Dach i karoseria samochodu uległy rozbiciu. Osoby, znajdujące się w samochodzie zostały lekko kontuzjowane. Samochód został wycofany z rajdu i powrócił do Warszawy.

1938, nr 176, 28 VI. Krasnystaw. Skazanie komunistów. Sąd Okręgowy w Lublinie, na sesji wyjazdowej w Krasnymstawie skazał za akcję wywrotową Feliksa Ryszaka na 5 lat więzienia i Józefa Smyka na 3 lata, pozbawiając obu praw obywatelskich na przeciąg lat 10. *** Śmierć od pioruna. W czasie szalejącej burzy nad wsią Pilaszkowice w pobliżu Krasnegostawu został zabity od uderzenia pioruna Czesław Lis, który w tym czasie jechał wozem.

1938, nr 185, 08 VII. Delegacja lubelskiego Okręgu L.M.K. w Wejherowie. W programie tegorocznych „Dni Morza” miała miejsce miła i pożyteczna innowacja, mająca na celu zacieśnienie więzów łączności pomiędzy społeczeństwem województw centralnych i wschodnich, a społeczeństwem pomorskim. Delegacja, która udała się z Lublina do Wejherowa, składała się z 40 osób, przeważnie członków Oddziału L. M. K. z Siennicy Różanej, pow. krasnostawskiego, prowadzonego przez ks. J. Terebusa i tamtejszego komendanta P.P., J. Potyrańskiego.

1938, nr 192, 15 VII. Mleczarstwo na terenie Lubelszczyzny. Nakreślony na okres 1937-1940 plan mleczarski, mający na celu właściwe zorganizowanie spółdzielczego przetwórstwa i zbytu nabiału, a przede wszystkim scentralizowanie wyrobu masła w większych, lepiej urządzonych okręgowych spółdzielniach, jest realizowany na terenie okręgowego związku w Lublinie. W ciągu pierwszego półrocza b.r. w ramach tego planu zaprzestano wyrobu masła i przekształciło się z maślarni na śmietanczarnie 7 spółdzielni mleczarskich, zorganizowano w tym czasie trzy samodzielne śmietanczarnie. Wyniki prac scaleniowych małych maślarni spółdzielczych w pow. krasnostawskim umożliwiły uruchomienie napędu mechanicznego w okręgowej spółdzielni w Krasnymstawie. Spółdzielnia ta przerabia obecnie około 12 tys. litrów mleka dziennie i wysyła za granicę swe masło, jako produkt standartowy, uzyskując przez to wyższe ceny. Jest to po Zamościu drugi eksportowy zakład mleczarski na terenie Okręgowego Związku w Lublinie, wyrabiający masło standartowe. Oprócz scalania i mechanizacji spółdzielczych zakładów mleczarskich postępują prace wznoszenia odpowiednich budynków przy pomocy specjalnego kredytu inwestycyjnego z Ministerstwa Rolnictwa. W pierwszym półroczu b.r. z pośród okręgowych spółdzielni mleczarskich wykończyło rozpoczęte w 1937 roku budynki 2 spółdzielnie, prowadziło przebudowę – 1, przystąpiło do budowy 9 spółdzielni.

1938, nr 193, 16 VII. Krasnystaw. Tragiczny wypadek motocyklisty. Mieszkaniec Krasnostawu Stanisław Warynak, jadąc motocyklem szosą Lublin-Zamość wpadł na barierę ustawioną w miejscu prowadzonych robót drogowych. Wsku-

tek przewrócenia się motocykla Warynak doznał ciężkich uszkodzeń ciała i został przewieziony do szpitala. Przyczyny wypadku nie zdołano na razie ustalić.

1938, nr 204, 27 VII. Krasnystaw. Napad zamaskowanych bandytów na mieszkanie lekarza. W dniu wczorajszym około godz. 24-ej do mieszkania dr. Piotra Szpringera w Krasnymstawie zapukało dwóch nieznanych osobników. Na zapytanie służącej odpowiedzieli, że potrzebują pomocy lekarskiej, wobec czego pokojówka obudziła dr. Szpringera, który sam otworzył drzwi. Wówczas jeden z „pacjentów” chwycił lekarza za gardło, zaś drugi zamaskowany i uzbrojony w rewolwer wezwał służącą do podniesienia rąk do góry. Zanim jednak bandyci zdołali opanować sytuację, domownicy podnieśli alarm, wobec czego rabusie zbiegli. Pościg na razie nie dał rezultatu.

1938, nr 206, 29 VII. Krasnystaw. Dziecińce na okres żniw. W związku z rozpoczęciem żniw uruchomiono na terenie powiatu 10 dziecińców, w których znalazło opiekę 420 dzieci. Działwa jest dożywiana trzy razy dziennie. Dziecińce pozostają pod fachową opieką wychowawczą i lekarską.

1938, nr 219, 11 VIII. Krasnystaw. Ścigany złodziej popełnił samobójstwo. Do Tarnogóry, pow. krasnostawskiego, przybył nieznany osobnik rajzer, który skradł kamasze. Gdy służba usiłowała go zatrzymać, osobnik ów wy dobył rewolwer i zagroził nim, po czym zaczął uciekać. W czasie pościgu ostrzeliwał się, lecz gdy spostrzegł nadbiegającego policjanta, wskoczył do pobliskiego rowu i popełnił samobójstwo, strzelając sobie w usta. Przy zabitym znaleziono świadectwo urodzenia na nazwisko Stefana Wantora, ur. 1907 r., rewolwer i 3 wytrychy.

1938, nr 253, 15 IX. Krasnystaw. Manewry straży ogniowej. Na zakończenie Tygodnia Obrony Przeciwpożarowej w Krasnymstawie odbyły się manewry Ochotniczej Straży Pożarnej. W manewrach wzięto udział 7 oddziałów Straży w tym 2 zmotoryzowane i żeńska służba pożarnicza. W czasie manewrów użyto petard i świec dymnych pozorujących nalot samolotów. Na zakończenie odbyła się defilada Straży z taborami, którą przyjął starosta Olejniczakowski. Licznie zgromadzona publiczność z zainteresowaniem śledziła przebieg ćwiczeń.

1938, nr 274, 06 X. Poważna placówka przemysłowa przeszła w ręce żydowskie. Była w Krasnymstawie poważna jedyna placówka polska, tartak i fabryka giętych mebli – własność pp. Kołodziejczyków, która zatrudniała kilkudziesięciu robotników. Należy zaznaczyć, że Kołodziejczykowie fabrykę giętych mebli prowadzili do spółki z żydem, tłumacząc się tym, że nie mogli znaleźć spółnika chrześcijanina. Zimą br. fabryka giętych mebli spaliła się. Zdawało się, że teraz Kołodziejczykowie już skończą z żydami, tymbardziej, że nabyli plac, na którym stoi tartak i fabryka giętych mebli, z rąk polskich. Przed spisaniem aktu rejentalnego, sprzedający chcieli zrobić zastrzeżenie, że Kołodziejczykom nie wolno sprzedać tej ziemi żydowi, jednak p. Kołodziejczyk odrzucił tę propozycję z oburzeniem uważał to za ubliżenie, spisano więc akt bez zastrzeżenia. Nie upłynęło kilka tygodni, aż tu gruchnęła po Krasnymstawie wieść: Kołodziejczykowie wydzierżawili żydom tartak i ruiny po spalonej fabryce. Żyd remontuje fabrykę giętych mebli, robotnikom już obniżył płace na razie nieznacznie. Robotnicy złorzeczą Kołodziejczykom a opinia w mieście nie ma słów potępienia. A przecież Kołodziejczykowie byli ludźmi uspołecznionymi, p. Kołodziejczykowa to prezeska Sodaliji Pań w Krasnymstawie, członkini N.O.K., p. Kołodziejczyk czynny członek Stow. Mężów Katolickich, a oboje razem pracowali w Kole Inteligencji Katolickiej i Akcji Katolickiej!

1938, nr 283, 15 X. Sanacyjne listy kandydatów w Lubelskim. Kto i gdzie ubiega się o mandat poselski? Okręg 36 (Chełm-Krasnystaw-Hrubieszów). Kandydaci na posłów Tadeusz Lechnicki, ziemianin, Józef Hołysz, rolnik, Wincenty Kociuba, rolnik, Jan Psuj, rolnik i Mirosław Toporowski, dyrektor gimnazjum Zastępcy: Konstanty Pac, spółdzielca, Teofil Szenauer, rolnik, Józef Rogowski, rolnik, Marian Cudny, mierniczy.

1938, nr 287, 19 X. Krasnystaw. Tragiczna śmierć kłusownika. Na polach w okolicy wsi Tarnawa pow. krasnostawskiego znaleziono w ubiegłym tygodniu zwłoki znanego kłusownika Andrzeja Zawiślaka. W pobliżu zwłok leżała wystrzelona dubeltówka. W pierwszej chwili przypuszczano, że Zawiślak padł ofiarą stałych zatargów między kłusownikami na tle zawiści i podejrzliwości. Jednak w wyniku przeprowadzonego dochodzenia władze

ustaliły, że Zawiślak wskutek nieostrożnego obchodzenia się z bronią spowodował wystrzał, tak nieszczęśliwie, że kula przeszła mu przez szyję, powodując natychmiastową śmierć.

1938, nr 300, 01 XI. Pow. Krasnystaw. Pożar. We wsi Żurawie, gm. Turobin, pow. krasnostawskiego, z nieustalonej na razie przyczyny, na szkodę Józefa Szarana, spłonął dom, zabudowania gosp., zboże i część inwentarza żywego. Straty wynoszą około 2.000 zł.

1938, nr 307, 08 XI. Kupcy polscy w Krasnostawskim przy pracy organizacyjnej. Krasnystaw. 7.XI (tel. wł.). Wczoraj odbyło się w Krasnymstawie ogólne zebranie kupców chrześcijańskich z udziałem przedstawicieli kupiectwa polskiego z Izbicy w osobach pp. Wilkońskiego, Śliwińskiego, Rysiaka, Ciepichalskiej i Bazyłakowej, z Gorkzowa pp.: Wrony i z Bzitego p. Wepy. Zarząd zreferował sprawę wciągnięcia do organizacji wszystkich polskich kupców na terenie powiatu. Sprawa ta o pierwszorzędnej doniosłości wywołała ogólne zainteresowanie i spowodowała ożywioną wymianę myśli i projektów. W wyniku wyborów powołano na prezesa p. J. Zwierzchowskiego, na wiceprezesów pp.: F. Wdowickiego i A. Majewskiego, na skarbnika p. J. Zamojskiego, na sekretarza p. K. Laskowskiego oraz na gospodarza p. Bombolewskiego. Zarząd zamierza dołożyć wszelkich sił, by Stowarzyszenie na terenie powiatu wydatnie rozwinąć i skoncentrować w nim całe kupiectwo polskie. Skład personalny zarządu gwarantuje sprężyste kierownictwo sprawami stowarzyszenia.

1938, nr 311, 12 XI. Pow. Krasnystaw. Pożar w kol. Roszki, gm. Żółkiewka, powiatu krasnostawskiego, z nieustalonej na razie przyczyny, na szkodę sukcesorów Macieja Łosia i 3-ch innych gospodarzy, spłonęło 5 domów mieszkalnych, 7 różnych budynków gospodarczych, zboże, narzędzia rolnicze i częściowo inwentarz żywy. Straty wynoszą około 20.000 zł.

1938, nr 318, 19 XI. 96 majątków z terenu województwa lubelskiego sprzedanych zostanie w drodze licytacji za zaległości w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim. Powiat Krasnostawski: Baranica, Bzowiec, Gardzienice (B), Markiewiczów, Płonka, Wierzchowiny. (Razem 6 majątków.) *** Pow. Krasnystaw. Napad bandycki. W dniu 14 b.m. na ośmiu mieszkańców wsi Wola Studziń-

ska idących do notariusza do Krasnegostawu, napadło sześciu zamaskowanych bandytów, którzy sterroryzowali gospodarzy, a następnie zrabowali im przeszło tysiąc złotych. Jak ustalono jeden z bandytów uzbrojony był w karabin typu wojskowego, pozostali w noże i rewolwery.

1938, nr 319, 20 XI. Pow. Krasnystaw. Tragiczny strzał do narzeczonej. Mieszkaniec wsi Romanów, pow. Krasnostawskiego – Adolf Zeliszczyk wystrzelił z rewolweru do swojej narzeczonej Wacławcy Chwały trafiając ją w brzuch. Ranną w stanie ciężkim umieszczono w szpitalu. Przyczyna postrzelenia na razie nie ustalona. Zeliszczyk zbiegł i ukrywa się. Poszukiwania za nim zarządzono.

1938, nr 322, 23 XI. Pow. Krasnystaw. Podrzutek. W dniu 10 b.m. we wsi Romanów, pow. Krasnystaw nieznaną kobietą porzuciła dziecko płci żeńskiej w wieku około 3-4 tygodni. *** Postrzelił kolegę. W osadzie Turobin pow. krasnostawskiego, Ludwik Goszczyński manipulując nielegalnie posiadany rewolwerem spowodował wystrzał, raniąc w okolicę brzucha kolegę swego Jana Łaguda. Rewolwer odebrano, zaś winnego pociągnięto do odpowiedzialności karnej.

1938, nr 325, 26 XI. Pow. Krasnystaw. Przeszło 20 tys. złotych poszło z dymem. W dniu 22 b.m., na szkodę Pawła Grabonia i pięciu innych mieszkańców wsi Grudki, gm. Turobin pow. krasnostawskiego, z nieustalonej na razie przyczyny, spłonęły domy, 22 budynki gospodarskie, zboże oraz częściowo inwentarz żywy i martwy. Straty wynoszą około 20 tys. zł. W czasie akcji ratunkowej uległ dość poważnemu poparzeniu Stanisław Graboś.

1938, nr 332, 03 XII. Pow. Krasnystaw. Tajemnicza zbrodnia. Na drodze we wsi Żurawnie, gm. Turobin, pow. krasnostawskiego nieujawniony na razie sprawca, wystrzałem z broni palnej zabił Józefa Bizioraka, mieszkańca wsi Gaj Czernicki, gm. Turobin.

1938, nr 337, 08 XII. Wspaniały rozwój elektryfikacji Lubelszczyzny. Idea stworzenia Międzykomunalnego Związku Elektryfikacyjnego, wysunięta przez Ministerstwo Przemysłu i Handlu, zrealizowana została na terenie Lubelszczyzny przez P. wojewodę Roźnieckiego w początkach 1935 r. Wyrazem tego było powołanie do życia komitetu organizacyjnego, któremu powierzono

załatwienie niezbędnych formalności. Do Związku zgłosiło się na razie 5 miast: Lublin, Zamość, Krasnystaw, Lubartów i Chełm. Pierwotna koncepcja zasilenia 9 południowych powiatów województwa lubelskiego oparta była na tym, że Lublin i Zamość w początkach 1935 r. posiadały w swoich elektrorowniach taki nadmiar mocy, który pozwalał przez połączenie liniami przesyłowymi o wysokości napięcia 50 tys. volt w dostatecznej mierze zasilić miasta: Lubartów, Krasnystaw i Chełm. Miasta te posiadały w owym czasie małe elektrownie, które jak np. Chełm, nie wystarczały dla potrzeb miasta, lub jak w Lubartowie i Krasnymstawie dostarczały prąd po bardzo wysokiej cenie. W październiku 1935 roku władze wojewódzkie zatwierdziły statut Związku, a w październiku tegoż roku ukonstytuowały się władze. W ten sposób powstał Lubelski Międzykomunalny Związek Elektryfikacyjny (LUB-ZEL). Związek od razu przystąpił do opracowania projektu sieci dla całego swego terenu (9 powiatów), który miał być zrealizowany w ciągu 4-5 lat. Plan ten przewidywał ujęcie całego obszaru w pierścień, który przechodziłby przez: Lublin, Piaski, Krasnystaw, Izbicę, Zamość, Szczepieszyn, Zwierzyniec, Biłgoraj, Frampol, Janów Lubelski i Kraśnik, zamykając się w Lublinie. Od tej linii przewidywano odgałęzienia do Tomaszowa, Hrubieszowa, Chełma, Lubartowa i Tarnobrodu. Przedstawiony wyżej plan realizowany był z całą konsekwencją. I tak w roku 1936 Związek wybudował linię wysokiego napięcia z Lublina do Lubartowa długości 26 km, z Izbicy do Krasnegostawu, łącząc go z Zamościem linią przesyłową o długości 12 km, i linię od Zawady do Szczepieszyna (11 km.). W grudniu 1936 r. zostały te trzy miasta przyłączone do sieci Związku i rozpoczęła się normalna dostawa energii. Naturalną konsekwencją było powstanie w miejscowościach zelektryfikowanych szeregu drobnych placówek przemysłowych, jak: młyny, olejarnie, drobne warsztaty mechaniczne i stolarskie, tak że w tej chwili czynnych jest już przeszło 50 zakładów z mocą zainstalowanych silników ponad 150 koni. W roku 1937 Związek wybudował linię przesyłową (30 tys. V.) Piaski-Lublin długimi 26 km., przyłączając po drodze do swej sieci Świdnik (Adampol) i Piaski Luterskie. W tymże roku Związek przeprowadził linię wysokiego napięcia do Komarowa (pow. tomaszowski)

i zelektryfikował całą osadę, dając jej jednocześnie oświetlenie uliczne 64 lampami. I tu doprowadzenie energii elektrycznej wywołało powstanie kilku zakładów przemysłowych, związanych przede wszystkim z produkcją rolną. Chcąc wyzyskać silniki po zlikwidowanych elektrowniach w Krasnymstawie i Lubartowie, wybudowano oddzielne elektrownie we Frampolu i Tarnogrodzie, gdyż przyłączenie tych miejscowości do sieci ogólnej, nie było przewidziane na najbliższe lata. W roku 1938 Związek był w stanie wykonywać już prace znacznie większe. I tak została pobudowana linia przesyłowa o napięciu 50 tys. V. i długości 57 klm. z Lublina do Kraśnika. Do linii tej przyłączone zostały poza tym miastem Kraśnikiem również stacja kolejowa Kraśnik i okoliczne objekty przemysłowe. Od linii Lublin-Kraśnik przeprowadzono liczne odgałęzienia, przechodzące przez wsie: Budzyń, Wyżnica i Dzierżkowice do Urzędowa, stamtąd zaś do Wilkołaza i Zakrzywka. Ogólna długość tej bocznicy wynosi 24 klm. Poza tym wybudowano linię z Piask do Chełma z odgałęzieniem do Trawnik i osady Rejowiec ogólnej długości 52 kilometrów. Kapitał Związku, wynoszący początkowo milion złotych, już w r. 1937 podniesiony został do sumy półtora miliona. Składają się na to następujące sumy: Lublin – 300 tys. zł., Zamość – 200 tys. zł., Chełm i Krasnystaw po 150 tys. zł.

1938, nr 347, 18 XII. „Konkurenci” poczty. Władze pociągnęły do odpowiedzialności karnej Mordkę Mugiermana i Zelika Rozenblata zam. stałe w Krasnymstawie za przewożenie autobusami paczek i listów bez znaczków pocztowych.

1938, nr 349, 20 XII. Z wyborów gromadzkich. Z powiatu krasnostawskiego otrzymujemy pierwsze wiadomości z gminy Wysokie i gminy Zakrzew. W większości gromad gm. Wysokie wystawione zostały jedne tylko listy narodowe. W gromadzie Wysokie i Dragany było po kilka list i doszło do głosowania. Większość mandatów otrzymali narodowcy. W gminie Zakrzew wybory odbyły się tylko w gromadzie Zakrzew, gdzie większość mandatów otrzymali narodowcy. W pozostałych gromadach zgłoszone zostały wyłącznie listy narodowe i tym samym głosowania nie było. Ozon – jak nam donoszą wykazał się na tamtym terenie zupełnym brakiem wpływów.

1938, nr 350, 21 XII. Pow. Krasnystaw. Piękna uroczystość w Łopiennikach. We wsi Łopiennik w dniu 11 grudnia r.b. obchodzono uroczystość 23-lecie istnienia pięknej gotyckiej świątyni. Świątynia ta wzniesiona została z ofiar parafian, dzięki staraniom ówczesnego proboszcza łopiennickiego, a obecnie prałata i proboszcza parafii na Bronowicach ks. Feliksa Szeleźniaka. Parafianie łopiennicki, którzy nigdy nie szczędzili ofiar na swoją świątynię, lubując się w jej pięknej strukturze, zapragnęli, by upamiętnić rok jubileuszowy 23-lecia i wewnątrz świątyni udekorować nowymi wspaniałymi organami. Organy 20-głosowe wykonane zostały według najnowszej konstrukcji i wymogów techniki muzycznej przez firmę p. Wacława Biernackiego z Warszawy. Stanowią one obok gotyckich ołtarzy najcenniejszy przedmiot i piękną ozdobę świątyni. W dniu 11 grudnia po zakończeniu nabożeństwa kościelnego, nastąpiło oddanie organów przez właściciela firmy p. Wacława Biernackiego komitetowi budowy organów p. Edwardem Kałużyńskim na czele. Dla zadokumentowania wielkiej precyzyjności nowych organów profesor konserwatorium warszawskiego p. Chwedczuk, mistrz muzyki organowej, odegrał piękny koncert muzyki religijnej, przy zapełnionej słuchaczami świątyni. Parafianie łopiennicki, serdecznie podziękowali księdzu proboszczowi za jego wysiłek i zabiegi przy upiększeniu świątyni, a szczególnie za pracę na terenie parafii Łopiennik.

1938, nr 355, 29 XII. Pow. Krasnystaw. Pobicia. W Łopienniku, pow. krasnostawskiego podczas bójki wynikłej na tle porachunków osobistych Jan Sysa uderzył twardym przedmiotem Stanisława Pylaka, zadając mu ciężkie uszkodzenie ciała. Winnego pociągnięto do odpowiedzialności karnej.

1939, nr 4, 04 I. Pow. Krasnystaw. Opłatek w L.O.P.P. (B.D.) Zespół kulturalno-oświatowy L.O.P.P. w Tarnawce gm. Zakrzew pow. krasnostawskiego bardzo uroczysto obchodził w tym roku swoją tradycyjną uroczystość pod nazwą „Opłatek”. Już na kilka dni przed wigilią młodzież dekorowała bogato świetlicę, przystrojono pięknie choinkę i przygotowano posiłek. W dniu 24 grudnia ub. r. zebrała się w świetlicy okoliczna młodzież i przy zapalanej choince odśpiewała kilka kolęd. Po złożeniu życzeń spożyto przygotowany przez

członkinie L.O.P.P. posiłek, poczym św. Mikołaj darował wszystkich słodyczami, W miłej i serdecznej atmosferze młodzież spędziła kilka niezapomnianych godzin. (B.D.) *** 29 grudnia ub. r. w domu Ochotniczej Straży Pożarnej w Tarnawce pow. krasnostawskiego młodzież odegrała „Jasełka”, z których dochód przeznaczono na budowę domu ludowego.

1939, nr 5, 05 I. Ogrodnik, sp. sadownictwa, szkółkarstwa, warzywnictwa i pszczelnictwa ukończona średnia szkoła, 10 lat praktyki. Zgłoszenia: Krasnystaw, Góry 98.

1939, nr 9, 10 I. Ogrodnik z kilkuletnią praktyką poszukuje pracy samodzielnie lub jako pomocnik od zaraz albo od 1 kwietnia. Tadeusz Gajewski, Krasnystaw maj. Krzywa. M.

1939, nr 11, 12 I. Egzaminatory dla kierowników zakładów mleczarskich. Przewodniczący Komisji Egzaminacyjnej dla kierowników zakładów mleczarskich przy Wydziale Rolniczo-Lasowym Politechniki Lwowskiej wyznaczył terminy egzaminów: 6-11 luty 1939 r. termin składania podań do 25 stycznia 1939; 3-6 kwietnia 1939 r. termin składania podań do 20 marca 1939 r.; 19-24 czerwca 1939 r. termin składania podań do 10 czerwca 1939 r. Przed Komisją Egzaminacyjną we Lwowie składają egzamin kierownicy zakładów mleczarskich z następujących powiatów woj. lubelskiego: Biłgoraj, Chełm, Hrubieszów, Janów, Krasnystaw, Tomaszów i Zamość. Zaświadczenia o pracy na stanowisku kierownika w zakładzie zarejestrowanym wydaje oraz dokładnych informacji udziela Lubelska Izba Rolnicza Lublin 3-go Maja 20.

1939, nr 12, 13 I. 720 tys. zł. przeznaczył Bank Gospodarstwa Krajowego na akcję budowlaną w Lubelszczyźnie w r. 1939. W województwie Lubelskim kontyngenty kredytów budowlanych otrzymały: Lublin – zł. 400.000, Biłgoraj – 20.000, Chełm Lub. – 30.000, Hrubieszów – 20.000, Janów Lub. – 20.000, Krasnystaw – 20.000, Kraśnik – 40.000, Lubartów – 20.000, Puławy – 20.000, Tomaszów Lub – 20.000, Zamość 40.000, Biała Podl. – 30.000, Siedlce – 40.000. Razem 720.000. Dodać należy, że w miastach leżących na terenie C.O.P. kredyt sięgać może 40% kosztów budowy domów.

1939, nr 14, 15 I. W hołdzie Romanowi Dmowskiemu. Nabożeństwo żałobne w Krasnym-

stawie. Dnia 9 stycznia br. odbyło się staraniem Narodowej Organizacji Kobiet w kościele parafialnym w Krasnymstawie, nabożeństwo żałobne za duszę ś.p. Romana Dmowskiego. Poza Narodową Organizacją Kobiet ze sztandarem, przybyło na nabożeństwo wiele osób z miasta i ze wsi. Żałobne nabożeństwo celebrował prefekt ks. Cybulski, a równocześnie drugą żałobną Mszę św. odprawił ks. Majkowski. Po Mszy św. wygłosił podniosłe kazanie ks. Cybulski omawiając życiorys oraz rolę Ś.p. Romana Dmowskiego, jako Wychowawcy na polu religijnym i narodowym, a w szczególności młodego pokolenia w Polsce. Kazanie płomienne wywarło na obecnych w kościele wielkie wrażenie, słowa Kaznodzieji płynęły z serca, toteż nic dziwnego, że u wielu osób widzieli się łzę w oku. Po skończonym nabożeństwie obecni odmówili wspólnie „Modlitwę o Wielką Polskę” oraz odśpiewano „Boże coś Polskę”. *** pow. Krasnystaw Odpowiedź... z rewolweru. W dniu 10 bm. około godziny 20-ej, Antoni Morawski, praktykant majątku Wólka-Żółkiewska. pow. krasnostawskiego, spostrzegł na podwórzu dwóch osobników, których wezwał do zatrzymania się. Osobnicy ci oświetlili Morawskiego latarkami, przy czym jeden z nich wystrzelił do Morawskiego, raniąc go w lewą rękę powyżej łokcia i prawą rękę przed łokciem.

1939, nr 23, 24 I. Wydanie drugie po konfiskacie. Pow. Krasnystaw ukradli konia i wóz. W nocy na 19 b.m. we wsi Chełmie gm. Czajki, pow. krasnostawski na szkodę Tomasza Dudzika Choduna skradziono 2 konie. Na szkodę Bolesława Grzesika konie wraz z wozem o wartości około 530 zł.

1939, nr 24, 25 I. Pow. Krasnystaw. Zabity przez pociąg. W kol. Tarzymiechy, gm. Izbica, pow. krasnostawskiego, został zabity przez pociąg osobowy – Bronisław Burek. *** Strzał przez okno. We wsi Giełczew Doły, gm. Wysokie, pow. krasnostawskiego, wystrzelił przez okno do siedzącego w mieszkaniu Jana Rzeźnika. Strzał chybił.

1939, nr 32, 02 II. W powiecie krasnostawskim 10 osób zachorowało na tyfus brzuszny.

1939, nr 40, 10 II. Lublin funduje ścigacz. W roku 1938 na ścigacz „Lublin” wpłynęło 137.090,96 zł. W tym obwody wpłaciły: Lublin – 10.323,84, Biała Podlaska – 9.904,11, Siedlce – 9.743,24, Chełm Lub. – 8.556,61, Tomaszów

Lub. – 8.396,39, Puławy – 6.333,55, Zamość – 5.994,77, Hrubieszów – 5.431,15, Lubartów – 4.845, Garwolin – 3.812,72, Radzyń – 2.577,51, Kolej Lublin – 2.444,33, Krasnystaw – 2.392,54, Janów Lub. – 2.161,02, Kolej Chełm. – 1.691,07, Włodawa – 1.520,91, Łuków – 1.452,29, Węgrów – 1.136,05, Biłgoraj – 1.120,35, Kolej Siedlce – 923,68, Sokołów Podl. – 535,30 zł.

1939, nr 41, 11 II. Pow. Krasnystaw. Pożar. We wsi Zórawie, gm. Turobin, pow. krasnostawskiego, z nieustalonej na razie przyczyny, na szkodę Wojciecha Startka sponęta stodoła, obora, poddasze, koń, 2 krowy, jałówka i kilka sztuk trzody chlewnej. Straty wynoszą około 2.000 złotych.

1939, nr 42, 12 II. Akcja dokształcania kupiectwa w okręgu lubelskim. Kupiectwo wykazało zrozumienie potrzeby dokształcania i odniosło się z dużym zadowoleniem do inicjatywy lubelskiej sekcji K.I.W.Z. W wyniku dyskusji postanowiono niezwłocznie zorganizować 30-godzinne kursy dla sprzedawców sklepowych w Krasnymstawie, Biłgoraju, Zwierzyńcu i kursy 20-godzinne w Szczepieszynie i Hrubieszowie. W Zamościu zaś ze względu na mający się odbyć 15-miesięczny kurs tego typu, innego kursu w najbliższym czasie nie przewiduje się.

1939, nr 45, 15 II. Pruszczycza w pow. lubelskim. Poza tym na terenie województwa lubelskiego pruszczycza utrzymała się jeszcze w następujących powiatach: biański, chełmski, garwoliński, hrubieszowski, janowski, krasnostawski, łukowski, radzyński, sokołowski, tomaszowski. *** „Dom dziecka”. W Hrubieszowie w obecności wojewody de Tramecourt, starostów powiatowych hrubieszowskiego – Marka, krasnostawskiego – Olejniczakowskiego i chełmskiego – Lipskiego oraz przedstawicieli społeczeństwa ks. prałat Juściński dokonał poświęcenia „Domu Dziecka” wybudowanego przy ul. Górnej kosztem 46.000 złotych.

1939, nr 46, 16 II. Stowarzyszenie Pań Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo. Walne Zebranie Stowarzyszenia z udziałem J.E. Ks. Biskupa Fulmana. Stowarzyszenie posiada Oddział w parafii św. Michała na Bronowicach oraz Oddział w Krasnymstawie, młody, ale już w pracy odznaczający się wybitną energią i inicjatywą. *** „Poznaj wroga”. Ciekawy odczyt. Staraniem Oddziału Porozumienia Antykomunistycznego w Krasnym-

stawie dnia 5-go lutego r.b. odbył się odczyt znanej i cenionej prelegentki, p. dr Marii Śliwińskiej-Zarzeckiej pod tytułem: „Poznaj wroga”. Odczyt głęboko przemyślany i z temperamentem wygłoszony ściągnął niebywale jak na Krasnystaw rzesze słuchaczy szczególnie z szerokich mas, tak że duża sala sejmikowa wypełniona została po brzegi wraz z przyległymi pokojami, nie mogąc pomieścić drugiej połowy chętnych słuchaczy, którzy z tego powodu musieli odejść do domu. Odczyt wywarł na obecnych ogromne wrażenie.

1939, nr 54, 24 II. Pow. Krasnystaw. Napad bandycki. Do mieszkania Józefa Bartosika we wsi Giełczew, gm. Wysokie, pow. krasnostawskiego, wtargnęli czterej osobnicy, którzy po sterroryzowaniu domowników zrabowali 6 zł. 70 gr. i kożuch, po czym zbiegli sponżeni przez nadchodzącego syna poszkodowanego.

1939, nr 58, 28 II. W dniu 25 lutego br. na cmentarzu w Batorzu oddano ostatnią posługę ś.p. Adeli z Dąbrowskich Hurko-Horczakowej, wdowie po ś.p. Józefie, uczestniku walk o niepodległość w 63 roku, zgasłej w Stawcach powiatu krasnostawskiego w wieku lat 96-u. Śmierć ś.p. Adeli Hurko-Horczakowej uszczupliła szeregi starego pokolenia o jednostkę wybitną o rzadkich zaletach charakteru i serca a o niespotykanej pracowitości i wytrwałości.

1939, nr 70, 12 III. Pow. Krasnystaw. Nielegalna broń. U Józefa Jonko w Stężycy Łęczyckiej, gm. Łopiennik, pow. krasnostawskiego, zakwestionowano dubeltówkę nielegalnie posiadaną, oraz 11 szt. naboji i 8 łusek, proch, śrut i spłonki, oraz 3 naboje do pistoletu. Winnego pociągnięto do odpowiedzialności karnej.

1939, nr 75, 17 III. Jeszcze jedna kłeska rolnika to drogi. W zakątkach położonych zdala od kontrolującego oka, w powiatach Janowskim i Krasnostawskim są odcinki takie, że o przebyciu ich konno, a nawet pieszo mowy być nie może. Niech jakiś turysta przejedzie przez Starawieś, gminy Zakrzew, lub dojedzie do osiedla Zakrzówek, stolicy gminy, dostanie konia z rzędem. Co ma czynić nieszczęśliwy Podatnik skąd ma dostać pieniędzy, kiedy swoich produktów na rynek dowieźć nie może? Do Zakrzówka, za wyjątkiem podłej szosy do Wilkołaza, żadną inną drogą nie dojedzie, topiel nieopisana. Wsie Rudnik, Stu-

dzianki, Dębina, Grabina, Świerczyna, Józefinek, Boża wola i wiele innych są, całkowicie odcięte od świata. O przejechaniu drogą nienaprawianą wcale w stronę Rudnika, po zburzonym bruku, który w swoim czasie ułożyła Cukrownia Zakrzówek z materiału kupionego i zwiezonego przez plantatorów buraków, a który Bóg wie, dlaczego rozebrał wójt i wywiózł na inny odcinek, nie ma mowy.

1939, nr 80, 22 III. Zarobki robotników niewykwalifikowanych. Okręgowy Inspektor Pracy V Obwodu w Lublinie określił na rok 1939 następujące miesięczne normy zarobków robotników niewykwalifikowanych w województwie lubelskim.

L.p.	Powiat	Zarobki zł.
1	Miasto Lublin	100
2	białski	80
3	chełmski	75
4	siedlecki	75
5	puławski	70
6	sokołowski	70
7	łukowski	65
8	lubelski	60
9	radzyński	60
10	garwoliński	60
11	biłgorajski	60
12	hrubieszowski	60
13	zamojski	60
14	krasnostawski	60
15	janowski	60
16	włodawski	60
17	węgrowski	60
18	lubartowski	50
19	tomaszowski	50

1939, nr 84, 26 III. Zabójstwo przy grze w karty. We wsi Załawcze powiatu Krasnostawskiego w czasie gry w karty wywiązała się kłótnia między uczestnikami, którzy posądzali się wzajemnie o oszustwa. W pewnym momencie niejaki Józef Skiba wy dobył z kieszeni nóż i zadał nim cios w prawą pierś 40-letniemu Władysławowi Łazowskiemu. Po kilku minutach Łazowski zmarł. Zabójcę aresztowano i osadzono w więzieniu. (u).

1939, nr 93, 04 IV. Krasnostaw. Właściciele nieruchomości chrześcijanie m. Krasnegostawu uchwalili przekazać na FON. 1.000 zł.

1939, nr 95, 06 IV. Pow. Krasnostaw. Historia jednego kiosku. W dniu. 30 marca b.r. odbyła się licytacja na dzierżawę jednej budki (kiosku) znajdującej się na skwerku Krasnegostawu, a stanowiącej własność Zarządu Miejskiego. Budkę tę od wielu lat dzierżawili żydzi i w tym roku pomimo chętnych na dzierżawę kupców chrześcijan nadal wydzierżawiono żydom. Magistrat w warunkach licytacji podał wadium zł. 400 – przez co odpadło kilku chrześcijan licytantów, a w chwili rozpoczęcia licytacji zmniejszył wadium do zł. 200. W dniu 30 ub. m. na posiedzeniu Rady Miejskiej radny sekretarz Związku Kupców Polskich Kazimierz Laskowski, złożył interpelację do zarządu o unieważnienie licytacji z powodu, zmiany warunków licytacji, a radny Józef Zwierzchowski, złożył wniosek nagły o oddanie przynajmniej jednej budki w ręce chrześcijan. Za wnioskiem J. Zwierzchowskiego prezesa Związku Kupców głosowali wszyscy radni chrześcijanie i Zarząd z wyjątkiem burmistrza J. Sienkiewicza i wiceburmistrza T. Kracińskiego z których ostatni solidaryzuje się z żydami.

1939, nr 96, 07 IV. Pow. Krasnostaw. W sklepie spółdzielni spożywców w Wysokiem pow. krasnostawskiego, który mieści się w domu ochotniczej straży pożarnej, powstał pożar, przy czym spaliło się urządzenie sklepu oraz towary. Straty wynoszą 3.000 zł. Przyczyna pożaru narazie nieustalona.

1939, nr 105, 19 IV. Na przedmieściu Szczembrzeskim, gm. Turobin, pow. krasnostawskiego, z nieustalonych na razie przyczyn, na szkodę Michała Łyczaka i 3 innych gospodarzy spłonęły częściowo zabudowania gospodarcze, narzędzia rolnicze i pasza. Straty wynoszą 1.458 zł.

1939, nr 111, 25 IV. Z moich wspomnień. Do Krasnegostawu wjeżdżamy naprędce przerzuconym mostem, gdyż dawny był spalony. Miasto spalone, tli się jeszcze. Rynek świeci pustymi otworami po oknach. Za Krasnymstawem spotykam wozy z rannymi, transportowane do sąsiednich majątków Fajstawice, Wierzchowiska, gdzie były szpitale polowe, lub do Lublina. Cała szosa zaśmiecona sprzętem wojskowym. Co kilka kilometrów pokrwawione bandaże, zanik punktów opatrunkowych. Zabici pochowani obok szosy. Trupy końskie wzdęte, przeszkadzały w jeździe. Obiad jadłem u księdza proboszcza Krzywickiego w Faj-

sławicach. Niedaleko od Fajstawic brała udział w bitwach gwardia piechoty rosyjskiej. Ludzie dobrani, ogromnego wzrostu, dla których w szpitalach lubelskich nie można było znaleźć łóżek odpowiednich. O godzinie 4 po południu wjeżdżam do Lublina, który więcej przypomina obóz wojskowy, aniżeli spokojne prowincjonalne miasto. Konrad Lipczyński.

1939, nr 115, 29 IV. Na F.O.N. 6) Zarząd Gminny Zakrzew, pow. Krasnostaw – 419 zł.

1939, nr 119, 03 V. Pow. Krasnostaw. Kurs zawodowy dla kupców w Krasnymstawie. Z inicjatywy Stow. Kupców Polskich w Krasnymstawie został zorganizowany 35-godzinny kurs dla sprzedawców sklepowych. Otwarcie kursu nastąpiło dnia 18 kwietnia b.r. W sali Gimn. Państw., zebrało się przeszło 60 osób. Do zebranych przemówił wiceprezes SKP p. Feliks Wdowicki, zachęcając do intensywnej pracy na kursie, o który starano się przeszło rok. Sprawa napotykała na wiele trudności. Następnie wykład inauguracyjny na temat „Z dziejów handlu w Polsce” wygłosił prof. Stanisław.

1939, nr 126, 10 V. Wycieczki do Gdyni organizuje Liga Morska i Kolonialna. Zgłoszenia na wycieczki dla starszego społeczeństwa przyjmują: Obwód Lubelski L.M.K. z terenu m. Lublina, pow. lubelskiego, lubartowskiego, puławskiego i janowskiego. Obwód Hrubieszowski L.M.K. z terenu pow. hrubieszowskiego, krasnostawskiego i chełmskiego. Obwód Tomaszowski L.M.K. z terenu powiatu tomaszowskiego, biłgorajskiego i zamojskiego.

1939, nr 127, 11 V. Tragiczna śmierć ucznia. Zamość. Na szosie pod Zamościem zdarzył się tragiczny wypadek. Jadący na rowerze uczeń III kl. gimn. w Krasnymstawie 14-letni Ryszard Jagielski uciepiał się przejeżdżającego szosą samochodu ciężarowego. W pobliżu Starego Zamościa, wskutek zsunienia się opony u rowerze, chłopiec nagle spadł i runął głową na szosę. Ciężko rannego ucznia, zabrał z drogi przejeżdżający przypadkowo lekarz i odwiózł samochodem do Krasnegostawu, gdzie Jagielski nie odzyskawszy przytomności zmarł. *** Pow. Krasnostaw. Na torze kolejowym. Na przejeździe kolejowym za stacją Krasnostaw miał miejsce wczoraj tragiczny wypadek. Pociąg osobowy, zdążający od strony Rejowca najechał na głuchoniemą mieszkankę przedmieścia Krasnegostawu – Góry, zabijając ją na miejscu.

1939, nr 132, 16 V. Krwawe porachunki w sklepie spółdzielczym we wsi Krupce, powiatu krasnostawskiego. Bronisław Pokrywka zastrzelił z rewolweru mieszkańca tejże wsi Pawła Mąkę. Po dokonaniu zabójstwa Pokrywka zbiegł i przez pewien czas ukrywał się w okolicy. Wczoraj został jednak ujęty przez policję i osadzony w areszcie. Pomiędzy Pokrywką i Mąką istniały jakieś nieporozumienia, których tragicznym epilogiem było morderstwo.

1939, nr 141, 25 V. Zakończenie kursu zawodowego dla kupców w Krasnymstawie. Dnia 18 bm. odbyło się zakończenie kursu zawodowego dla kupców w Krasnymstawie. Uroczystość, która rozpoczęła się Mszą św., w czasie której miejscowy ks. proboszcz wygłosił podniosłe kazanie na temat potrzeby organizowania się i dokształcania kupiectwa, zgromadziła liczne rzesze. Po Mszy św. uczestnicy kursu udali się do Gimnazjum Państw., gdzie w sali aktowej odbyło się rozdanie świadectw, poprzedzone przemówieniami p. prezesa Zwierzchowskiego, p. prezesa Cholewińskiego i p. kpt. Zwolińskiego z Lublina, p. wicestarosty i burmistrza krasnostawskiego i kierownika kursu p. mgr Z. Bownika, który z zadowoleniem stwierdził bardzo duże zainteresowanie przedmiotami nauki i wysoki poziom wiedzy zawodowej wśród kupiectwa krasnostawskiego. P. mgr Z. Bownik zakończył przemówienie życzeniami owocnej pracy i dalszego samokształcenia. Po rozdaniu świadectw ukończenia kursu 52 uczestnikom p. wiceprezes F. Wdowicki zaprosił obecnych na bankiet do Resursy Obywatelskiej. W czasie bankietu wygłoszono wiele przemówień, z których na podkreślenie zasługują przemówienia p. wicestarosty, p. burmistrza i wiceprezesa miejsc, K.P. p. Feliksa Wdowickiego. Uroczystość zakończenia kursu złożyła u uczestników niezatarte wrażenie i wykazała dużą prężność organizacyjną Stow. Kupców Polskich w Krasnymstawie.

1939, nr 243, 04 IX. Niemcy zbombardowali kościół i klasztor na Jasnej Górze. (Biblioteka Cyfrowa UMCS).

*Opracował Kazimierz Stołecki
Ze zbiorów Biblioteki Cyfrowej Wojewódzkiej
Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego
w Lublinie
(pisownia oryginalna)*

Mirosław Iwańczyk**Gród nadwieprzański**

Szczekarzew
 nad wielkim stawem
 urzekł swym pięknem,
 rozrósł się
 w gród nad Wieprzem.
 Tu Leszek Biały
 stał się pod grodem
 z ruskim księciem.
 Kazimierz Wielki
 przeciw Tatarom
 wznosił zamek piękny.
 Piasta dzieło
 dokończył Jagiełło,
 Szczekarzew
 w Krasnystaw przemienił,
 prawami miejskimi
 mieszczan obdzielił.
 Rozkwitło miasto
 na wschodniej rubieży,
 nauką emanowało,
 kagankiem oświaty
 się stało,
 dla zdolnej młodzieży,
 na krasnostawskiej
 i chełmskiej ziemi.
 Katedralna szkoła
 jak wszechnica słowa
 rozbliżyła wiedzę
 w Krasnymstawie.
 Tu Zamojski
 się kształcił,
 co pławił się
 w sławie.
 Przyszły hetman wielki
 Rzeczypospolitej,
 przywódca szlachty
 znamienitej.
 Arcyksięcia Habsburga
 w bitwie zwyciężył,
 w krasnostawskim zamku
 go uwięził.
 Również Jakub Uchański
 w grodzie nadwieprzańskim
 wiedzę zdobywał
 przyszły interrex
 i polski prymas.

Tu Zygmunt August
 na wywczasach przebywał,
 karpie spożywał i odpoczywał.
 Z Krasnegostawu
 obroną Rusi kierował
 czambuły tatarskie
 w bitwach pokonał.
 Bogu za zwycięstwo
 w modlitwach dziękowano,
 Te Deum dziękczynne
 w katedrze krasnostawskiej
 chorałem zabrzmiało.

Krasnystaw nocą

Gdy idę
 przez Krasnystaw
 nocą,
 latarnie na rynku
 wokół się złączą.
 Samotny poeta
 siedzi na ławce
 i obserwuje
 ciemnych chmur
 latawce.
 Zasluchany
 w spokój miły,
 widzi
 artystyczne zeppelin.
 Nad przeszłością
 się zastanawia
 i sonety
 w myślach układa.
 Kamieniczki i drzewa
 światłocieniem okryte,
 poetycką aurą
 są spowite.
 Za fontanną
 pomnik bohaterów
 się wznosi,
 heroiczne czyny
 głosi.
 Miasto ciszą nocną
 zaczarowane,
 lśni jak ornament,
 swą legendą
 w ludzką pamięć
 jest wpisane.

Białecki rumak

Koniu kary,
 koniu rączy, hardy,
 anglo-arabie
 z białeckiej stadniny.
 Pęciny stalowe
 w galopie naprężasz,
 jak mityczny pegaz
 ponad przeszkodami
 fruniesz.
 W czworoboku z gracją
 kroczysz stępa,
 jak baletmistrz
 tańczysz hippiczne figury,
 klusem przyspieszasz
 na parkurze.
 Pędzisz galopem
 po hipodromie,
 niczym turecki dzianet.
 W szaleńczym crossie
 mkniesz przez lasy, błonia,
 parskasz z wysiłku,
 jak dziki ogier.
 Piana ci z pyska tryska,
 grzywa splywa
 niczym welon
 po łabędziej szyi,
 wiatr rozwiewa
 ją w pędzie.
 Rozdęte chrapy
 powietrze piją.
 Mięśnie napięte
 jak struny,
 grają w harmonii
 pod skórą wierzchowca.
 Wtem tętent kopyt
 powoli cichnie, zamiera,
 umilkło w dali
 rżenie bahmata.
 Cisza zapadła
 na horyzoncie
 i wszystko znikło,
 jakby się rumak
 w cwale
 wzniośł w chmury,
 albo rozplynął
 w przestrzeni.

Zamek w Krupem

Zamczysko stare,
 zrębem dziejów
 naruszone,
 okaleczone
 przez nieublagany
 czas,
 oplakuje w samotności
 swe ruiny.
 Tęskni za światem
 sarmackim,
 za dźwiękiem
 szabel szlacheckich
 i śpiewa
 wraz z wiatrem
 renesansową legendę,
 o przeszłości,
 o dawnej świetności,
 co przeminęła
 niczym Kartagina.
 Resztki piękna
 jednak przetrwały,
 i grają
 historyczną dramę,
 jakby chciały,
 nam wyjawić
 jakąś tajemnicę,
 która w murach
 śpi ukryta,
 zakłęta ciszą.



fol. Cezary Szymański

Miniatura wszechświata

Budzą się mózgi komórek
formują serce wątrobę
zmieniają astralną metaforę
w kość i w krew
okrywają tkanki w płaszcz skóry
głodne ciało polyka przestrzeń
zakorzeniony w istnieniu
studiujesz własną otchłań
tę miniaturę wszechświata
jest w tobie woda oceanów
ogień słońc i gwiazd
zapach samotnych limb
i smutek pustych pól
jest w tobie tlen
co wypełnia umysł
prymarną myślą
w sakralnym rytmie
kosmiczną jedność tworzysz
szukasz miejsca w samym sobie
wkraczasz w tajemnicę serca

To on

To on samotny wśród kartów
z twarzą Anubisa
samotny wśród płazów pelzających
bezszelestnie po skrwawionej rzeźni
to on samotny w modlitewnym tłumie
miłosiernych morderców
to on z otwartą cielesnością
na oścież światła
poddany eksploracji zła
jęk ciała zapowiada
całopalną hekatombę
przecucie na poziomie tkanek
obnaża jego strach
każda komórka w trzewiach
śpiewa hymn z Auschwitz
wyje ofiarą ekspiacji
apogeum bólu krzyczy
trzuską w gardle
proces rozpadu DNA
przechodzi zagłady
głód rośnie w wątrobie
formuje bęben z brzucha
szkielet nabrzmiały żyłakami męki
przed wniebowstąpieniem
wiruje w tangu ostatecznym

Karzeł

Kim jest ten strzep losu
garbus, który głosu
nie może z siebie wydobyć
ten karzeł poniżony przez wszystkich
strażnik starców sierot i kalek
falszywy opiekun porzuconego złomowiska
na którym mści się irracjonalnie
opluwany za swe istnienie
niby okrutny krasnal
z uśmiechem Judasza
zaprasza do dance macabre
i twarz Giocondy wielbi
tylko on zna Thais
z ustami namiętymi
strzeże je w nocy i dnie
knuje w labiryncie mroku
swe niecne intrygi
jak kruk szarpie pożera ofiary
niczym demon zemsty
chłepcze psyche ciała
odpłaca za swą krzywdę
w grotesce bytu
za rolę pierrota
którym nie chciał być

Oto chwila

Oto
chwila
która się wypełnia
przybity do belki bytu
gwoździami zła
milczy wertykalnymi ramionami
ból jak strzała
przeszywa jego jestestwo
tylko stłumiony w ustach jęk
na zewnątrz wymowna cisza
polifonia cierpienia
wpisana w transcendentny krzyż
dotyka kontrapunktu
absolutu zjednoczenia z demiurgiem
skrwawiony całun bóstwa
zbawia miłosiernych oszczerców
jest posłannictwem dla uschniętych gałęzi
imperatywem bezwarunkowego oddania
świadectwem które oskarża
sprawiedliwych mędrców

Monika Nagowska

**Siennickie Augustynki.
Podsumowanie IV Wojewódzkiego
Konkursu Fotograficznego
im. Augusta Cieszkowskiego
„Leśny album”**



7 kwietnia 2022 r. w Zespole Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego w Siennicy Różanej odbyła się czwarta edycja Wojewódzkiego Konkursu Fotograficznego im. Augusta Cieszkowskiego „Leśny album”. Współorganizatorem przedsięwzięcia było Nadleśnictwo Krasnystaw. Honorowym patronatem konkurs objął minister rolnictwa i rozwoju wsi Henryk Kowalczyk. Do grona partnerów wspierających organizację konkursu oraz fundatorów nagród dołączyli: Gmina Siennica Różana, Koło Łowieckie nr 6 „Jarząbek”, Centrum Kultury w Siennicy Różanej, Sklep Mundurowy WOJ-POL z Trzebiatowa oraz Polskie Towarzystwo Leśne Oddział w Lublinie. Patronat medialny nad wydarzeniem objęły Czasopismo społeczno-kulturalne „Ziarno” i Czasopismo artystyczne „Nestor”. Konkurs został wpisany do wykazu lubelskiego kuratora oświaty, dzięki czemu artystyczne osiągnięcia są dodatkowo punktowane w rekrutacji do szkół ponadpodstawowych.

Celem konkursu organizowanego cyklicznie w Siennicy Różanej jest propagowanie postawy szacunku wobec dziedzictwa przyrodniczego, jakim są lasy, rozwijanie zainteresowań związanych ze sztuką fotografii oraz promowanie młodych talentów. Tradycyjnie prace laureatów publikowane są w czasopismach regionalnych. Nagrodzone fotografie z trzech poprzednich edycji konkursu można obejrzeć w wydaniach papierowych oraz w elektronicznej wersji czasopisma „Nestor” (2019 nr 49, 2020 nr 52, 2021 nr 57) i „Ziarno” (2019 nr 46/47, 2020 nr 48, 2021 nr 49).

W tegorocznej edycji zgłoszenia i fotografie nadsyłano do 18 marca, natomiast 24 marca zebrała się komisja konkursowa, celem ich oceny i wyłonienia zwycięzców. Jury tworzyli: nadleśniczy Nadleśnictwa Krasnystaw Waldemar Czajka (przewodniczący), dyrektor Zespołu Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego w Siennicy Różanej

Stanisław Buk, Monika Krysiak, Ewa Dobrzańska-Mochnej, Michał Żywot i Monika Nagowska. Do konkursu zakwalifikowano 118 uczestników i 334 zdjęcia prezentujące wysoki poziom umiejętności autorów, artystyczne wyczucie i zmysł obserwacji.

Oficjalne ogłoszenie wyników odbyło się podczas „Siennickich Augustynek”, czyli Dnia Patrona Zespołu Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego w Siennicy Różanej. Jak podkreślił w swoim przemówieniu dyrektor Stanisław Buk: *August Cieszkowski, choć żył w XIX wieku, miał nowoczesne podejście do gospodarowania lasami i doceniał piękno przyrody. Dziś coraz lepiej poznajemy ten ekosystem, zachwycający swoją bioróżnorodnością. Konkurs „Leśny album” skupia wokół siebie wiele osób – zarówno współorganizatorów, jak i Was, drodzy uczniowie i nauczyciele. Mam nadzieję, że czas spędzony w naszej szkole będzie dla Was inspiracją i że spotkamy się ponownie.* Uroczystość zaszczylicili swoją obecnością: Dariusz Kostecki (przedstawiciel lubelskiego kuratora oświaty), ppłk Andrzej Stachyra (komendant Wojskowej Komenady Uzupelnień), por. Robert Wiejak (przedstawiciel 24 batalionu lekkiej piechoty), Krzysztof Sugalski (wiceburmistrz Krasnegostawu), Mieczysław Kowalik (kierownik ARIMR w Krasnymstawie), Leszek Proskura (wójt Gminy Siennica Różana), Aneta Kister (przedstawiciel wójta Gminy Izbica), Monika Łukasik (dyrektor Domu Pomocy Społecznej w Surhowie – dawnej siedziby Cieszkowskich) wraz z Anną Horecką, Kinga Kustrzepa (przedstawiciel Powiatowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Krasnymstawie), Sylwia Młynarczyk-Rysak (dyrektor Szkoły Podstawowej nr 5 w Krasnymstawie), Andrzej David Misiura (dyrektor Centrum Kultury w Siennicy Różanej), Mariusz Łoza i Arkadiusz Zienkiewicz (przedstawiciele Koła Łowieckiego nr 6 „Jarząbek”), a także Anna Kufel (przedstawiciel dyrektora Zespołu Szkół CKR w Okszowie).

Dyplomy laureatom wręczał nadleśniczy Waldemar Czajka, fotografie w okolicznościowej oprawie – dyrektor Stanisław Buk, a nagrody rzeczowe – wójt Gminy Siennica Różana Leszek Proskura. Kolejne miejsca w IV Konkursie Fotograficznym im. Augusta Cieszkowskiego „Leśny album” zdobyli następujący uczniowie:

Laureaci ze szkół prowadzonych przez ministra rolnictwa i rozwoju wsi:

- I miejsce
Grzegorz Kuzawiński [1]
„Leśne lustro” (Siennica Różana)
- II miejsce
Julia Bądaruk [2]
„Spójrz mi w oczy” (Okszów)
- III miejsce
Justyna Patyk [3]
„Leśne jezioro” (Siennica Różana).

Laureaci ze szkół podstawowych (klas VII i VIII):

- I miejsce
Bartłomiej Cieplowski [4]
„Pustułka zwyczajna” (Łopiennik Dolny)
- II miejsce
Mikołaj Marucha [5]
„Leśne szумы” (Małochwiej Duży)
- III miejsce
Lena Kozorys [6]
„Zwiastun jesieni” (Zamość SP nr 6).

Uczniowie wyróżnieni w konkursie:

- **Julia Nawój [7]**
„Chrobotek kubkowy” (Krasnobród)
- **Zuzanna Pitucha [8]**
„Szyszki wygrzewające się w blasku słońca” (Siedliska Drugie)
- **Oliwia Kotuła [9]**
„Strzeliste sosny” (Wirkowice)

Koło Łowieckie nr 6 „Jarząbek” i Czasopismo Społeczno-Kulturalne „Ziarno” przyznało własne wyróżnienia 20 osobom. Dyplomy i nagrody wręczali młodzieży przedstawiciele koła łowieckiego – Mariusz Łoza i Arkadiusz Zienkiewicz – oraz dyrektor Andrzej David Misiura. Oprócz dyplomów i nagród rzeczowych, uczniowie mają zapewnioną

publikację najlepszych fotografii na łamach lokalnych pism. W gronie wyróżnionych znaleźli się: Magdalena Ujma [10] „W słońcu i w cieniu” (Krasnobród), Hanna Zbrońska [11] „Dolina Kościeliska zimą” (Krasnystaw SP nr 1), Błażej Daczka [12] „Mlecz obfitości” (Krasnystaw SP nr 5), Mikołaj Jachochowski [13] „Lustro duszy” (Leśniowice), Oskar Szymański [14] „Blask księżycy” (Niele dew), Anasztazja Szafranec [15] „Na tle nieba” (Małochwiej Duży), Michalina Jonaszek [16] „Bóbr budowniczy” (Sielec), Jakub Rak [17] „Las” (Tarnogóra), Dominik Tomaszewski [18] „Zimowy las” (Wielącza Kolonia), Aleksandra Łysiak [19] „Ognisty zachód słońca” (Trzeszczany), Aleksandra Biłan [20] „Mglisty poranek” (Siennica Różana), Klaudia Weremko [21] „Leśna wędrowka” (Siennica Różana), Magdalena Miętkiewicz [22] „Optymistyczny poranek” (Borowina Sitaniecka), Paweł Orenczuk [23] „A kuku” (Wiryki), Szymon Warchoł [24] „Las zimą” (Wirkowice), Nina Kostrubiec [25] „Jesień w lesie” (Sitno), Mateusz Olesiejko [26] „Na patrolu” (Włodawa), Jakub Kowal [27] „Roztoczańskie szумы” (Chełm SP nr 8), Jakub Stadnik [28] „Sędziwi są wśród nas” (Chełm SP nr 8), Amelia Wójtowicz [29] „Drzewa w zachodzie” (Horyszów Polski).

Dla wszystkich uczestników i ich nauczycieli obecnych na uroczystości przygotowano upominki i podziękowania za udział w konkursie. Prace wyeksponowano na wystawie pokonkursowej, wybrane fotografie każdego z uczestników znalazły się też w prezentacji multimedialnej dostępnej na stronie internetowej Zespołu Szkół CKR w Siennicy Różanej i stronie Nadleśnictwa Krasnystaw. Na fotografiach można zaobserwować różnorodność polskich lasów i oryginalność ujęcia tematu, zmienność pór roku i pory dnia, piękno kompleksów leśnych oraz urok przyrodniczych detali. Zostały one wykonane przez pasjonatów fotografii i przyrody z całego województwa. Swoją reprezentację miały w konkursie takie miejscowości jak: Borowina Sitaniecka, Chełm, Chłaniów, Cyców, Dorohusk, Horyszów Polski, Jabłoń, Kolonia Sitno, Kotlice, Krasnobród, Krasnystaw, Leśniowice, Łabunie, Łopiennik Dolny, Małochwiej Duży, Niele dew, Nielisz, Okszów, Ruda-Huta, Rudnik, Siedliska Drugie, Sielec, Siennica Różana, Sitno, Tarnogóra, Trzeszczany, Wielącza Kolonia, Wirkowice, Włodawa, Wiryki, Zamość i Zawalów.

Miłą niespodzianką dla uczniów siennickiej szkoły było wręczenie dyplomów za uzyskanie czołowych miejsc w wojewódzkich i ogólnopolskich konkursach. Licznie zgromadzona publiczność z zainteresowaniem obejrzała program artystyczny przygotowany przez młodzież pod kierunkiem nauczycieli. Niezwykłych wrażeń dostarczył też pokaz musztry paradnej w wykonaniu Oddziału Przygotowania Wojskowego, utworzonego w Zespole Szkół CKR w Siennicy Różanej w 2020 r. Zachwycona publiczność nagrodziła drużynę gromkimi brawami, a kadeci zebrali wiele pochwał za perfekcyjne wykonanie.

Siennickie Augustynki po raz kolejny skupiły młodych ludzi zainteresowanych fotografią i przyrodą oraz szukających pomysłu na... dalszą edukację. Dzień Patrona połączono bowiem z Dniami Otwartymi, co uczniom z klas ósmych dało szansę na poznanie oferty edukacyjnej oraz znakomitych warunków nauki w Zespole Szkół CKR w Siennicy Różanej. Młodzież zwiedzała szkołę oraz stoisko

Nadleśnictwa Krasnystaw, próbowała swoich sił na strzelnicy i w szkolnym samochodzie do nauki jazdy. Prawdziwą furorę zrobiła „Mała włoska lodziarnia” i stół pokazowy „Na słodko i na słono”, czyli poczęstunek przygotowany przez uczniów kształcących się w zawodzie – technik żywienia i usług gastronomicznych. Był to dzień pełen różnorodnych wrażeń.

Serdecznie gratulujemy laureatom konkursu, pozdrawiamy wszystkich uczestników i ich opiekunów, a miłośników przyrody i fotografii zapraszamy do Siennicy Różanej.

Monika Nagowska

Fotografie: Karina Bochyńska-Czerpak

Link do prezentacji:

<https://drive.google.com/drive/folders/1J7DPA7-zBsBgr4qfhXks-SP6Uz2ghYCS0?usp=sharing>

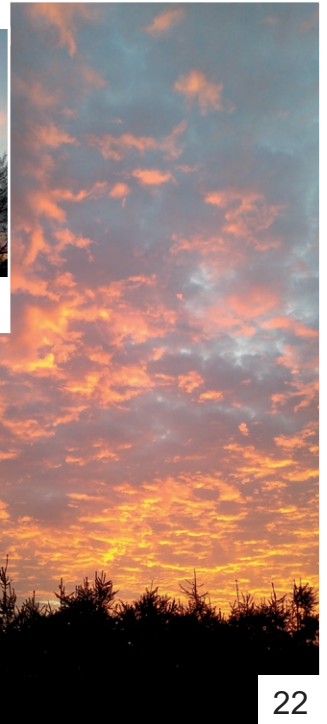
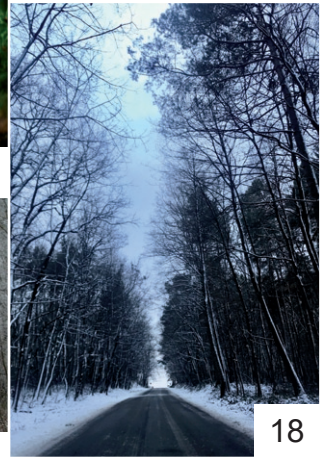
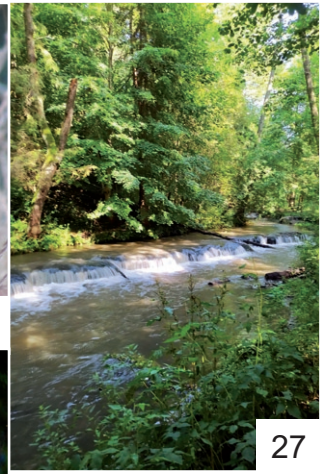


Laureaci



Wyróżnieni przez „Ziarno” i Koło Łowieckie nr 6 „Jarząbek”.



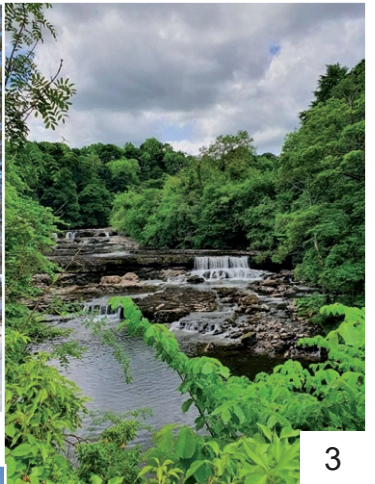




20



11



3



15



28



7



12



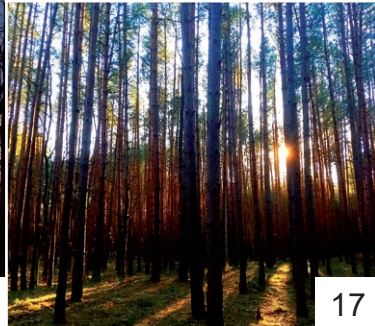
16



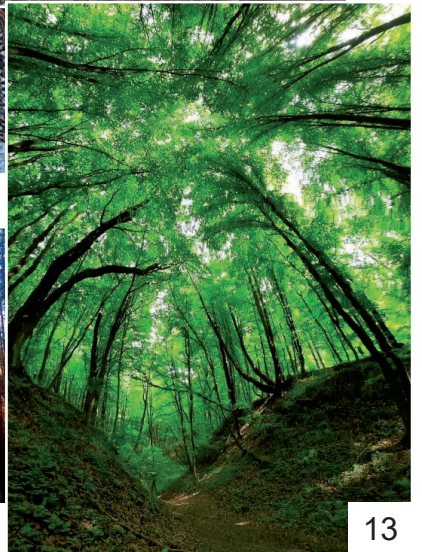
9



14



17



13

Prace z XIX powiatowego konkursu „Legendy ziemi krasnostawskiej” organizowanego przez Powiatową Bibliotekę Publiczną w Krasnymstawie

Nagrody:

Weronika Bociąg – Szkoła Podstawowa im. Jana III Sobieskiego w Gorzkowie, „O zegarmistrzu z Piask Szlacheckich”. Opiekun: Anna Kowalik

Adrianna Czaban – Publiczna Szkoła Podstawowa nr 1 im. Adama Mickiewicza w Krasnymstawie, „Pomnik pamięci”. Opiekun: Grażyna Wojtyna

Kamila Czochrowska – Szkoła Podstawowa w Tarzymiechach, „Historia miejscowości Tarzymiechy”. Opiekun: Marzena Blangiewicz

Amelia Kowalczyk – Publiczna Szkoła Podstawowa nr 1 im. Adama Mickiewicza w Krasnymstawie, „Legenda braci Chwiej, czyli o powstaniu Małochwieja Dużego i Małochwieja Małego”. Opiekun: Edyta Pajura

Julita Mazurek – Publiczna Szkoła Podstawowa nr 4 im. Jana Pawła II w Krasnymstawie, „Jak karpie znalazły się w herbie Krasnegostawu”. Opiekun: Iwona Sąsiadek

Aleksandra Serwatka – Publiczna Szkoła Podstawowa nr 1 im. Adama Mickiewicza w Krasnymstawie, „O Habsburgu, pędzie chmielu i grze w karty”. Opiekun: Grażyna Wojtyna.

Wyróżnienia:

Szymon Brzyszek – Zespół nr 3 Przedszkola i Szkoły Podstawowej w Krasnymstawie, „Legenda o powstaniu nazwy miasta Krasnostaw”. Opiekun: Małgorzata Wit

Mikołaj Czerwonka – Publiczna Szkoła Podstawowa w Łopienniku Dolnym, „Borowikowa polana”. Opiekun: Małgorzata Staszak

Aleksandra Jagiełło – Szkoła Podstawowa im. Powstańców Styczniowych w Fajslawicach, „Le-

genda o tym, jak powstały Suchodoły”. Opiekun: Iwona Sałaga

Jan Kyc – Szkoła Podstawowa im. Juliusza Słowackiego w Małochwieju Dużym, „Legenda o Tuliłowach”. Opiekun: Teresa Berbeć

Alan Rusi – Szkoła Podstawowa im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Kraśniczynie, „Legenda o wsi Franciszków”. Opiekun: Anna Chwiejczak

Mikołaj Zielonka – Szkoła Podstawowa im. Hetmana S. Żółkiewskiego w Żółkiewce, „Legenda o Żółkiewce”. Opiekun: Renata Drozd.

Prace zakwalifikowane do publikacji:

Julia Chymos – Zespół Przedszkola i Szkoły Podstawowej w Krupem, „Strażnik klejnotów”. Opiekun: Monika Korszla

Daria Chudziak – Szkoła Podstawowa im. Jana III Sobieskiego w Gorzkowie, „Historia nie całkiem zmyślona”. Opiekun: Anna Kowalik

Bartosz Dziedzic – Zespół nr 3 Przedszkola i Szkoły Podstawowej w Krasnymstawie, „Legenda o powstaniu Niemienic”. Opiekun: Małgorzata Wit.

Nagrody:

Weronika Bociąg

„O zegarmistrzu z Piask Szlacheckich”

Ponad 200 lat temu w Piaskach Szlacheckich – w miejscowości, w której teraz mieszkam – 14 czerwca 1812 r. urodził się pewien człowiek pochodzenia szlacheckiego – Antoni, po ojcu Pattek herbu Prawdzic. Antoni dorastał, a wraz z nim pragnienie zwiedzania odległych krajów. Cel swój osiągnął: uczył się pilnie, był w Prusach, Francji i Szwajcarii, która tak bardzo mu się spodobała, że został tam na stałe. Podczas wymarzonych podróży kształcił się malarsko, ale pewnego dnia postanowił, że zostanie zegarmistrzem i będzie robił najpiękniejsze zegarki na świecie. A że lekko w życiu nie miał, z tym większą wytrwałością realizował swoje plany.

Podczas jednej z wystaw Patka, jego zegarek spodobał się zamożnemu człowiekowi, który kupił cacko i dał w prezencie siostrzenicy. Dziewczynie tak przypadł do gustu piękny i niezwykle starannie wykonany zegarek, że poprosiła wuja, by zorganizował spotkanie ze zdolnym zegarmistrzem. Kiedy doszło do spotkania Antoniego z niezwykle urodziwą siostrzenicą owego człowieka, okazało się, że zakochali się w sobie bez pamięci. Po niedługim czasie odbyło się ich wesele, na które przybyło bardzo dużo znanych i zamożnych osobistości. Antoni wraz z małżonką doczekali się dzieci – córki i syna. By utrzymać i zapewnić dostateczny byt rodzinie, Antoni bezgranicznie poświęcił się robieniu coraz to piękniejszych i niespotykanych w swoim rodzaju zegarków. W tym samym czasie, na wystawie światowej w Londynie, zegarek Patka zakupiła królowa Wiktoria, by nosić go jako broszkę przy sukni. Ludzie powiadają, że osobiście przybyła do Antoniego ze swoją świtą. Podczas wizyty królowa poznała córkę zegarmistrza, która wywarła na władczyni ogromne wrażenie, gdyż była niezwykle urodziwą osobą. Królowa postanowiła, że pozna ją z przemitym kuzynem przy najbliższej okazji. Minął miesiąc, gdy rodzina Antoniego otrzymała list z zaproszeniem na dwór królewski w Londynie. Wszyscy się do tej wizyty starannie przygotowywali, by wszystko wypadło jak należy. Córka Antoniego bardzo spodobała się księciu, który po jakimś czasie poprosił ją o rękę. Podobno przejęli manufakturę ojca, a firma Patek Philippe w 1868 r. wykonała dla węgierskiej księżnej jeden z pierwszych na świecie zegarków na rękę.

I tak skromny Antoni, dzięki swoim umiejętnościom, zdolnościom, wytrwałości i pracowitości zyskał sławę światową. Jego legendarne zegarki zachwycały. Ku czci Antoniego Patka powstał pomnik – symbol kunsztu zegarmistrzowskiego. Znajduje się on w Piaskach Szlacheckich. Podobno o północy mieszkańcy mogą usłyszeć tutaj odgłosy cykających zegarków.

*Weronika Bociąg
Szkoła Podstawowa
im. Jana III Sobieskiego
w Gorzkowie*

Adrianna Czaban

„Pomnik pamięci”

Każdy w Krasnymstawie wie, że w parku w naszym mieście rośnie Klęczące Drzewo. Nie każdy jednak wie, dlaczego to drzewo ma taki wygląd. Legenda o tym jest bardzo interesująca. Drzewo to kiedyś rosło zwyczajnie – prosto. Wyglądało tak jak inne, niczym się nie wyróżniało. Wszystko się zmieniło, gdy wybuchła II wojna światowa. Do naszego miasta wkroczyli Niemcy. Przynieśli ze sobą strach, cierpienie i śmierć.

Podobnie jak w Warszawie, w Krasnymstawie na przedmieściu Grobla utworzyli getto. Umieszczono w nim Żydów nie tylko z naszego miasta, ale również z Czech, Słowacji i III Rzeszy. Przebywało w nim ok. 2 tysiące osób. W niektóre dni Niemcy wyprowadzali Żydów do parku miejskiego i tam na oczach wszystkich bito ich i poniżano. Sceny te były bardzo smutne oraz przejmujące. Drzewo widziało każde poniżenie człowieka, każdy cios i każdą łzę. Za każdym razem, gdy Niemcy przyprowadzali Żydów do parku, drzewo płakało i pochylało się coraz niżej, tak jakby to ono przyjmowało ciosy. Pochylało się i pochylało, aż w końcu ukłękło, oddając w ten sposób hołd tym wszystkim, którzy stracili w parku życie.

Getto w Krasnymstawie miało charakter przejściowy. Żydów z niego przewieziono do getta w Izbicy i do Bełżca. Społeczności żydowskiej nie ma już w Krasnymstawie, ale Klęczące Drzewo jest i wszystko pamięta. Przypomina nam, żebyśmy my też pamiętali.

*Adrianna Czaban
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 1
im. Adama Mickiewicza
w Krasnymstawie*

Kamila Czochrowska

„Historia miejscowości Tarzymiechy”

Na dawnej ziemi chełmskiej i bełskiej, po prawej stronie rzeki Wieprz leży wieś Tarzymiechy. Najstarsza wiadomość o miejscowości pochodzi z 1419 roku. Niegdyś przebiegały tędy szlaki handlowe wiodące z Lublina na Wołyń i z Chełma do Bełza. Historia nie oszczędzała Tarzymiech. Bliskość twierdzy obronnej w Zamościu, wojny kozackie i szwedzkie sprawiły, że życie było tutaj bardzo ciężkie. Wojska pustoszyły wsie, niszczyły i tak już niewielkie uprawy i gospodarstwa.

To właśnie tutaj, wiele lat temu, na niewielkim wzniesieniu tuż obok rzeki Wieprz, stał okazały dwór należący do szlacheckiego rodu Tarzymieskich. Jan i jego żona Anna robili wszystko, aby ulżyć ludziom: chłopom, kmieciom, komornikom i zagrodnikom. Folwark Tarzymiechy posiadał piękne budynki wzniesione z palonej cegły. Pałac otoczony był parkiem z drzewami owocowymi. Nieopodal stał spichlerz, stodoła, owczarnia. Obok – czworaki dla służby wraz z piwnicami do przechowywania warzyw i ziemniaków, cegielnia, olejarnia i mleczarnia. W pobliżu zabudowań pałacowych, w dolinie Wieprza zbudowano młyn wodny.

Życie toczyło się leniwie, chłopci ciężko pracowali, choć nie było łatwo, bo i ziemi piaszczyste i gliniane, a teren podmokły. Lata mijały. Jan bardzo pragnął dziedzica, ale doczekał się trzech córek. Stał się przez to zgorzkniały i okrutny. Zaczął wędrować po zabawach, a to kosztowało, więc potrzebował pieniędzy i wyciskał je od chłopów. Często nie wiedział, co dzieje się u niego w gospodarstwie, a ono bez ręki pana podupadało. Żona próbowała przemówić mu do rozsądku, ale niewiele to pomagało. Wrzeszczał, bił i pastwił się nad ludźmi i zwierzętami. Ciężkie stało się z nim życie...

W takich chwilach Anna chodziła nad Wieprz. W okolicy młyna siadała w zaroślach i wszystkie swoje smutki i problemy przekazywała rzece. Wiele łez wpadło do wody, wiele żalów popłynęło... Wracała do dworu i z nowymi siłami próbowała ratować, co jeszcze pozostało. Na męża nie mogła liczyć.

Córki dorastały, ale Jan jakby ich nie zauważał. Potrzebował dziedzica, a na nie nie zwracał uwagi. Były one oparciem dla matki, która zaczęła podupadać na zdrowiu. Nadal jednak chodziła do młyna i tam szukała sił i ratunku.

Pewnej nocy miała niezwykły sen. Ujrzała kobietę całą w bieli, z wiankiem na głowie, która kazała jej następnego wieczora zabrać córki i udać się w miejsce, gdzie często chodziła. Dodała, że dobroć i serdeczność zostaną nagrodzone. Nazajutrz, nie bacząc na srogą minę męża i jego wściekłe spojrzenie, ubrała córki i udała się nad rzekę. Nie czekały długo. Na brzegu pojawiła się kobieta ze snu. Panna Wodna oznajmiła, że nie może już patrzeć na niedolę mieszkańców Tarzymiech, chce im pomóc poprzez dary, które otrzymają córki Anny. Z każdą z nich porozmawiała, każdą chwyciła za rękę, każdą uściskała. Następnie kobiety wróciły do dworu.

Od tej pory wieczorami córki wymykały się z domu – każda w inną stronę. Spotykały się z poddanymi i uczyły ich: jedna uprawy ziół i leczenia nimi, druga pokazywała, jak należy dbać o zwierzęta, trzecia uczyła jak z niewielu produktów „wyczarować” wspaniałe dania, jak obdarować innych.

Niedługo trwało już małżeństwo Anny i Jana. Po kilku latach hulaszczego życia Jan zmarł. A tymczasem Tarzymiechy rozkwitły. Wspaniałe córki dbały o mieszkańców. Często chodziły też nad rzekę i dziękowały Pannie Wodnej za dary, jakie od niej otrzymały.

Po kilku latach dzierżawca folwarku w Wirkowicach postanowił założyć staw w pobliżu pałacu. Kazał więc przekopać nowe koryto rzeczne doprowadzające wodę do stawu, ale wiosenne roztopy i wylewy wyżłobiły sobie nowe łożysko bliżej Wirkowic. Woda przestała płynąć i poruszać młyn w Tarzymiechach. Wtedy też zniknęła Panna Wodna. Ale tradycje przez nią przekazane kultywowane są do dziś. Tarzymiechy Pierwsze słyną z uprawy ziół – mniszka lekarskiego, arcydzięgla, kozłka czy prawoślazu. Tarzymiechy Drugie wspaniałe zajmują się zwierzętami. Jest tu stadnina koni, a wielu gospodarzy hoduje zwierzęta. Tarzymiechy Trzecie to wspaniałe gospodynie odnoszące sukcesy w powiecie, województwie i kraju...

A ja? Ja często chodzę do starego koryta rzeki. Wpatruję się w taflę małego jeziora, które tam się znajduje. Może kiedyś i mnie Panna Wodna się pokaże...

*Kamila Czochrowska
Szkoła Podstawowa
w Tarzymiechach*

Amelia Kowalczyk

„Legenda braci Chmiel, czyli o powstaniu Małochwieja Dużego i Małochwieja Małego”

O nazwie miejscowości Małochwieja krążą legendy przekazywane w formie ustnych podań z pokolenia na pokolenie. Jedną z nich jest historia dwóch kowali pracujących w miejscowości w czasach panowania Władysława Jagiełły.

Dawno, dawno temu, gdy krajem władał król Władysław Jagiełło, w okolicach dzisiejszego Krasnegostawu, rosły bujne lasy, które były pełne dzikich zwierząt zagrażających bezpieczeństwu mieszkańców. Środkiem leśnych kniejów leniwie płynęła rzeka Wojsławka, która swe wody prowadziła do Wieprza. Po obu stronach rzeki, w dolinie kmiecie zbudowali swoje domostwa. Życie nad rzeką było trudne. Częste jej wylewy zmuszały ludzi do przenoszenia się na tereny wyżej położone.

Na prawym zboczach założono dużą osadę składającą się z osiemnastu domów, a na lewym małym zboczach zbudowano sześć domów. Mieszkańcy obu osad byli bardzo pracowici i odważni. Zajmowali się uprawą roli, bartnictwem, kowalstwem, handlem oraz krawiectwem. Angażowali się również w obronę Rzeczypospolitej Polskiej. We wsiach funkcjonowały dwie kuźnie i dwie karczmy, a nad rzeką Wojsławką zbudowano młyn wodny. Mieszkańcom coraz częściej zaczęły zagrażać stada wilków, które podchodziły bardzo blisko domostw. Watahy wilków atakowały bezbronnych ludzi, jak również zwierzęta gospodarskie. Kmiecie, aby ustrzec się przed nieprzyjacielem zaczęli grodzić swoje zabudowania.

Na początku dużej wsi przy rozległych stawach mieszkała rodzinach Chwiejów, których ojciec był kowalem. Mieli dwóch synów. Jeden był wysokiego wzrostu, a drugi niskiego. Obaj bracia uczyli

się rzemiosła u znanych kowali w Krasnymstawie. Kiedy dorosli, zostali kowalami i założyli swoje rodziny. Wysoki brat poślubił Jadwigę, córkę handlarza Romana z małej wsi i razem z żoną zamieszkali w dużej wsi i założyli tam kuźnię. Natomiast mały brat pojął za żonę Elżbietę, córkę krawca Stefana i osiedlił się w małej wsi, gdzie zbudował kuźnię. Gdy się zdarzyło, że któryś z mieszkańców wsi potrzebował pomocy kowala, pytano go czy idzie do dużego Chwieja, czy do małego Chwieja.

Bracia Chwieje byli bardzo znanymi mieszkańcami wsi i okolicy. W czerwcu 1418 r. król Władysław Jagiełło przebywał nieopodal Krasnegostawu na corocznym turnieju łowienia ryb i turnieju dla myśliwych – te strony obfitowały w liczne stawy, które mogły poszczycić się bogactwem różnego rodzaju ryb, m.in. karpia, linów, amurów. Król zaprzagnął poznać kowali Chwiejów, gdyż o ich wspaniałej i starannej pracy słyszał od mieszkańców swojego dworu. Po otrzymaniu zaproszenia od samego króla bracia pośpiesznie odpowiedzieli na nie i udali się do zamku w Krupem, gdzie została przygotowana na ich cześć uroczysta kolacja. W czasie uczyty król Jagiełło poprosił braci Chwiejów o wykonanie karety. Bracia byli bardzo zaskoczeni i zdziwieni, że to właśnie oni dostąpili takiego zaszczytu i bez wahania zgodzili się przygotować powóz.

Po powrocie do swoich kuźni przystąpili do pracy. Podzielili się zakresem robót, co mogli wykonać oddzielnie, to robili indywidualnie, a elementy, które trzeba było wykonać wspólnie – robili razem. Prace nad kareta trwały około roku, po tym czasie król Władysław Jagiełło odwiedził Chwiejów w ich rodzinnych miejscowościach. Efekt pracy braci bardzo zaskoczył króla i przerósł jego najśmielsze oczekiwania. Był bardzo zadowolony.

W dowód wdzięczności i na cześć braci Chwiejów król Władysław Jagiełło w 1419 r. postanowił utworzyć dwie wsie Małochwieja Duży i Małochwieja Mały. I tak po współczesność, po prawej stronie rzeki Wojsławki leży Małochwieja Duża, a po lewej Małochwieja Mała.

W 2019 r. wieś Małochwieja obchodziła jubileusz 600-lecia powstania.

*Amelia Kowalczyk
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 1
im. Adama Mickiewicza
w Krasnymstawie*

Julita Mazurek

**„Jak karpie znalazły się w herbie
Krasnegostawu”**

Na zamku w Szczekarzewie od rana panuje hałas, rozgardiasz, istna apokalipsa. Wojna się szykuje? Jakiś najazd tatarski? Nic podobnego! To wiadomość, że do zamku zawita sam miłościwie panujący król Jagiełło tak wstrząsnęła wszystkimi. Sam król! I z księżniczką Sońką! Niebywały to zaszczyt dla tutejszego ludu.

Wiadomo, że trzeba ich godnie przyjąć. Służba dwoi się i troi, żeby zamek wyglądał pięknie. A w kuchni siedzi kucharka, łyż płyną strumieniem na fartuch... Powód? Nigdy dotąd nie przyjmowano tak znamienitego gościa! Czym go nakarmić? Co podać takiego niezwykłego na stoły? Warzywa pokrojone, ale to takie zwyczajne wszystko... Mięsiwa w ziołach wędzone wydzielają taki aromat, że aż ślinka cieknie. Ciasta wszelakie pyszną się ułożone w misternych piramidach, ale ciągle tu czegoś brakuje...

Nagle do zapłakanej kucharki podchodzi Jasiek:

– A może rybki bym nałapał? Przecie umiecie, ciotko, przyrządzać.

Uściskała kucharka Jaśka i powiada:

– A biegnij duchem nad staw albo nad rzekę! Przyrządzimy królowi coś pysznego!

Złapał Jasiek kosze, sieci i pognął nad rzekę. Patrzy, a woda aż kipi! Co się dzieje? Czy da radę złowić cokolwiek? Nie wciągnie go ta kipiela?

A tymczasem w rzece trwała burzliwa narada. Zebrały się wszystkie ryby, które choć głosu nie mają, obserwować potrafią. I poświęcą się, jeśli trzeba, bo honor mają – to nawet ryby wiedzą. Zaczęły płotki:

– My mamy mizerną posturę, trzeba kogoś solidniejszego podesać.

Krasnopiórki zwróciły uwagę na swoje kolorowe płetwy, ale postać też mikra. Nie o kolor tu przecież idzie, nie na występy przed publiką się szykują. Popatrzyły ryby po sobie... I kogóż by tu wysłać, żeby zadowolić miłościwego pana? Nic tu po drobiazgu. Nagle jeden z karpi machnął płetwą i nieśmiało rzekł: - To może my? Niezbyt szykownie wyglądamy, ale jesteśmy duże. Krasnopiórki i pozostałe ryby przyklasnęły. Honor uratowany!

Gdy tylko Jasiek zanurzył sieć, karpie zaczęły pchać się do niej. Chłopiec oczom nie wierzył. Nigdy takiego połowu nie miał! A to się ciotka uciesza! A i jemu przecież też się coś dostanie z pańskiego stołu. Na samą myśl o takiej strawie głośno przełknął ślinę. Trzeba się śpieszyć, bo najlepsza to ryba świeża. Migiem pobiegł po innych, aby pomogli przytaszczyć kosze z rybami.

Kucharka teraz płakała z radości, wycierając oczy wykrochmalonym fartuchem.

Wkrótce w kuchni sprytnie dziewczęta sprawiły karpie, popłakując trochę nad ich losem, jak to baby... No cóż, kogoś przecież trzeba poświęcić.

A wieczorem na zamku odbyła się uczta. Było gwarno, wesoło, muzyka, śmiechy. Potrawy z ogromnych mis i półmisek zniknęły w okamgnieniu. Widać było, że gościom jadło smakuje. Przepijano winem, miodami wszelakimi. Wreszcie podano ryby. Kucharka przez uchylone drzwi obserwowała gości. A król bierze jeden kawałek ryby, potem następny i następny... Chryste, żeby się tylko jaką ością nie zadławił! Nagle król otarł usta serwetą i... zaczyna klaskać! Każę wołać kucharkę. Ledwie żywa kobieta staje przed królem:

– A cóż to za rybę mi podaliście?

– To karp z naszej rzeki, miłościwy panie!

– Godzien jest znajdować się w herbie! Jest przednio przyrządzony, rzekłbym, taki dostojny, iście królewski! Kucharka o mało nie zemdląta z radości. A ryby w rzece odetchnęły z ulgą...

Kiedy król Jagiełło nadał Szczekarzewowi nazwę Krasnystaw, przykazał, aby w herbie znalazły się karpie. I tak się stało według woli miłościwie panującego. A krewni bohaterskich karpi do tej pory pływają w Wieprzu wraz z płotkami, linami i krasnopiórkami. I kiedy zobaczą gdzieś herb, pokazują rybiej młodzieży: – To nasi krewni! Król Jagiełło się nimi zachwycił! Pamiętajcie, że nieraz trzeba się poświęcić w imię dobrej sprawy. I wcale nie licząc na zaszczyty, nagrody...

Karpie – niby zwykłe ryby, a jednak królewskie... Minęły wieki, wiele wody upłynęło w Wieprzu, a karpie nadal są z nami. I w herbie, i w rzece...

*Julita Mazurek
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 4
im. Jan Pawła II
w Krasnymstawie*

Aleksandra Serwatka**„O Habsburgu, pędzie chmielu
i grze w karty”**

Dawno temu, nad brzegiem rzeki Wieprz w Krasnymstawie stał piękny zamek. Wejścia do tej warowni pilnowało wielu strażników. Jak wieść niesie, w ciągu wieków zamek odwiedziło wiele ważnych osób, w tym królowie Polski: Kazimierz Wielki, Władysław Jagiełło oraz Zygmunt II August. Mieszkańcy miasta od dawna mówili, że w zamku ukryty jest skarb, ale nikt go nie odnalazł.

W 1588 roku rozegrała się bitwa pod Byczyną, w trakcie której do niewoli trafił Maksymilian III Habsburg – kandydat na króla Polski. Arcyksiążę został pojmany i uwięziony przez hetmana wielkiego koronnego Jana Zamoyskiego. Początkowo Habsburg przebywał w Zamościu, ale gdy okazało się, że próbował stamtąd uciec, Zamoyski zdecydował się uwięzić go w krasnostawskim zamku. Hetman rozkazał zamknąć Maksymiliana w wieży, która później została nazwana Wieżą Maksymilianowską. Więźniowi dni w odosobnieniu bardzo się dłużyły i jedyną jego rozrywką była gra w karty, które przywiózł do Krasnegostawu. Postanowił również nauczyć grać w swoją ulubioną grę strażników, którzy go pilnowali. Pewnego wieczoru, zajęci grą strażnicy nie zauważyli, że światło pochodni zaczęło mrugać, a w celi, w której przebywał Habsburg, otworzyło się tajne przejście, w którym pojawiła się postać pięknej dziewczyny mówiącej:

– Chodź za mną, Maksymilianie, skarb już na ciebie czeka.

Arcyksiążę, pomimo że był bardzo wystraszony, jak zaczarowany poszedł za zjawą. Gdy się zatrzymali, duch wręczył mu szkatułkę, mówiąc:

– Oto skarb, którego strzegę od bardzo dawna. Oddaję go w twoje ręce. Ty dobrze wiesz, co z nim zrobić.

Maksymilian zaniemówił, wziął pięknie polącane pudełko w dłonie. Chwilę zastanawiał się, czy to nie sen, ale piękna dama jeszcze raz powtórzyła:

– Nie bój się, otwórz szkatułkę.

Po tych słowach zniknęła. Habsburg delikatnie podniósł wieczko i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Wrócił do celi, usiadł na łóżku, ponow-

nie otworzył szkatułkę i wyjął z niej pęd chmielu. Na dnie pudełka leżała kartka, na której było napisane:

„Oto skarb ziemi krasnostawskiej, który rozslawi ją na całą Polskę. Bogaty ten, kto owoce będzie jego zbierał”.

– A więc to jest ten skarb, o którym kiedyś szeptali strażnicy – pomyślał Maksymilian.

Habsburg długo zastanawiał się, co powinien zrobić. Nie rozumiał, jak roślina może sprawić, że miasto, w którym przebywał, stanie się sławne. Wiedział, że musi podjąć decyzję. Zrobi to, co podpowiadało mu serce. Patrząc przez okno, widział piękny staw, który przybierał czerwony kolor, gdy zachodziło słońce. Słuchał śpiewu słowików o poranku i wiedział, że mimo, iż był w niewoli, traktowany był z szacunkiem. Często rozmawiał ze strażnikami, odwiedzał go także starosta krasnostawski, z którym jadał obiady i prowadził rozmowy polityczne.

Gdy nadeszła wiadomość, że podjęto decyzję o uwolnieniu Maksymiliana, arcyksiążę wziął pudełko i wyjął z niego pęd chmielu. Opuuszczając zamek, podszedł do przełożonego straży i podarował mu go, mówiąc:

– To mój prezent, podziękowanie za dobre traktowanie. Posadź tę roślinę i dbaj o nią. Maksymilian odjechał, a szef straży zrobił to, o co został poproszony. Okazało się, że z małego pędu chmielu wyrosły piękne, pnące rośliny z szyszkami. Od tamtych czasów uprawa chmielu stała się bardzo popularna na żywej ziemi krasnostawskiej. Z czasem chmiel zaczęto wykorzystywać do produkcji złotego trunku. Habsburg, pomimo że był daleko, interesował się, czy jego prośba została spełniona. Często wspominał Krasnystaw i piękną zjawę. Wiedział, że dzięki uprawie chmielu krasnostawianie żyją w dostatku. A gra w karty, której nauczył strażników, na dobre zagościła w Polsce i stała się jedną z ulubionych rozrywek Polaków.

*Aleksandra Serwatka
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 1
im. Adama Mickiewicza
w Krasnymstawie*

Wyróżnienia:**Szymon Brzysko****„Legenda o powstaniu nazwy miasta Krasnystaw”**

Dawno, dawno temu, przed wieloma wiekami, na naszych ziemiach pojawił się książę Szczek. Skąd przybył? Dokąd zmierzał? Dlaczego zatrzymał się właśnie w naszych stronach? Tego nikt nie wie. Jednak tu pozostał. Założył warowny gród i nazwał go Szczekarzewem. Grodzisko to broniło przeprawy przez rzekę Wieprz. Sama osada znajdowała się na szlaku handlowym prowadzącym z Polski do Rusi.

Gród leżący wśród stawów i łąk, dzięki przebiegającemu tędy szlakowi handlowemu, powoli rozwijał się. Dawno już Bóg zabrał do siebie Szczeka. Na jego tronie zasiedli kolejni potomkowie. Oni także dbali o rozwój naszego grodu, który już powoli zaczynał zmieniać się w małe średnio-wieczne miasteczko.

Pewnego dnia, a było to za czasów panowania króla Kazimierza Wielkiego, do Szczekarzewa zawitał sam władca. Już kilka lat wcześniej nakazał najlepszym budowniczym wybudować zamek nad brzegiem rzeki Wieprz, która otaczała miasteczko. Zamek miał za zadanie strzec okolicznych terenów i szlaku handlowego. Zapewniał także nocleg samemu królowi podczas jego wypraw na Litwę.

Król Kazimierz wraz z małżonką i całą świtą zatrzymał się tradycyjnie w tutejszym zamku na odpoczynek. W planach miał także łowy. Wiedział, że okolica obfituje w wielkie połacie lasów, w których żyło dużo zwierzyny. Często otrzymywał na obiad dziczyznę upolowaną w tutejszych lasach. Tym razem było jednak inaczej. Parze królewskiej na poczęstunek podano karpie z pobliskich stawów. Było to spore zaskoczenie dla władcy, bo dawno już nie jadł tak pysznie przyrządzonych ryb. Po obiedzie królowa z królem wybrali się na spacer po okolicy. Zachodzące słońce rozświetlało okoliczne stawy. Pachniały kwitnące jabłonie i bzy. Nagle królowa upojona zapachem kwiatów i zachwycona niesamowitym widokiem zawołała: „Jaki krasny staw!”.

Król nic nie powiedział, ale jego mina wskazywała, że podobnie pomyślał.

W krótkim czasie, dla uczczenia wizyty i wyśmienitego obiadu oraz piękna okolicy król Kazimierz Wielki postanowił nadać miejscowości nową nazwę „Krasnystaw”. W herbie umieścił dwa karpie. Dzisiaj każdy, kto wjeżdża do miasta, zobaczy herb z dwoma karpiami. A spacer po miasteczku dopowie resztę.

*Szymon Brzysko
Zespół nr 3 Przedszkola
i Szkoły Podstawowej
w Krasnymstawie*

Mikołaj Czerwonka**„Borowikowa polana”**

Dawno, dawno temu żył pewien władca, który bardzo lubił wędrowki po świecie. Jednak nigdzie nie mógł zagrzać miejsca na dłużej i się osiedlić. Zawsze było coś, co mu się nie podobało. A to zwierzyny w lasach za mało, a to pola mało urodzajne, jeszcze innym razem rzeka wydawała mu się zbyt płytka. Najbardziej cierpieli z tego powodu jego dworzanie. To oni musieli ciągle pakować i przewozić cały dobytek, który nie był mały. Tak mijały długie lata. Władca robił się coraz starszy i coraz gorzej znosił wędrowki. Ciągłe życie w drodze już mu nie służyło.

Pewnego razu on i jego poddani przybyli do pięknej i rozległej krainy. Król nie miał już na co narzekać. Było tam dużo lasów pełnych zwierzyny, dorodne łany zbóż oraz głęboka i urokliwa rzeka. Władca rozpromienił się na ten cudowny widok. Chorowity staruszek poczuł się, jakby znów był młody i pełen sił. W dworzanach również zapaliła się isierka nadziei na lepszą przyszłość i koniec ciągłej tułaczki. Poczuli, że to właśnie jest ich dom. Wędrowali tak jeszcze do wieczora, aż w końcu król rozkazał rozbić obóz. Następnie polecił swoim ludziom udać się na odpoczynek.

Rano, gdy wszyscy jeszcze spali, władca udał się na zwiedzanie okolicy. Chcąc obejrzeć piękny, gęsty las z bliska, natrafił na polanę pokrytą dorodnymi borowikami, których było pod do-

statkiem dla niego i całej jego służby. Zachwycony tym widokiem, postanowił założyć osadę w pobliżu borowikowej polany. Jego poddani również byli zachwyceni tym miejscem. A przede wszystkim odechnęli z ulgą, że to już koniec wędrówki.

Gdy ukończyli budowę osady, zgodnie postanowili, że będzie nosiła nazwę Borowica. W ten sposób chcieli oddać cześć krainie, która stała się ich domem.

*Mikołaj Czerwonka
Publiczna Szkoła Podstawowa
w Łopienniku Dolnym*

Aleksandra Jagiełło

„Legenda o tym jak powstały Suchodoły”

Historia ta miała miejsce w dawnych czasach, kiedy królestwami rządili królowie, a ich granic bronili odważni i niezwykłeni rycerze. Nieopodal takiego królestwa znajdowała się mała miejscowość. Przeplątała przez nią urokliwa i tajemnicza rzeka Marianka, a wokół niej znajdowały się piękne stawy. Mieszkańcy żyli w dostatku. Dzięki wodzie z rzeki ich plony zawsze były obfite, łąki bujne i gęste, a stawy zapewniały pożywienie.

W miejscowości tej mieszkała piękna dziewczyna – Marysieńka. Nad jej urodą zachwycał się każdy mieszkaniec wioski. Twarz miała niczym lazur rzeki, nieskazitelny i prawie przejrzysty. Włosy mieniły się w słońcu niczym kosztowny kamień. Wydawało się jakby była nie z tego świata. Wszyscy chłopcy z okolicy próbowali zdobyć serce Marysieńki, oferowali jej przy tym piękne prezenty i dozgonną miłość. Niestety, Marysieńka odrzucała każdego chłopca.

Dziewczyna codziennie wstawała o świcie, aby móc przechadzać się po porannej rosie na brzegu rzeki. Gęste mgły otaczały całą okolicę. Marysieńka słyszała, że miejsce to jest zaczarowane, a w rzece mieszkają nimfy wodne, jednak nigdy nic niezwykłego nie zauważała. Aż do pewnego ranka. Jak co dzień wybrała się nad brzeg rzeki, w swoje ulubione miejsce, gdzie usiadła na wielkim kamieniu i zaczęła rozmyślać. W pewnym momencie usłyszała, jak ktoś ją woła. Na początku

myślała, że usnęła i to był sen, ale po chwili znów usłyszała ten głos. Był on tak delikatny, jak muśnięcie wiatru. Dziewczyna przestraszyła się i zaciekawiała jednocześnie. Wstała z kamienia i zaczęła iść w kierunku pięknego głosu. Gdy szła brzegiem rzeki, doszła do stawu, w którym jej ojciec często łowił ryby. Z porannej mgły wyłoniła się niezwykła postać. Wyglądem przypominała kobietę, jej włosy były srebrzyste jak śnieg, twarz jej wyglądała jakby była zrobiona z wody. Marysieńka nie mogła oderwać od niej oczu.

– Podejdź bliżej, moje dziecko, nie bój się – powiedziała postać.

Marysieńka, mimo że odczuwała strach, była jednak bardzo ciekawa. Podeszła do niej bliżej. Jej oczy były jak dwa węgle, czarne i przeszywające. Marysieńka poczuła przeraźliwy chłód.

– Nie bój się, nie zrobię Ci krzywdy. Nazywam się Nawoja. Obserwuję Cię jak codziennie przychodzisz nad rzekę. Należysz do niej, jesteś jej częścią. W dniu, w którym skończysz 18 lat przyjdź nad brzeg rzeki, jak co dzień. Zabiorę Cię wtedy ze sobą i razem będziemy panować nad stawami i rzekami tej okolicy, zapewniając dobrobyt tutejszym mieszkańcom. Pamiętaj jednak, jeśli się nie zjawisz, twoją wioskę spotka ogromna kara. Marysieńka przestraszyła się, ale przystała na propozycję Nawoi. Obiecała jej, że równo za 3 miesiące, kiedy skończy 18 lat, pojawi się na brzegu rzeki.

Po obietnicy, którą dziewczyna złożyła tajemniczej postaci, ta zniknęła we mgle. Marysieńka stała tak jeszcze przez dłuższą chwilę, zastanawiając się czy to był sen, czy jednak rzeczywistość. Wróciła do domu, by zająć się swoimi obowiązkami w gospodarstwie, lecz nie zapomniała o tajemniczej kobiecie. Wracała codziennie nad rzekę, jednak Nawoja nie pojawiła się ani razu.

Pewnego poranka, gdy Marysieńka siedziała na brzegu rzeki, usłyszała stukot końskich kopyt. Ktoś zbliżał się w jej kierunku. Marysieńka nie mogła oderwać oczu od nieznanego. Nie widziała nigdy tak przystojnego mężczyzny, czuła, że jej serce wali jak oszalałe. Nieznajomy zbliżył się, zeskoczył z konia i uśmiechnął się szczerze i czule do dziewczyny.

– Przepraszam, że zakłócam spokój pięknej damy, ale chyba się zgubiłem. Wybrałem się

na polowanie z druhami, ale mój koń się spłoszył. Jestem Gniewomir, mieszkam w pobliskim zamku.

Marysieńka słyszała opowieści o księciu Gniewomirze i jego niezwykłej urodzie, jednak nie zdawała sobie sprawy, że jest to prawda. Dziewczyna bardzo się zawstydziła i uciekła w popłochu w stronę wioski. Nie mogła jednak skupić się na swojej pracy, ponieważ cały dzień myślała o pięknym księciu. Następnego ranka również poszła nad brzeg rzeki, książe już na nią czekał. Spotykali się codziennie, a ich uczucie rozwijało się i stawało coraz silniejsze.

Pewnego ranka książe poprosił dziewczynę o rękę, ta zgodziła się bez wahania. Oboje byli bardzo szczęśliwi. Tej nocy Marysieńka nie zmrużyła oka, nazajutrz bowiem miał być ten poranek, w którym miała zjawić się na wezwanie Nawoi. Dziewczyna nie mogła tego zrobić, za bardzo kochała księcia, by go zostawić. To był jedyny raz, kiedy nie poszła nad rzekę. Cały dzień Marysieńka czuła się nieswojo, ludzie z wioski narzekali, że ryby w stawie nie biorą, a zwierzęta nie chcą pić wody z rzeki. Następnego ranka, kiedy Marysieńka poszła nad rzekę, zobaczyła rzecz niezwykłą – woda miała brunatnozielony kolor. Gdy poszła nad staw, nie mogła uwierzyć własnym oczom. Zamiast wody zostały puste miejsca, nie było ani kropli. Wtedy usłyszała znajomy kobiecy głos:

– Nie posłuchałaś mnie, Marysieńko, miłośco Cię zaślepiła! Ostrzegałam, że jeśli nie spełnisz mojej woli, Twoją wioskę spotka ogromna kara. Zabieram wam całą wodę ze stawów, zostaną po niej suche doły. Będzie to pamiątka po mnie i po Twojej zdradzie.

Od tej pory mieszkańcom żyło się dużo trudniej. Jednak Marysieńka nie żałowała swojej decyzji, bo przy boku księcia Gniewomira była bardzo szczęśliwa. Razem z księciem pomagała mieszkańcom. Udostępnili im swoje lasy, aby mogli w nich zdobywać pożywienie. Na pamiątkę suchych dołów po stawach, miejscowość nazwano Suchodołami i tak jest po dziś dzień.

*Aleksandra Jagiełło
Szkoła Podstawowa
im. Powstańców Styczniowych
w Fajstawicach*

Jan Kyc

„Legenda o Tuligłowach”

Księżniczka z Rusi, o długich, jasnych jak len włosach miała poślubić polskiego księcia Dobromira. Rodzice księżniczki zorganizowali niewielki orszak składający się z jej służek, dam dworu i kilku wojów. Orszak poruszał się konno. Jechali poprzez bory i lasy, polnymi, wąskimi drogami. Pogoda była piękna. W lasach rosły kwiaty – białe przebiśniegi i fioletowe przyłaszczki, tworzące kolorowe dywany. Wędrowali już długo. We dnie zatrzymywali się na popasy, a nocami rozbijali obozowiska. Trasę znał jeden z wojów, a droga miała być bezpieczna. Na szlaku ich wędrowni znajdowało się tylko jedno miejsce, w którym mogło zaić się niebezpieczeństwo. Był nim wąski przesmyk pomiędzy bagnami a moczarami, które w okresie wiosennym bardzo często pokrywała woda. W trzynastym dniu podróży, a był to piątek wieczorem, po rozłożeniu obozowiska, rozpaleniu ognia i spożyciu wieczerzy składającej się z kaszy jaglanej z miodem i pieczonych ryb, wędrowcy ułożyli się do snu. Zmęczeni trudami podróży, szybko usnęli. W nocy zostali napadnięci przez zbójców. Wojowie mężnie bronili niewiast, które rozpierchły się i uciekły jak najdalej od miejsca zdarzenia. Księżniczka biegła i biegła przed siebie, aż zmęczona nie zauważyła wystającego korzenia drzewa, zaczepiła o niego i upadła. Upadając, uderzyła się w głowę i zemdląła. Po pewnym czasie się obudziła i bardzo się zdziwiła, gdy spostrzegła, że jest w podziemnej jamie, a jej głowa wtulona jest w miękkie, młode korzenie. Upadającą księżniczkę drzewo otuliło korzeniami i w ten sposób uchroniło ją od śmierci. Po wyjściu z jamy księżniczka spostrzegła, że to potężne drzewo rośnie nad skarpą. Księżniczka, stojąc w tym miejscu, spojrzała w dół, a tam zobaczyła księżyc i gwiazdy, uniosła głowę do góry i ujrzała podobny widok. Widok ten był zachwycający. Księżniczka nie wiedziała, co się dzieje i gdzie się znajduje. Po chwili zrozumiała, że jest to odbicie nocnego nieba w stawie.

Chwilę potem nastał świt i księżniczka usłyszała nawoływanie służek i wojów. Wszystko dobrze się skończyło. Dziewczyna opowiedziała tę historię swoim poddanym i nadano temu miej-

scu nazwę „Tuligłowy”. Tym potężnym drzewem, w którego korzeniach schroniła się księżniczka, był dąb, który po dziś dzień ma swoich potomków.

*Jan Kyc
Szkoła Podstawowa
im. Juliusza Słowackiego
w Małochwieju Dużym*

Alan Rusi

„Legenda o wsi Franciszków”

Wśród wzgórz i lasów, na niewielkim wzniesieniu leży małutka miejscowość Franciszków. Jest to piękna wioska ze względu na krajobrazy i otaczające ją z każdej strony lasy.

Legenda ta, opowiadana od dawien dawna, ma swój początek właśnie w lesie przy niewielkim źródleku zwanym „Krynica”. Jest to miejsce, gdzie dawniej kobiety robiły pranie, a woda jest tam czysta i zimna jak lód. Właśnie tutaj pewnej starej, samotnej kobiecie objawił się św. Franciszek. Wiadomość rozniosła się bardzo szybko i miejscowa ludność zaczęła przychodzić coraz częściej nad źródleko, lecz nikt inny nie zobaczył św. Franciszka. Nieufni mieszkańcy zaczęli wyganiać kobiety ze wsi, zarzucając jej kłamstwo. Pewnego dnia, gdy kobieta znowu udała się nad źródleko, zobaczyła wśród drzew postać jakby unoszącą się nad ziemią. Kobieta zaniemówiła z wrażenia, gdy usłyszała te słowa: „Nie bój się, wróć do domu i opowiedz jeszcze raz o tym, co tu widziałaś”. Kobieta miała wielkie obawy, że nikt jej nie uwierzy. Gdy wróciła z lasu, postanowiła pójść do swoich sąsiadów i zrobić jak jej kazano. Była strasznie zdziwiona, gdy ludzie ją wysłuchali i nikt z niej się nie śmiał. Nikt tak naprawdę nie mógł zrozumieć, co się dzieje, ani dlaczego akurat tutaj i tej kobiecie ukazała się postać św. Franciszka.

Po kilku dniach od tych wydarzeń życie wróciło do normalności, jednak w niedługim czasie pojawił się hrabia Zygmunt Skolimowski, właściciel pałacu i ogromnej części ziemi w Surhowie. Przybył do mieszkańców z propozycją zamiany terenów. Daną wioskę chciał przenieść do Surhowa (okolice obecnego cmentarza), a tutaj planował posadzić

las, gdyż jego pasją były polowania. Proponował większy obszar ziemi, lecz zburzyć i ponowne postawić domy ludzie musieli na własny koszt. Propozycja była dość kusząca i może hrabia dobiłby targu, lecz wcześniej wymieniona starsza kobieta mocnym i stanowczym głosem zaprotestowała. Rzekła do ludzi: „Nawet jak bym miała zostać tutaj sama, to się stąd nie ruszę. Będę żyć w samotności, lecz takiego drugiego miejsca nie ma na całej ziemi”. Ludzie tym razem wsparli kobietę, a nawet nadali nazwę danej wiosce „Franciszków”.

Od tamtych czasów coraz więcej ludzi zaczęło przybywać tu i się osiedlać. Choć wioska nadal jest mała, bo liczy około 70 mieszkańców, to zachwyca swoim urokiem. Jedyna droga prowadząca przez wieś jest otoczona domami. Wszystkie gospodarstwa są z tyłu domów, a wokół wioski nadal jest las. Źródleko istnieje do dzisiaj, nikt nie wie czy św. Franciszek ukazał się jeszcze komuś innemu. Właśnie ze względu na tę legendę miejscowość została tak nazwana. Ziarno prawdy na pewno zachowało się w tych opowieściach, a ludzie do dziś wierzą, że chroni ich św. Franciszek. Sądzą tak, ponieważ Franciszków sprawia wrażenie przykrytego płaszczem swojego patrona, który chroni mieszkańców przed różnymi nieszczęściami.

*Alan Rusi
Szkoła Podstawowa
im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego
w Kraśniczynie*

Mikołaj Zielonka

„Legenda o Żółkiewce”

Dawno temu żył człowiek, któremu zmarła żona i samotnie wychowywał swoją jedyną córkę. Dziewczynka była jego oczkiem w głowie. Poza nią nie miał już nikogo bliskiego. Mężczyzna był drwalem w pobliskich lasach. Żyli sobie skromnie, ale niczego im nie brakowało. Pewnego dnia Jan, bo tak miał na imię ten człowiek, gdy wrócił do domu zauważył, że z jego córeczką dzieje się coś złego. Dziewczynka była blada, nie miała siły i mówiła, że bardzo boli ją brzuch. Ojciec udał się do najbliższej sąsiadki, zapytał ją o radę, lecz ona

powiedziała mu tylko, żeby nazbierał mięty i podawał jej do picia. Minęło kilka dni, a stan dziewczynki wcale się nie polepszał, wręcz przeciwnie, czuła się coraz gorzej. Mężczyzna nie wiedział, co robić. Bardzo bał się, że straci swoją ukochaną jedynaczkę. Wtedy przypomniał sobie o pewnej staruszce, która potrafiła leczyć ziołami. Usłyszał o niej kiedyś przypadkiem podczas rozmowy dwóch kobiet. Okazało się, że wyleczyła ona syna jednej z nich. Natychmiast postanowił wyruszyć z córką w drogę do niej. Podróż była długa i męcząca, ponieważ musieli pokonać las, a później podążać wzdłuż rzeki, aż zobaczyli w oddali małą chatkę. Stała na łące, na której było pełno żółtych kwiatów. Ojciec poprosił kobietę o pomoc dla swojego dziecka. Miła staruszka zrobiła wywar z tych niezwykłych roślin i już następnego dnia dziewczynka poczuła się o wiele lepiej. Jan pomyślał wtedy, że tu zbuduje swój nowy dom.

Wieść o leczniczych właściwościach żółtych kwiatów, które okazały się mniszkiem lekarskim, zaczęła rozchodzić się w najdalsze zakątki. Ludzie przybywali z różnych stron z nadzieją na wyleczenie swoich chorób. Z biegiem czasu zaczęła powstawać tu nowa osada. Mieszkańcy na cześć pięknych łąk mieniących się żółtym kolorem nazwali ją Żółtkiewką.

*Mikołaj Zielonka
Szkoła Podstawowa
im. Hetmana S. Żółkiewskiego
w Żółtkiewce*

Prace zakwalifikowane do publikacji:

Daria Chudziak

„Historia nie całkiem zmyślona”

Dawno, dawno temu, w XVI wieku, w miejscowości Chorupnik, w samym jego centrum, stał niewielki kościółek, ale za to bardzo wysoki. Jedna z wież kościelnych zdawała się sięgać nieba. Podobno miejscowa ludność od początku była przeciwna decyzji o budowie kościoła. Został on jednak wzniesiony wbrew ich woli. Ludzie tutaj byli pobożni, tym bardziej trudno było zrozumieć ich decyzję. Świątynia powstała na wysepce otoczonej zarośla-

mi i błotnistymi terenami. Nie wiadomo, kto wybrał tak dziwne miejsce na budowę.

Obok kościółka, wznosiła się góra, całkiem wysoka. Wiele osób wybierało się tam nam wycieczki. Na samym szczycie rósł ogromny, wyniosły dąb. Lat miał tyle, co sama świątynia. Już dawno byłby ścięty, gdyby nie to, że nikt nie był w stanie tego zrobić. Tuż obok znajdowała się plebania, równie mała jak kościół. Na wysepce rósł też inny stary dąb. Obydwa drzewa łączył mostek zrobiony z lin i kilkunastu desek. Na końcu i początku zawijał się on dookoła ogromnych drzew i kończył lub zaczynał na ziemi. Mostek był niestabilny i mocno się chwiało. Za każdym razem sprawała wrażenie, jakby miał wpaść do bagna. Niestety, był on jedyną w miarę bezpieczną drogą do świątyni. Jeśli ktoś chciał przejść przez bagna, wiele ryzykował. Było jednak sporo śmiałków, którzy podejmowali się wyzwania. Niestety, kończyło się to wątpliwą kąpielą w mule.

Aż pewnego razu dzieci ze wsi przechadzały się po ścieżce obok bagien. Dwaj bracia usiedli w trawie i podziwiali świat. Podejrzane było dla nich to, że panowała wiosna, a żadne z pobliskich drzew nie miało liści ani pąków. Były całkowicie огоłocene. Jeden z chłopców o imieniu Lech, wskazał na mężczyznę, przechadzającego się obok bagien, który głęboko rozmyślał. W końcu podjął decyzję, że spróbuje przejść kawałek przez bagna. Był jeszcze młody i niedoświadczony, lecz gdyby trochę więcej wiedział o świecie, to byłby pewny, że jeśli będzie biec, to zginie. Młodzieniec zaczął szykować się do biegu. Wykonał pierwszy potężny sus. Nie zdążył jeszcze stanąć na błocie, gdy w powietrzu chwyciła go za kostkę jakaś zielonkawa dłoń. Miała tylko cztery palce, pomiędzy każdym błony. Po chwili człowiek zniknął pod powierzchnią bagien. Rodzeństwo wpatrywało się z osłupieniem w muł. To naprawdę się działo?! Niedowierzali. Chyba to jakieś przywidzenie! Drugi i starszy, mądrzejszy brat Piotr zdecydował, aby opowiedzieć o strasznym wypadku mamie. Musiała się dowiedzieć. Lech posłuchał brata i obaj pobiegli chwilę później do domu z przerażającymi wieściami.

Nazajutrz cała wioska wiedziała o tym, co stało się poprzedniego dnia. Ludzie byli pewni, że grasuje tam potwór, który nawiedzał ich od bardzo dawna. Kilka osób przekonanych, że prawda i tak już wyszła na jaw, stwierdziło, że widzieli zielonka-

wy ogon chowający się za dachem kościółka, lub podejrzane ślady na ziemi. Każdy bał się o swoją rodzinę.

I tak wszyscy żyli w strachu. Starsi przekonali najmłodszych, że niebezpiecznie jest wyruszać poza teren domu. Jednak niedługo po tych wydarzeniach pewna staruszka postanowiła odważnie rozprawić się z potworem. Wyszła z domu o północy, ponieważ gdyby ktoś ją zobaczył, uznałby ją za szaloną. Poszła na bagna i rzekła: „Proszę, potworze, kimkolwiek jesteś, odejść stąd! Proszę cię wszyscy mieszkańcy wioski. Nie zakłócaj już dłużej naszego spokoju!”

Gdy skończyła, z rozlewisk wyłoniło się... zielone cielsko. Oczy niebieskie jak aksamit, błękitne błony pomiędzy palcami, a na głowie korona z wodorostów. Toż sam wodnik unosił się nad błotem, patrząc na kobiety.

– Dobrze – powiedział. – Opuszczę bagna, oddam wam wszystkich, którzy zaginęli. Jednak wymagam tylko jednego. Oddajcie mi ten kościół. Jest mi potrzebny. Inaczej nie odejdę.

Staruszka się zastanowiła, wszak oferta była bardzo kusząca.

– Dobrze, zgadzam się – powiedziała. Zaraz potem stworzenie odwróciło się. Mruknięto coś pod nosem, wskazało na kościół i skoczyło z powrotem do wody. Za to świątynia zaczęła się zapadać. Po kilku minutach została już tylko wielka kałuża, z której wynurzali się powoli zaginionieni mieszkańcy Chorupnika. Mężczyzna po mężczyźnie, kobieta po kobiecie, dziecko po dziecku. W końcu, kiedy cała łąka była już zapełniona ludźmi, kałuża zniknęła całkowicie.

Z czasem każdy zapomniał o tajemniczym miejscu. Ludzie się cieszyli, że jest spokojnie, jak kiedyś. Mimo wszystko brakowało im kościółka. łąka jednak co roku, tego samego dnia o północy odwiedzana jest przez wodnika. Spaceruje sobie, gdy nikogo nie ma w pobliżu i gwizdże pod nosem. Kościół zaś wybudowany został w następnych latach w Gorzkowie – pobliskiej osadzie. Niektórzy do dziś mówią, że w stawie obok gorzkowskiej świątyni widują wodnika, ale chyba to tylko bajanie.

*Daria Chudziak
Szkoła Podstawowa
im. Jana III Sobieskiego
w Gorzkowie*

Julia Chymos

„Strażnik klejnotów”

Kilka wieków temu, za panowania Zygmunta III Wazy, miały miejsce pamiętne wydarzenia. Niedaleko Krasnegostawu, nad niewielkim jeziorem w malowniczej wsi Krupe stał okazały zamek. Otoczony był murem z czterema basztami i fosą oraz licznymi rozlewiskami. Prowadził do niego zwodzony most i wielka brama. Dookoła zamku rozciągał się przepiękny ogród z niespotykaną roślinnością.

Posiadłość była własnością niejakiego Pawła Orzechowskiego herbu Rogala, podkomorzego z Chełma. Mieszkał tam wraz z żoną Zofią i dziećmi, liczną służbą oraz strażnikami. Szlachcic był bardzo zamożnym człowiekiem. Posiadał trzy miasta, kilkadziesiąt wsi, a także kamienice w Lublinie. W skarbcu podkomorzy przechowywał drogocenne, warte bardzo wiele klejnoty, które odziedziczył po babce Leokadii. Strzegli je strażnicy i groźne psy.

Wieść o ukrytym skarbie i innych kosztownościach Orzechowskiego szybko rozeszła się po okolicy. Była to wielka pokusa dla grasującej w pobliskim lesie krupskim bandy. Trzej bracia: Zdziszko, Liszko i Motyszko słynęli z licznych rozbojów, kradzieży i oszustw. Cała wieś i okoliczni mieszkańcy bali się grasującej szajki. Wieczorami każde domostwo zamykało się na cztery spusty w obawie przed rabusiami.

Pewnego wieczora, kiedy Orzechowski wybrał się w daleką delegację, złodziejaszki postanowiły napaść na zamek i wykraść kosztowności. Jak tylko zapadł zmrok, bracia wyruszyli na rabunek. Przepłynęli fosę, wdrapali się na mury zamczyska i przedostali się na dziedziniec. Napadli na stróżujących tam strażników i związali ich. Na groźne psy też mieli sposób. Rzucili im kawałki mięsa nafaszerowanego trucizną. Gdy zwierzęta to zjadły, padły nieżywe. Złodzieje wtargnęli do skarbcza i zabrali wszystkie kosztowności.

Po powrocie Orzechowski był zrozpaczony. Za wszelką cenę chciał odzyskać skradziony skarb, a zwłaszcza drogocenne klejnoty. Obmyślił sprytny plan, jak ponownie zwabić złodziei i dać im nauczkę. Rozpuścił po okolicy plotkę, że z delega-

cji przywiózł kilkanaście sztabek złota. Nie musiał długo czekać na powrót Zdziszka, Liszka i Motyszka. Ich pazerność była tak wielka, że ponownie postanowili napaść na posiadłość. Szlachcic tym razem się przygotował. Przebrał się za ducha. Kiedy rabusie ponownie próbowali wkraść się do skarbcza, wyszedł z ukrycia, wydając przerażające dźwięki. Bracia tak bardzo przestraszyli się, że zaczęli zmykać w popłochu. Na dworze była gęsta mgła. Mężczyźni stracili orientację w terenie i nie wiedzieli, w którą stronę mają się udać, aby uciec z posiadłości. Biegli przed siebie. Nagle poczuli, że są na mokradłach i brnęli w nie coraz głębiej i głębiej, nie mając wyjść. W końcu ciemne wody jeziora pochłonęły trzech braci. Od tamtej pory nikt ich nie widział i słuch o nich zaginął.

Paweł Orzechowski odnalazł w lesie należące do niego skradzione kosztowności. Skarb swój postanowił przenieść w inne miejsce, ale nikt dokładnie nie wiedział, gdzie go tak naprawdę ukrył. Po dziś dzień nie ma śmiałka, który odważyłby się szukać klejnotów na zamku ani w okolicy. Ponoć, gdy tylko pojawia się mgła, duch Orzechowskiego krąży wokół ruin, strzegąc swojego majątku. Zaś wieczorową porą nad jeziorem można usłyszeć przeraźliwe głosy rozpaczliwie wołających o pomoc.

*Julia Chymos
Szkoła Podstawowa
w Krupem*

Bartosz Dziedzic

„Legenda o powstaniu Niemienic”

Dawno, dawno temu, niedaleko miasta Krasnystaw, w niewielkiej miejscowości żyła sobie dziewczyna o imieniu Karina. Mieszkała w małej osadzie nad rzeką Żółkiewką, która zasilala większą rzekę Wieprz.

Wioska, w której żyła Karina, była bardzo malowniczo położona na wzgórzach, otoczona zielonymi lasami, złocistymi polami. W środku znajdowały się stawy, w których ludzie hodowali ryby. I chociaż osada była zamieszkała przez ludzi uprawiających rolę, to nie miała swojej nazwy.

Jak mówili niektórzy – zbyt mało ludzi się w niej zakorzeniło. A przez wieś jechali tylko dlatego, że było blisko do Krasnegostawu. Karina lubiła wieczorami spacerować nad pobliskimi stawami. Prawie każdego dnia, gdy skończyła pomagać rodzicom w gospodarstwie, udawała się nad stawy, aby podziwiać zachód słońca, słuchać szumu trzciny i rechotu żab.

Pewnego dnia przez osadę przejeżdżał czeski książę Peter, który zmierzał do Krasnegostawu. Kiedy mijał stawy, postanowił zatrzymać się, aby napić zmęczone podróżą konie. Kiedy służba poia konie, książę, zachwycony przyrodą, zapatrzył się w zachodzące słońce. Jego wzrok zatrzymał się na młodej dziewczynie o czarnych długich włosach, które zaplatała właśnie w warkocze. Na widok nieznajomej książę aż ukląkł z wrażenia i powiedział w sobie tylko znanym języku: „Neme nic tak pięknego na swecie”. Echo znad stawu powtórzyło te słowa. Usłyszała je świta czeskiego księcia, usłyszała je także piękna Karina. Młody mężczyzna podszedł do zamyślanej dziewczyny, aby się przedstawić. Zaś swoich służących rozesłał do pobliskich chałup, aby dowiedzieli się, co to za miejsce.

Nietrudno się domyślić, co było dalej. Książę Peter poślubił piękną Karinę. Na jednym ze wzgórz wybudował dom dla siebie i żony. Ściągnął tutaj także innych osadników. I tak z czasem w osadzie zaczęło przybywać mieszkańców. Między stawami Peter zbudował drewniany młyn, do którego po mąkę przyjeżdżali nawet ludzie z daleka. Wybudował także porządną drogę, którą mieszkańcy Krasnegostawu udawali się do Krakowa i dalej do Czech. A sama wieś już nie była tylko zwykłą osadą, ale zmieniła nazwę na Nemenice, a potem na Niemienice, na cześć słów, które wypowiedział kiedyś książę Peter.

Do dziś nad stawami stoi jeszcze drewniany młyn. Choć mocno zniszczony, jest świadkiem dawnych czasów. Zaś wszyscy, którzy tu mieszkają, jak legenda głosi, mają serce przepelnione miłością.

*Bartosz Dziedzic
Zespół nr 3 Przedszkola
i Szkoły Podstawowej
w Krasnymstawie*

Marta Kafarska

Pielgrzymki



Motywacją do opracowania tego tekstu były słowa zachęty skierowane do mnie po moich wspomnieniach opisanych w „Nestorze” nr 4(58)2021, abym napisała coś jeszcze, ale na jakiś jeden konkretny temat. Do mojego opracowania miałam ponadto inspirację po przeczytaniu obszernej relacji niezwykle ważnej i ciekawej dr. Leszka Janeczka z pielgrzymki do Ziemi Świętej opisanej w „Nestorze” nr 2/28/2014. Duże wrażenie zrobiły na mnie słowa „rano wstałem w Krasnymstawie, wieczorem kładę się w Nazarecie”, nie mówiąc już o pozostałych wzruszających relacjach. Przyznam, że od dawna myślałam o tym, aby osobiście poznać te święte miejsca. W tej chwili, będąc w podeszłym wieku stwierdzam, że dla mnie jednak jest to już za późno. Powzięłam więc myśl, aby wspomnieć moje i nie tylko uczestniczenie w pielgrzymkach organizowanych przez parafię św. Franciszka Ksawerego, a konkretnie przez: śp. ks. prałata Piotra Kimaka, ks. Jarosława Wójcika – obecnego proboszcza parafii, ks. prałata Henryka Kapicę, jak również kol. Henryka Parchetę.

W pielgrzymkach uczestniczyły znane osoby w naszym mieście, m.in.: moja miła i sympatyczna koleżanka Marysia Hacia, która przepracowała wiele lat w kancelarii parafii św. Franciszka Ksawerego, a także w parafii Trójcy Przenajświętszej. Z Marysią wspierałam się częstymi rozmowami telefonicznymi w najtrudniejszym okresie podczas pandemii COVID-19, przebywając wówczas w czterech ścianach swojego domu i oglądając też i słuchając mszy świętej ze swojej parafii w Internecie. Podobnie było również z moją koleżanką Krysia Pidek, długoletnim pracownikiem Urzędu Miasta, która zawsze była obecna na pielgrzymkach ze swoim synem i synową oraz siostrą. W organizowanych pielgrzymkach brała również udział Ania Lipińska, także długoletnia pracowniczka Urzędu Miasta, Ania Szumiło – członkini chóru pod dyrekcją Edwarda Kyca, Danuta Borkowska – była pracowniczka laboratorium Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej, Krystyna Strzelczyk – była nauczycielka Liceum Ogólnokształcącego

im. Władysława Jagiełły, Jolanta Wołos – nauczycielka Szkoły Podstawowej nr 4 im. Jana Pawła II, Wanda Kościuk – była pracowniczka Urzędu Poczтового, Bożena Gawlikowska – wspaniała lekarz pediatra, była pielęgniarki Samodzielnego Publicznego Zespołu Opieki Zdrowotnej – Grażyna Golec, Basia Jaszczenko i Jadwiga Basińska z mężem, jak również zawsze taktowna Ela Świerczek. Pozwolił sobie także wymienić moją siostrę Basię, która przyjeżdżała wówczas do mnie specjalnie z Lublina, gdyż trasa pielgrzymek przebiegała przez Wysokie. Wymienię także osoby, które dawno już odeszły, ale zasłużyły się bardzo dla naszego miasta: śp. Scholastyka Trochim – lekarz chorób płuc, Kazimiera Dubacz – doświadczona położna i Aleksandra Dera – zawsze aktywna w pracach społecznych.

Było wiele pielgrzymek do pięknych zakątków w naszym kraju, ale ten najważniejszy:

*...gdzie powracać każdy chce,
gdzie króluje Jej oblicze,
na Nim cięte rysy dwie...*

– jak mówią słowa znanej pieśni religijnej „Czarna Madonna” – to sanktuarium Matki Boskiej w Częstochowie.

Nasze pielgrzymki były organizowane na dwa dni. Już na początku, kiedy autokar miał wyruszyć w podróż, rozdawano śpiewniki z pieśniami religijnymi, które śpiewaliśmy w drodze do Częstochowy, a także ludowymi i żołnierskimi – te z kolei często śpiewaliśmy, wracając już do domu. Śpiewnik mam do obecnej chwili jako własny skserowany, a na nim widnieje pieczętka „Parafia rzymskokatolicka św. Franciszka Ksawerego Krasnystaw” z roku 1991.

Już z rana śpiewane były Godzinki ku czci Najświętszej Maryi Panny o Niepokalanym Poczęciu, a później odmawiano modlitwy i śpiewano inne pieśni. Dojeżdżając do Częstochowy, gdy jeszcze z bardzo dużej odległości było już widać wysoką wieżę na Jasnej Górze śpiewaliśmy:

*O, Maryjo, Witam Cię
O, Maryjo, kocham Cię
O, Maryjo, pobłogosław wszystkie dzieci swe.*

Na miejscu, w Częstochowie, po zajęciu miejsc noclegowych i po zabiegach odświeżających, a także ewentualnej zmianie ubrania po dłuższej podróży, udawaliśmy się w pierwszej kolejności do Kaplicy Cudownego Obrazu, gdzie każdy z nas, każdy na swój sposób przeżywał tak bliskie spotkanie z Matką Bożą Częstochowską.

Będąc w Kaplicy Cudownego Obrazu zawsze wpatrywałam się także w wiszące drewniane kule chorych, którzy uprosili tu swoje wyzdrowienie. Moją uwagę zwracały też dary – wota – pamiątki od naszego papieża, św. Jana Pawła II. To złota róża przekazana w roku 1979 podczas pierwszej pielgrzymki na Jasną Górę i przestrzelony pas sutanny ze śladami krwi z czasu zamachu na jego życie w roku 1981. Pas przekazany został przez papieża, podczas drugiej pielgrzymki do Polski w roku 1983. Jest on relikwią. Złotą różę przekazał także papież Benedykt XVI podczas pielgrzymki w roku 2006. Jest to jednak róża papieża św. Pawła VI, który chciał sam przekazać ją na Jasnej Górze podczas planowanej pielgrzymki do Polski 3 maja 1966 r. Uroczystość ta była kluczowym momentem obchodów Tysiąclecia Chrztu Polski. Papież Paweł VI nie otrzymał jednak wówczas pozwolenia od naszych ówczesnych władz na przyjazd. Złotą różę na Jasną Górę przekazał również obecny papież Franciszek w czasie pielgrzymki w roku 2016. Po prawej stronie Cudownego Obrazu znajdują się w tej chwili trzy złote róże – dary od papieży: św. Jana Pawła II, Benedykta XVI i Franciszka, według kolejności ich przekazywania. Są to dary, które składają wyjątkownie papieże w czasie nawiedzania sanktuariów maryjnych. Przestrzelony pas papieża Jana Pawła II, zabezpieczony przed uszkodzeniem i złożony w kryształowej szkatule, umieszczony jest po lewej stronie Cudownego Obrazu Matki Bożej. Na Jasnej Górze zostało przekazanych także wiele innych darów od papieży, które zostały umieszczone w Skarbcu, a także Muzeum Jasnogórskim.

Czas na pielgrzymce w Częstochowie każdy starał się wykorzystać przede wszystkim według swoich indywidualnych zapotrzebowań duchowych. Kaplica Matki Bożej i bazylika to centralne miejsca sprawowania modlitwy na Jasnej Górze.

W Kaplicy Cudownego Obrazu sprawowane są wielokrotnie msze św. każdego dnia z licznym udziałem wiernych – pielgrzymów nie tylko z Pol-

ski, ale i całego świata. Tutaj odbywają się również codzienne apele jasnogórskie o godz. 21 transmitowane przez Telewizję Trwam. Apele są wieczorową modlitwą do Matki Bożej w intencji Kościoła i Polski, a obecnie i świata w związku z pandemią COVID-19 i okrutną agresją Rosji na Ukrainę. Codzienne wieczorne apele jasnogórskie zaczyna najstarsza polska pieśń religijna „Bogurodzica”, potem następuje modlitwą, a kończą się nieraz błagalną suplikacją – prośbą do Boga w okresie różnych nieszczęść, jakie mamy np. obecnie oraz błogostawieństwa dostojników kościelnych.

Piękna jest bazylika jasnogórska, która składa się z wydłużonego prezbiterium, nawy głównej i dwóch bocznych oraz czterech kaplic. Wielki główny ołtarz przedstawia Wniebowzięcie Matki Bożej i dwóch kłęczących aniołów, którzy Ją unoszą. Ołtarze główny i boczne są pełne figur świętych i bogatych złocień. Wspaniałe wnętrza bazyliki wzruszają modlących się pielgrzymów podczas mszy św. każdego dnia.

Tradycją jest, że każda pielgrzymka odprawia nabożeństwo drogi krzyżowej na Wałach Jasnogórskich na terenie parku Jasnej Góry. Wśród drzewostanu – olbrzymich dębów czerwonych, buków, lip i kasztanowców, usytuowanych jest 14 stacji drogi krzyżowej zbudowanych z wysokich granitowych postumentów i postaci z brązu, a całość z potężnych głazów artystycznie wyeksponowanych. To nabożeństwo jest niezwykle przeżywane przez pielgrzymów.

Wielki Szczyt na Jasnej Górze, to miejsce, gdzie odprawiane są nabożeństwa z udziałem kilkuset tysięcy pielgrzymów. Na placu przed Szczytem są również stacje różańcowe do rozważania tajemnic Różańca świętego. Szczególnie jest to wzruszające, kiedy rozważania odbywają się późnym wieczorem w blasku zapalonych lampionów.

Na Wielkim Szczycie odbywają się także uroczystości ogólnopolskich dożynek, czyli święto dziękczynienia Bogu za plony. Podczas uroczystej mszy św. są poświęcone piękne wieńce dożynekowe przywiezione przez pielgrzymów z całego kraju. Są one artystycznie wykonane z różnych zbóż, ziół, kwiatów i owoców. W uroczystości tej biorą również udział liczne zespoły i kapele.

Na Jasnej Górze zachwycają i fascynują również ciekawe objekty muzealne:

– Skarbiec z wotami – darami w postaci zdobionych ornatów, kielichów, monstrancji, krucyfiksów, a także pięknej biżuterii wykonanych ze złota, srebra, bursztynu, a także kamieni szlachetnych, takich jak rubin, szmaragd, diament, przyozdobionych również perłami. Częścią tych klejnotów ozdobiony jest obraz Matki Bożej Częstochowskiej. Ofiarodawcami sanktuarium byli królowie, papieże, historycznie znane postaci oraz po prostu pielgrzymi z Polski i różnych krajów świata.

– Muzeum 600-lecia Jasnej Góry przedstawia działalność kulturalno-artystyczną zakonu paulinów, który jest jednocześnie opiekunem sanktuarium jasnogórskiego. Muzeum stanowi też kontynuację skarbcza. Tutaj są również liczne wota papieża Jana Pawła II, a także innych papieży, wybitnych artystów, pisarzy, ludzi chorych za otrzymane łaski.

– Arsenał – to pamiątki związane z dziejami wojennymi Jasnej Góry na przestrzeni lat, nigdy niezdobyczej. Do pamiątek należą halabardy, tarcze, strzelby, szable, zbroje rycerskie oraz sztandary, ordery i odznaczenia.

Pielgrzymki organizowane przez Henryka Parchetę należały do ogólnopolskiej pielgrzymki Stowarzyszenia „Civitas Christiana”. Te łącińskie słowa oznaczają społeczność chrześcijańską. Coroczne pielgrzymki pod koniec maja, były w stałym grafiku Jasnej Góry oraz były związane z rocznicą śmierci (28 maja) sługi Bożego Stefana Wyszyńskiego prymasa Polski, a obecnie błogosławionego Kościoła katolickiego.

Naszej pielgrzymce zawsze wychodził na spotkanie ojciec paulin Jerzy Tomziński, przy pomniku papieża Jana Pawła II, a także przy pomniku prymasa Stefana Wyszyńskiego, jednocześnie patrona „Civitas Christiana”. My natomiast każdorazowo witaliśmy ojca owacyjnie i serdecznie z kwiatami. Były przy tym piękne obopólne słowa powitalne. Ojciec Jerzy Tomziński był przyjacielem naszego papieża św. Jana Pawła II, a także prymasa Stefana Wyszyńskiego, obecnie błogosławionego. Był on trzykrotnym przeorem Jasnej Góry i dwukrotnym generałem zakonu paulinów, jak również najstarszym polskim paulinem i inicjatorem codziennej modlitwy wieczornej – Apelu jasnogórskiego. To jemu zawdzięcza się, że Stowarzyszenie „Civitas Christiana” należy do wspólnot

katolickich. Jerzy Tomziński – drobnej postury i niskiego wzrostu, ale jakże zawsze ciepły i uśmiechnięty. Ostatni raz mogliśmy się z nim spotkać w roku 2019, jak zwykle w maju. Później nie było już możliwości ze względu na pandemię. Jerzy Tomziński – „legenda Jasnej Góry” zmarł 14 listopada 2021 r. w wieku 103 lat – „Cześć Jego Pamięci”.

Żegnając Częstochowę – Jasną Górę, Matkę Boską Częstochowską, zawsze śpiewaliśmy – „O, Maryjo, żegnam Cię” z myślą o ponownym spotkaniu. To najważniejsze, najcenniejsze miejsce na Jasnej Górze – Cudowny Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, od odległych czasów zawsze przyciągał i wciąż przyciąga pielgrzymów z całej Polski, jak również ze świata.

Na naszych pielgrzymkach stałym i doświadczonym kierowcą był pan Janusz Grabias, znany mi jeszcze, jako kierowca byłego PKS-u, który zawsze był do naszej dyspozycji i któremu zawsze dziękowaliśmy za bezpieczną jazdę i szczęśliwy powrót do domu. Były to piękne i wzruszające chwile, które na długie lata pozostały w pamięci, a przerwane z powodu pandemii COVID-19. Wówczas można było tylko oglądać i słuchać mszy św., jak również Apelu jasnogórskiego z Kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej z przekazów telewizyjnych i podziwiać to miejsce pięknej modlitwy, śpiewu i zmiany kwiatów każdego tygodnia przy obrazie Matki Bożej różniących się kolorystyką, odmianą i piękną kompozycją.

Jakże przejmujące są dalsze słowa pieśni „Czarna Madonna”, którą śpiewał kiedyś i grał na skrzypcach, wzruszając do łez – olbrzymi, liczny zespół pod nazwą „Mała Armia Janosika”, dzieci góralskich z Raby Wyżnej w Kaplicy Cudownego Obrazu przed Matką Bożą właśnie na Apelu jasnogórskim:

*Dziś, gdy wokół nas niepokój,
Gdzie się człowiek schronić ma?
Gdzie ma pójść, jak nie do Matki,
Która ukojenie da?*

*Więc błagamy, o Madonno,
Skieruj wzrok na dzieci swe
I wysłuchaj jak śpiewamy,
Prosząc Cię:*

Madonno, Czarna Madonno,
 Jak dobrze Twym dzieckiem być!
 O, pozwól, czarna Madonno,
 W ramiona Twoje się skryć.

Na koniec chcę jeszcze dodać, że miałam możliwość uczestniczenia także w innych ważnych i wzruszających pielgrzymkach związanych z obecnością naszego papieża Jana Pawła II, o których zamierzam wspomnieć w najbliższym czasie.

Marta Kafarska

Leszek Janeczek

Zjazd absolwentów



Liceum Jagiełły w Krasnymstawie poświęcam

znów po czterdziestu latach w tej samej klasie
 usiedli posiwiali uczniowie z brzuszkami
 w ławkach zajmujący dawne swoje miejsca
 nikt nie ma zeszytu tarczy ni mundurka

uczennice wygładzone zmarszczkami czasu
 czemu po koledze obok czeka puste krzesło
 o dawna szkolna miłość została już babcią
 choć na chwilę znowu staliśmy się dziećmi
 których rodzice nie przyjdą na wywiadówkę

mimo wieku z odrobiną bojaźni czekamy
 sprawdzianu z nauki jakiej udzieliło życie
 gdy wychowawca i nauczyciele już odeszli
 kto inny teraz sprawdza nasze doświadczenia
 stawiając surowsze i inne niż w szkole oceny

na czystej tablicy zadania pisze nam sam los
 ich rozwiązania nie ma w żadnym podręczniku.

VI 2021

Marian Rybczyński



Psychologia po alkoholu Z cyklu: Dęblińskie przypadki

Co robi podchorąży, kiedy tylko znajdzie się poza czujnym okiem przełożonego (czytaj majora Samóła)? Idzie zobaczyć w miejsce, aby się przekonać, czy aby go tam nie ma. Nas nie było w restauracji „Adria”. Fakt, że względu na jutrzejsze badania, każdy zachował daleko posunięty umiar, ale faktem jest też, że późna noc lub wczesny ranek nas tam zastał. Ale cóż może zaszkodzić młodemu podchorążemu na badaniach, nawet jeśli pospał tylko parę godzin? Ani wysokie ciśnienie, ani badania krwi (przecież na zawartość alkoholu nie badają, a poza tym pobieraliśmy w „razumnych przedziałach”). EKG? Jeśli ktoś nie miał wcześniej problemów, to w wieku lat dwudziestu kilku nie nabędzie z dnia na dzień schorzeń, które by go dyskwalifikowały. EEG? Nic nie było wcześniej, to i co może tu wyskoczyć, Przecież nikt z nas głową w mur nie walił, wstrząsu mózgu nie doznał, więc co? Czyli w sumie, tylko ręce otrzepać. Tak, ale nie do końca. Na początek dostajemy testy psychologiczne. Tu, niestety trzeba myśleć, a nas dzisiaj myślenie boli. Patrzą na te bzdurne pytania (potem okazały się wcale nie takie bzdurne – to my po prostu nie wiedzieliśmy, że nie wiemy) i męczą się strasznie. Podobnie męczą się moi koledzy. W formie, aby testy psychologiczne robić, to my na pewno nie jesteśmy.

– Czy ty myślisz, że oni na pewno to czytają? – szepcze siedzący obok mnie Grzesiek Dubowski.

– A kto miałby te głupoty czytać? – „Pies” odpowiada z drugiej strony.

– Nie, to niemożliwe – jestem podobnego zdania. Zawsze uważaliśmy, że psychologia to trochę taka ześwirowana nauka i nigdy tych wszystkich testów nie traktowaliśmy poważnie.

– Nie wiem jak wy, ale te durnoty to ja biorę metodą totolotka. – Grzesiek wygląda, jakby miał ducha za chwilę wyzionąć. „Pies” nie wygląda lepiej, a ja też lusterka przed sobą nie mam.

– To ja też – przyznaję... i Jacek też się zgadza.

Stosując metodę totolotka, szybko kończymy testy i wychodzimy z sali. Reszta badań jest formalnością i po południu pakujemy się do autobusu, aby wrócić do Tomaszowa. Następnego dnia to nieśmiertelne przygotowanie do lotów, a po nim następny to już latanie. Dzisiaj mam dwie samodzielne trasy, czyli spokojne latanie. Po krótkiej odprawie przed lotami rozchodzimy się do samolotów. Sadowię się w kabinie, dopinam wszystkie, co trzeba i prosząc o pozwolenie uruchomienie silnika, widzę pędzącego w moją stronę lekarza, który wymachuje nad głową jakimiś dokumentami.

– Zabraniam!!!!... Zabraniam!!!! – wykrzykuje. – Wysiadać!!! – prawie siłą wyciąga mnie z kabiny. – I natychmiast do gabinetu! – rzuca, idąc przodem.

(tak wtedy uważałem), zupełnie bez sensu, jakieś ćwiczenia na refleks, oglądanie jakichś filmów, z których potem trzeba było pisać głupie sprawozdania i w ogóle kupa, w naszym mniemaniu, rzeczy bez sensu. Nawet sobie nie zdawaliśmy sprawy, że jesteśmy jak żaba na talerzu. Wydawało nam się, że co „te psychologi mogą”... oni i tak o niczym nie mają pojęcia. Cóż, już Platon mówił, że najgłupszy są ci, co nie wiedzą, że nie wiedzą, a my, niestety, należeliśmy do tej właśnie kategorii. Po pierwszym dniu daliśmy nogę do Tomaszowa. Nie będę mówił co lub kto nas tam ciągnął, ale było warto. Z rana na okazję, na trasę i do Warszawy na dalsze testy. Tak to trwało przez 3 dni. Trzeciego dnia, po zakończeniu wszystkich testów, zwywa mnie pani psycholog.



Eskadra podczas odprawy przed lotami. Biała Podlaska 1978. Pilot Marian Rybczyński wśród kolegów podchorążych, szósty od prawej z mocno nasuniętą na czoło furazerką.

Jestem totalnie zaskoczony, ale idę za doktorem, cały czas uważając, że to jakieś nieporozumienie. W gabinecie widzę, że to chyba jednak nieporozumienie nie jest. Obok mojej teczki leżą dokumenty Grzeska i Jacka. A więc oni też, cały klub totolotka. Okazało się, że psychologzy testy sprawdzają, a my mamy się udać jutro do WIML-u na dodatkowe badania.

Jedziemy – ja, Grzesiek Dubowski i „Pies” Ryncarz. Meldujemy się w hotelu i następnego dnia z rana zaczyna się maraton. 100 tys. głupich pytań

– Proszę pana (pani psycholog była cywilem, więc byłem dla niej „pan”, a nie „wy”), patrząc na pana wyniki, a testy stwierdziły, że mówił pan prawdę, pan nie nadaje się w ogóle do wojska.

No tak, Ameryki nie odkryła. To to ja już dawno stwierdziłem, tylko, że ktoś po raz pierwszy uświadomił mi to, co ja już dawno wiedziałem i co starałem się wyprzeć z mojej świadomości. Tego byłem pewien. Do wojska to ja na pewno nie byłem idealnym kandydatem.

– Ale ja bardzo Kocham latanie – odpowiadam zupełnie szczerze na takie dictum.

– Nie przeczę – odpowiada pani psycholog – tylko pana osobowość nie jest w stanie zaakceptować wojskowych reguł. Latanie to jedna sprawa, a czy pomyślał pan co się stanie, jak pan przestanie latać, a w wojsku trzeba będzie zostać?

Fakt, tego nie brałem pod uwagę. Jeśli coś się stanie, że nie będę mógł latać, a z wojska nie będę mógł odejść (PRL). Niestety, na to pytanie nie potrafiłem udzielić odpowiedzi.

– Proszę pana – kontynuuje pani psycholog – Powiem wprost, jeśli pan chce odejść z wojska, to ja podpisuję się pod tym obydwoma rękami. Jedno słowo i pana w wojsku nie ma.

A to mnie zastrzeżliła. Myślałem oczywiście, aby porzucić tę szanowną instytucję, ale co – sztuka dla sztuki. To raczej nie wchodzi w rachubę. Pani, widząc moje wahanie, dała mi wybór:

– Ponieważ nie jest pan zdecydowany, wobec tego daję panu czas na zastanowienie. Dostaje pan badanie na pół roku, a potem niech się pan zastanowi.

Dostaję orzeczenie do ręki, pozytywne, podobnie jak i moi koledzy i wracamy do Tomaszowa. Jest piękne lato, latamy dużo, a po lotach (niech Bozia wynagrodzi tego, kto wymyślił 3 eskadry) jest jeszcze trochę czasu, aby pójść tu i tam. Ojciec mojej wybranki robi doskonałe wino z ryżu i winogron, których dwa gąsiory stoją w piwnicy i z których, w wolnych chwilach (3 eskadry), nader chętnie korzystamy. Nie tylko smakuje wybornie, to równie wybornie wchodzi do głowy. Któregoś razu, kiedy butelka pokazała dno, padło na „Psa” i Henia „Piżmaka”, aby poszli do piwnicy uzupełnić zapasy. Czekamy, czekamy, a tu ani wysłanników, ani wina nie ma. Ponieważ, zostałem jedynym przedstawicielem rasy podchorążych w mieszkaniu, bez szemrania poszedłem sprawdzić, cóż to mogło się stać, że do tej pory, ani wina, ani... Schodzę do piwnicy i cóż widzę – Heniu i Jacek z rurkami w ustach leżą błogo pod gąsiorem, a winko im samo leci. Na szczęście zapas był na tyle spory, że wystarczyło nie tylko dla tych dwóch opojów, ale i dla reszty towarzystwa.

Na niebie i na ziemi

Zaczynają się strefy na średni pilotaż. Dla niewtajemniczonych, ogólnie rzecz biorąc, są to pionowe figury akrobacji, czyli m.in. przewrót, pętla i immelman. „Iskra” nie ma zbyt mocnego silnika, więc jego brak mocy trzeba zastąpić większymi przeciążeniami. Sama technika wykonywania figur pionowych polega na tym, aby w miarę łagodnie pozwolić samolotowi przejść z położenia „nos pod horyzontem” do położenia ok. 30 stopni ponad horyzontem. Dopiero wtedy można „dać z krzyża”, czyli pociągnąć ster trochę mocniej, aby zwiększając przeciążenie, zawiązać prawidłową pętlę lub przejść do immelmana (odwrócenie samolotu na górze pętli do normalnego położenia). Ale my, młode byczki, przeciążenia mamy za nic. Mało tego, uważamy, że wygenerować jak największe przeciążenie, to jest dopiero mistrzostwo świata. Tylko co mają powiedzieć nasi biedni instruktorzy siedzący w drugiej kabynie? My robiliśmy maksymalnie 3 strefy dziennie – oni sześć. Ale my, pierwsza brygada przecież...

– „Ryba”, czy ta „Iskra” ci jakąś krzywdę zrobiła, że tak ją drzesz spod horyzontu? – Słyszę od „Waldiniego”, kiedy ciągnę jak wściekły, oczywiście spod horyzontu. Czuję moją „męskość” na podłodze i tak mi się wydaje, że i instruktor poczuł, że żadne g (przeciążenie) nie da mi rady. Kończę pętlę i idę do immelmana, oczywiście znowu spod horyzontu. Czuję jak mi policzki obwisają od przeciążenia i ...nagle drążek idzie jeszcze bardziej na siebie, przeciążenie wzrasta bardziej, niż bym się spodziewał i za chwilę robi mi się szaro przed oczyma. Resztką świadomości uzmysławiam sobie, że to instruktor dociągnął drążek, tak że g wyskoczyło takie, którego się młody byczek nie spodziewał. Potem jest tylko ciemność i czuję jak mi nogi skaczą po pedałach. Odzyskuję świadomość, kiedy jesteśmy w położeniu na plecach i samolot zaczyna zjeżdżać ku ziemi.

– Przytomny jesteś, gacopyżu jeden? – pada pytanie z drugiej kabiny.

– Tak – niepewnie odpowiadam. – To bierz stery – „Waldini” nic więcej nie mówi. W głowie mam jeszcze lekki dzwon, ale z każdą chwilą jest coraz lepiej i stwierdzam, że chyba będę żył. Niezła była ta nauczka.

Po lądowaniu idziemy do domku pilota.

– Chciałeś coś powiedzieć? – pyta pan instruktor.

– Nie – odpowiadam. – Aluzju poniał (wtedy wszyscy rosyjski rozumieli).

23 sierpnia za komunę to było święto lotnictwa. Dostaję awans na plutonowego podchorążego i ...srebrną odznakę „Wzorowy Podchorąży”, po raz drugi zresztą, w miejsce już raz odebranej za różne moje „przewagi”. A to by się mój dowódca kompani zdziwił!? Mało tego, zostaję wybrany na „Podchorążego Miesiąca”. Tytuł o tyle dla mnie ważny, że to moi koledzy tak postanowili. Lecę na pierwszą w moim życiu, samodzielną strefę na średni pilotaż. Pierwsza strefa, dla bezpieczeństwa jest wykonywana nad lotniskiem. Zawsze, jeśli dzielny adept popelni jakiś błąd, kierownik lotów, który cały czas takiego delikwenta obserwuje, może mu coś podpowiedzieć. Start, teraz to już formalność, nabór wysokości po bardzo szerokim kręgu i już jestem nad lotniskiem. Nie powiem, że bym nie czuł żadnej tremy. Wchodzę nad pas i zgłaszam swoją gotowość. Ziemia łaskawie potwierdza, więc zaczynam od zakrętów, jak w zadaniu jest postanowione. My to nazywamy ...zwis w lewo, ...zwis w prawo. Teraz po prostej, drążek lekko na siebie, sztuczny horyzont +30 stopni, kontra, obrót samolotu na plecy i staram się płynnie przełamać samolot, aby znalazł się w pionowym położeniu. Na miejsce nieba pokazuje się horyzont i za chwilę ziemia, w miarę jak samolot zmienia swoje położenie. Mijam pion i za chwilę, powoli dodając obrotów, wyprowadzam samolot z pionowego nurkowania, pilnując jednocześnie prędkości i stopniowo dodając obrotów. Dochodzę do poziomego położenia, prędkość 650 km/h i jazda w górę. Kończę pierwszy komplet (przewrót, pętla, immelman) i zgłaszam drugi. Zero komentarza od kierownika lotów, więc powtarzam to samo, teraz tylko becicka w lewo i w prawo. Melduję zakończenie strefy i zjeżdżam spiralą w dół, idąc wprost do trzeciego zakrętu. Podwozie, klapy i za chwilę koła dotykają betonu. Zaliczyłem swoją pierwszą strefę na średni pilotaż.

– Powiadam, Rybczyński – i wymowny gest ręką, to cały komentarz dowódcy eskadry (chyba wycieczki na osiedle zaważyły), kiedy melduję się po locie.

– No, dzwońcu (już nie byłem gacopyżem), może coś z ciebie wyrośnie – podsumował „Waldini”. Kiedy jesteśmy w domku pilota (pan instruktor w nagrodę stawia mi kawę), robi się jakiś ruch i wszyscy biegną na zewnątrz. Biegniemy i my, po drodze pytając, co się stało. Za chwilę widzimy „Iskrę” „pasącą się” na drodze kołowania z nienaturalnie uniesionym ogonem. Komuś złożyło się podwozie, tylko pytanie dlaczego. Za chwilę przyjeżdża gazik, z którego wysiada Kazio Z. Nasz wódz bierze go w obroty. Kaziu trochę przestraszony zaczyna tłumaczyć, że nie wie jak to się stało, chciał tylko zgodnie z procedurą wyłączyć AZS (wyłącznik) podwozia i podwozie wtedy się złożyło. Stoi jak kupa nieszcześnie z opuszczonymi rękami, na których ma GRUBE ZIMOWE rękawice. Ma zimowe, a powinien mieć letnie, cienkie, używane do latania. Wszystko jasne, w tych bokserkach źle trafił i zamiast wyłączyć AZS, ruszył dźwignię, która była tuż obok. Na szczęście samolot był praktycznie nieuszkodzony i Kazio dostał tylko jakąś działkę za „niemanie regulaminowych rękawiczek”. Gwoli wyjaśnienia – był nakaz latania w rękawiczkach bez względu na porę roku ze względów bezpieczeństwa. W razie pożaru w kabinie taka rękawiczka chociaż trochę ochroni rękę przed ogniem, zanim zdąży się użyć „siodełka wyścigowego” (tak umownie nazywaliśmy fotel katapultowy). O ile pamiętam, był to jedyny incydent w czasie naszego całego latania w Tomaszowie.

Następne strefy też nie sprawiają mi większego problemu. Zaczynają się loty w szyku. Ale zanim do tego przejdę, zwraca moją uwagę fakt, że w ogóle skończyły się dla naszego dowódcy eskadry tzw. problemy wychowawcze. O dziwo, nikt nie podpada, nikt nie łamie dyscypliny i generalnie nie ma z nami żadnego problemu natury wychowawczej. Kiedy to zgłaszamy w formie żartobliwej naszemu dowódcy eskadry, słyszymy tylko słynne – Powiadam – ...i charakterystyczny ruch ręki. Dziwny człowiek, na pewno doskonały pilot i instruktor, tylko czemu kładł swój nimb pilota przez takie głupie swoje ruchy? Może dlatego, że nikt za dobrą opinię od podchorążych punktów nie dawał.

Pod koniec sierpnia Papa idzie na urlop, a eskadrą w jego miejsce dowodzi mjr „Saakaszwili”. Jest sobota, kończą się loty i major informuje nas, że jutro jest jakaś uroczystość i mamy wy-



Biała Podlaska 1978. Od lewej: Marian Rybczyński, śp. Tadeusz „Telu” Telkowski i śp. Marek „Kangur” Kaletka.

stawić kompanię honorową. Wcale nam się to nie uśmiecha, ale mus to mus.

– Tylko, żeby mi gdzie nie puleźli pu nocy, bu jutro wszystko ma grać jak w zygarku. Z rana przyjde i sprawdze i niech was ręka boska broni, żeby którego ni było – przestrzega na koniec.

My całą ekipą wybieramy się nad bajoro na chóralne śpiewy przy ognisku, to zaraz blisko przy osiedlu, ale inna dużo mocniejsza ekipa namawia się na jakieś „garden party” w Spale. „Ichi”, „Wala”, „Bodzio”, „Toni” solennie się zarzekają, że nigdzie „ni pulezo” i wszystko będzie w jak najlepszym porządku. Nie chcemy, żeby nasz sympatyczny major miał z naszego powodu jakieś przykrości. Czas nam mija wesoło i sympatycznie i kiedy niebo zaczyna różowieć na wschodzie, kończymy imprezę, odprowadzamy damskie towarzystwo na osiedle, a sami idziemy do siebie. Jest już całkiem widno, kiedy ktoś tłucze w szybę. Niechętnie podnoszę się z łóżka i idę zobaczyć kto zacz.

– Bierz zwłoki – Antek trzyma kogoś wpół, a „Bodzio” podpycha za nogi. Wciągają „zwłoki” na parapet i okazuje się, że to „Ichi”, zupełnie bez czucia. Chwilę trwa, kiedy całe towarzystwo przełazi przez parapet i staje na podłodze.

– A temu co się stało? Tylko nie mówcie, że ma coś z nogami, bo w to nie uwierzę. Czemu on się tak uperfumował? – pytam. Antek z „Bodziem” trzymają chwiejącego się „Ichię”.

– Założył się z takim jednym, który mu po ambicji pojechał – mówi „Wala”. – I zakład wygrał, tamten to chyba na reanimację pojechał. Tylko nie chcą pary puścić, o co był ten zakład.

„Szymyk”, szef naszej grupy, staje przed nimi.

– Będziecie mieli honor jak „Saakaszwili” tu przyjdzie. Mówił, że wpadnie rano.

– Róbcie, co chcecie, macie go usprawnić i jak to zrobicie to już wasza sprawa.

Towarzystwo chwilę się naradza, po czym rozbierają „Ichię” i wloką go do łazienki. Idziemy z ciekawości za nimi, spanie już diabli i tak wzięli. Wstawiają „Ichię” pod prysznic i puszczają zimną wodę, ale ten, kiedy tylko poczuł pierwsze krople, błyskawicznie się uchyla.

– Nie jest źle – mówi Antek. – Odzyskał czucie. Dawać... pod prysznic z nim!

Ale „Jabłko” znowu robi unik. Widać, że świadomość już odzyskał, ale do normalności jeszcze mu dużo brakuje. Sytuacja się powtarza po raz kolejny, a nie ma chętnego, który by razem

z nim wszedł pod zimną wodę. Grono kibiców się powiększa, bo Krzysiek, kiedy tylko wpada pod wodę, zaczyna wydawać odgłosy coś pomiędzy zarzynanym baranem a świnią idącą na rzeź.

– Polejcie go z węża – doradza któryś.

Nieżyły pomysł. „Bodzio” idzie do małego magazynku obok łazienki i przynosi parę metrów gumowego węża. Zakładają na kran i puszczają strumień zimnej wody na biednego „Ichię”. Teraz to już nie pojedynczy baran się odzywa, ale całkiem spore stadko warchlaków. „Bodzio” leje, a „Ichi” wykonuje taniec świętego Wita. Całkiem zgrabnie mu to wychodzi, rozhasał się po całej łazience, a w wydawanych odgłosach dają się nawet słyszeć porykiwania osła, którego ktoś nieopatrznie potraktował gorącym żelazem i rannego konia. Hałas zwabia nawet dyżurnego eskadry mechaników, którzy są zakwaterowani na pierwszym piętrze. Na taki spektakl rozpląsanego „Ichię” wpada mjr „Saakaszwili”. Z początku staje jak oniemiały i długo nie może wykrztusić słowa. „Bodzio” zamyka wodę, a „Ichi”, o dziwo, zupełnie doszedł do siebie. Metamorfoza. Aferę udaje się prawie zatuzszować. Toni tłumaczy, że poszło o zakład, kto dłużej pod zimną wodą wytrzyma i takie tam dyrdymały. Pan major ma duże wątpliwości.

– Co ty mi tu za głupoty upuwiadasz? Zakład? U szusty rano? Pud zimno wodo? Takich rzeczy pu trzyżwemu to i idiota by ni zrobił. A chuchnij no mi tu, Geldner! – zwraca się do Krzyśka.

– Panie majorze, ja tylko dwa piwa... – próbuje wyjaśnić i chucha półgębkiem. Pan major odwraca głowę z niesmakim.

– Geldner, ja dobrze wim jak czuć dwa piwa, a jak cuchnie gurzała. Ty prymuchy si napił?

„Jabłko” z rezygnacją kiwa potakująco głową... – Ale, panie majorze, zakład honorowy był.

– Ty si ciesz, że duwudca na urlopie, bu inaczy to ty by przypuske zubaczył, łoo tak – i zgina rękę w łokciu w charakterystyczny sposób, obecnie nazywanym gestem Kozakiewicza.

– A parada ma wyjść, tak żeby se nie myśleli, że pilot maszyrować ni putrafi. A salwa ma być na raz, a nie jakby koza na bęben nasrała – dodaje na koniec.

No cóż ... „maszyrowali” my, że rozstąp się ziemio i salwa też z kozą i bębmem nic wspólnego nie miała.

Tylko do tej pory nie dowiedziałem się o co był ten zakład honorowy. Żaden z imprezowiczów pary z gęby nie puścił.

Pierwsze koty za płoty

Latamy, latamy, latamy. Ale też w „izbie żołnierskiej” miejsca przybyło. Część nie daje sobie rady, część nie chce sobie dać rady. Jak już pisałem wcześniej, różne były motywy lub też powody rezygnacji. Mnie osobiście latanie tak mocno frapuje, że nie wybiegam myślą poza perspektywę następných kilka dni. Jest po prostu fajnie. Przypominam sobie sytuację sprzed roku, kiedy tylko przyjechałiśmy na Glinnik. Jakże to inaczej wygląda dzisiaj. Lato powoli ustępuje miejsca jesieni, a ja lubię tę porę roku. Jakoś samoistnie, poprzez ten dostojny spokój panujący w przyrodzie, zmusza człowieka do refleksji, wycisza. Grupa się zgrała. Już nie ma zgrai indywidualistów, jest indywidualistyczny zespół. Trudno mi nawet logicznie wytłumaczyć na czym to polega, ale to się po prostu czuje. Latanie zdominowały szyki, co dla nas, świeżych kaczorów, nie jest takie proste, jakby się z początku wydawało. Silnik odrzutowy z natury ma inercję, a do tego dochodzi jeszcze brak efektu hamującego śmigła. Na samolocie ze śmigłem, dajesz obroty, efekt jest natychmiastowy, to prawie jak jazda samochodem. To samo jest w przypadku ubrania obrotów, efekt hamowania jest natychmiastowy. „Iskra” nie dość, że ma napęd odrzutowy, to na dodatek ma bardzo opływowy kształt i niskie z tego powodu opory, a i w miejsce typowych hamulców aerodynamicznych, jak np. w „Lim-ie”, ma przerywacze strug na skrzydłach, które wyglądają jak wysuwające się drabinki, które oprócz zwiększenia oporu, powodują również znaczącą degradację aerodynamiczną skrzydła. Dla nas, niedoświadczonych, stwarza to dodatkowe problemy.

– Dzwoncu, nie wachluj tą dźwignią obrotów jak ciele ogonem – słyszę z drugiej kabiny głos „Waldiniego”, kiedy usiłuję utrzymać jakoś samolot w stałej pozycji w stosunku do prowadzącego. W prowadzącym samolocie siedzi „Jabłko” o zbrodniczym pseudonimie „Ichi” i ma dużą uciechę, obserwując moją bezskuteczną walkę o utrzymanie się w szyku. On teraz, wraz z por Rogowskim, jest

prowadzącym i to ja mam utrzymać się w szyku z nim. Pętamy się na wysokości 2000 m między Tomaszowem i Piotrkowem, a ja usiłuję zachować stałą pozycję w szyku. Jak na razie wychodzi mi to z miernym skutkiem.

– Popatrz – mówi „Waldini”, przejmując jednocześnie stery. – Rozhuśtasz ptaszka i zaczynają się problemy.

Tylko, że pod jego ręką samolot natychmiast pokornieje, a u mnie to jest hop, hop, dana, dana. Pot mi cieknie po plecach, a ta wredna „Iskra” jak mnie nie słuchała, tak i nie słucha. Chociaż nie, jakiś postęp jednak jest. W locie po prostej zaczynam już to wszystko ogarniać, ale kiedy dochodzi do zakrętu, zwłaszcza kiedy jestem po stronie wewnętrznej, samolot zaczyna rządzić mną. Zmniejszam obroty, bo zaczynam się zbliżać do samolotu prowadzącego... za dużo, bo odstaję. Pcham więc dźwignię, tylko okazuje się cokolwiek za dużo, więc wypuszczam hamulce, aby utrzymać pozycję. Samolot ucieka mi nieco do dołu (to te przerywacze), więc jak chcę wrócić na poziom prowadzącego, znów muszę pchnąć obroty. I tak w kółko. Pocieszające jednak jest to, że te hop, hop, dana, dana są zdecydowanie mniejsze niż na początku. Kiedy pada komenda o zamianie miejsc, przyjmuję ją naprawdę z wielką ulgą. Teraz „Jabłko” przeżywa te same męki, co ja przed chwilą i widzę, że ma te same problemy, co ja. Wyciągam aparat, aby uwiecznić te jego popisy, będzie jakaś pamiątka. Co chwila przelatujemy nad lotniskiem Aeroklubu Piotrkowskiego i zapewne z ziemi wszystko wygląda idealnie, a tymczasem „Jabłko”, a przedtem ja, pływa we własnym pocie. Następnego dnia mam znowu dwa loty na opanowanie szyków. W programie jest prosty pilotaż parą. Tym razem idzie mi całkiem dobrze i instruktor uznaje, że jestem gotowy, aby lecieć samodzielnie. Tymczasem pogoda się załamuje, a ja podłapuję lekkie przeziębienie. Lekarz kieruje mnie na izbę chorych, co mi w ogóle nie przeszkadza, przynajmniej wreszcie się wyśpię jak człowiek. To codzienne wstawanie o 5.30, nawet kiedy nie latałyśmy, daje w kość. Nikt przecież nie chodzi spać o 21.00, kiedy nie ma lotów. Razem ze mną idzie chorować Marek „Kangur” i Tadek „Telu”. Za oknem październikowa słota, a my się byczymy. Tak mijają dwa dni tego słodkiego lenistwa. Kolejny dzień staje mglisty, ale około 10 mgła zaczyna opadać,

a już o 12 nastaje piękna, jesienna pogoda. Wszyscy jak jeden mąż pędzimy do lekarza i klinimy się na wszystkie świętości, że jesteśmy zdrowi jak rybki i absolutnie nic nam nie dolega. Lekarz nam zbyt nie wierzy i bada nas nader skrupulatnie i uznaje, że faktycznie nic nam nie dolega. W zamyśleniu spogląda w okno, jakby ważąc w myślach decyzje i nagle jego twarz rozjaśnia uśmiech zrozumienia.

– No tak, – mówi – teraz wszystko rozumiem. Pogoda się zrobiła to i choroba przeszła. Niepoprawni jesteście. Idźcie wszyscy do diabła – kończy. Dzisiaj moja eskadra lata po południu, więc mam nadzieję, że jutro, będąc na przygotowaniu do lotów, pojutrze będę mógł już latać. Zjadamy obiad i korzystając, że nasze wodzostwo jest zajęte na lotach, jedziemy do miasta popatrzeć na ludzi (czytaj: pleć piękną). Stałym naszym miejscem jest bistro przy hotelu „Tama”. Mimo, że przeważnie w restauracjach czy barach króluje polski produkt alkoholowy, to tam można poczuć powiew wielkiego świata. Można na przykład wypić „screwdriver”, czyli gin z tonikiem lub jego zamiennik „harczerzyk”, gdzie zamiast ginu, jako substytut występuje „Wyborowa”. Ceny, niestety też są z wielkiego świata i zupełnie niepasujące do podchorążackiej kieszeni. Raz na jakiś czas można jednak zaszaleć, za cenę siedzenia na czterech literach przez resztę miesiąca. W klubie obowiązują karty wstępu, ale podchorążych na szczęście to nie obowiązuje. Za barem zwykle urzędują dwie barmanki. Jedna bardzo urodziwa, a druga, jak to ktoś określił, mogłaby robić za tester trzeźwości. Dziś jednak test trzeźwości nam nie grozi. Po pierwsze – data dość wysoka (od wypłaty żołdu minęło już parę dni), po drugie – ja jutro mam przygotowanie do lotów. Nie dotyczy to jednak moich dwóch pozostałych kolegów. „Kangur” w pewnej chwili stwierdza, że panna „tester” nie jest wcale taka zła, a przede wszystkim jest bardzo sympatyczna.

– Idź ty lepiej na świeże powietrze – radzi mu „Telu”. Siedzimy, rozmawiamy, a „Kangur” nie wraca.

– Pójdę, zobaczę, gdzie go poniosło – mówię do „Tela”.

Złożę z wysokiego stołka i wychodzę na zewnątrz. Od drzwi do małej furtki w ogrodzeniu prowadzi wąska alejka, wzdłuż której stoi parę ławek. Na jednej z nich siedzi „Kangur” ze zwieszoną

głową i kiedy tylko trzaskają drzwi, czy to wejściowe, czy to od furtki, podnosi rękę jakby spoglądał na zegarek. Ponieważ ruch jest dość spory, jego sprawdzanie czasu zachodzi co chwilę, co wygląda bardzo komicznie. Podchodzę do niego.

– Nic ci nie dolega? – pytam. – Co tak tą ręką wymachujesz?

Spogląda na mnie trochę zamglonym wzrokiem, ale po chwili wraca do siebie.

– Trochę mnie wzięło i tak sobie pomyślałem, że chwilę odpocznę i żeby ktoś postronny nie myślał, że się uwalilem, to udawałem, że czas sprawdzam, kiedy tylko słyszałem, że ktoś nadchodzi. – Też niezła metoda. Wracamy po „Tela” do baru i po kilku chwilach wychodzimy. Dobrze, że tego też nie naszło.

Następnego dnia, już jako „ozdrowieniec” uczestniczę w przygotowaniu do lotów. Okazuje się, że w wariancie lotów w trudnych warunkach atmosferycznych, zaczynamy latanie wg systemu USL/RSL. Dzisiejsi piloci wojskowi mogą się tylko uśmiechnąć, czytając te słowa. Teraz na lotniskach wojskowych, podobnie jak na cywilnych, króluje system lądowania ILS, a nawet nowsze systemy oparte na GPS. Wtedy ILS był tylko na lotniskach cywilnych na Okęciu i w Rzeszowie. My wykorzystywaliśmy mało precyzyjny system wojskowy USL i wspomagany radarem, też nie za bardzo dokładnym. Trzeba to wszystko opłacać od strony teoretycznej, podstawy mieliśmy już na II roku, ale wtedy to była naprawdę sucha teoria. Dużą pomocą było latanie na symulatorze. Właściwie według dzisiejszych kryteriów to nawet ciężko nazwać to urządzenie symulatorem. Pilotażowo to było naprawdę mało doskonałe, ale miało jedną cenną zaletę – uczyło rozłożenia uwagi w obserwacji przyrządów. Dla człowieka niezwiązanego z lotnictwem jest to tylko gra słów, ale dla pilota to jedna z umiejętności, którą, aby móc latać bez widoczności ziemi, musi osiągnąć. Teraz, kiedy standardem jest tzw. „glass cockpit” sprawa wygląda dużo prościej. W kabinie jest kilka wyświetlaczy LCD, które pokazują zintegrowane przyrządy i patrząc na jeden przyrząd, widzi się je wszystkie. Wszystkie, czyli te potrzebne do pilotowania samolotu – sztuczny horyzont, prędkościomierz, wariometr, busola i wysokościomierz. W tamtych czasach musieliśmy się uczyć na pa-

mięć jak kolejno przenosić wzrok na poszczególne przyrządy. Sztuczny horyzont - prędkościomierz, sztuczny horyzont - busola, sztuczny horyzont - wariometr, sztuczny horyzont - wysokościomierz. I tak w kółko. Po pewnym czasie stawało to się nawykiem i stwarzało to wrażenie, że widzi się naraz wszystkie przyrządy. Teraz, bazując na tych wiadomościach, wcielano jest to wszystko w system procedur. Następnego dnia wychodzimy na loty i faktycznie – będzie latanie w trudnych. Mając głowę nabitą teorią, wsiadam z „Waldinim” na swoje pierwsze latanie bez widoczności ziemi. Już przebijanie chmur w górę powoduje, że czuję pierwsze ciepło na plecach. Teoria teorią, ale co rusz wzrok na chwilę zatrzymuje mi się na którymś z przyrządów i jeśli jest to na przykład prędkościomierz, to w tym czasie ucieka mi kurs o kilka stopni. Jak poprawię kurs, zmienia się prędkość – tak w kółko. Z westchnieniem ulgi witam rzadniejące chmury, a za chwilę jasny błękit nieba. Wysokość lotu wynosi 2000 metrów, a chmury pozostały daleko w dole. Latać z widocznością to ja już umiem i ten etap lotu jest dla mnie chwilą wychnienia. Przelatujemy dalszą radiostacją prowadzącą, skręcamy na kurs odchylony, różny o 30 stopni od kursu odwrotnego do kursu lądowania. Włączam stoper i po 3 minutach robię zakręt na kierunek pasa, następnie wypuszczam podwozie i klapy, dostaję zgodę na podejście od operatora radaru i zaczynam zniżanie. Teraz, oprócz utrzymania prędkości i opadania, dochodzi jeszcze zgranie busoli i wskazań automatycznego radiokompasu. To już mnie trochę przerasta. Czuję coraz bardziej ciepło na plecach. „Waldini” podpowiada z drugiej kabiny, a ja walczę z samolotem. Im bliżej lotniska tym wskazówka radiokompasu staje się coraz bardziej nerwowa i poprawki muszą być coraz delikatniejsze. Muszą, ale u mnie zaczyna się hop, hop, dana, dana. Na szczęście chmury kończą się na wysokości 500 m i widzę pas. Jestem trochę z boku i szybko poprawiam.

– Gdzie, dzwońcu się gapisz? – to „Waldini” z drugiej kabiny. – Masz mieć łeb w kabinie, a nie się rozglądać po okolicy. Powiem ci, kiedy masz spojrzeć na ziemię.

Posłusznie wlepiam wzrok w przyrządy i usiłuję wszystko poskładać do kupy. Nie bardzo się to udaje, ale właśnie przechodzimy dalszą i instruktor zezwala mi łaskawie wyjrzeć na zewnątrz.

Zgłaszam przelot dalszej i dostaję zgodę na lądowanie. Jestem trochę z boku, ale to już nie problemem i za chwilę koła dotykają betonu.

– Niewykluczone, że może coś kiedyś z ciebie będzie – instruktor nie jest skory do pochwał. Idziemy do domku pilota. Za godzinę mam jeszcze jeden lot, tylko już nie z „Waldinim”. Pierwsze koty za płoty.

Egzamin

Następny lot wykonałem zupełnie przyzwyczajenie, co sam zauważyłem, a co najważniejsze – zauważył to także instruktor. Następne dni charakteryzowały się bardzo zmienną pogodą, jak to bywa w październiku. Niby meteo obiecuje, że będzie dobrze i wychodzimy na poranną zmianę, ale już w drodze na lotnisko widać, że szanse na lądowanie będą marnie. Cała machina jednak już ruszyła i nie ma sensu tego zatrzymywać, dopóki sytuacja z pogodą się nie wyklaruje „wte albo wewte”. Samoloty przygotowane, zatankowane, wszystkie służby w gotowości, więc trzeba czekać. Zasiadamy w domku pilota i zaczynają się leniwe rozmowy. Kilku z nas wychodzi przed domek pilota na papieroska (to były czasy, prawie wszyscy palili).

– Kościoła w Lubochni nie widać, to latania nie ma – rzuca Tadeusz Guła. Przytakujemy skwapliwie. Prawda, do kościoła jest około 2 km, a my potrzebujemy widzialności nie mniejszej niż 4 km, żeby można było wykonywać loty szkolne.

– Ciekaw jestem czy proboszcz też wychodzi przed plebanie i jak stwierdzi, że wieży na lotnisku nie widać, to mszy porannej nie będzie – zainteresował się któryś.

Daleko nam jeszcze było do rozstrzygnięcia tego problemu, kiedy dotarła do nas wiadomość, że jednak loty zostają dzisiaj odwołane i mamy wracać do oddziału szkolenia. Zdaliśmy szybko spadochrony i pozostały ekwipunek i dla zabicia czasu na piechotę ruszyliśmy do koszar. W takich przypadkach, aby się wojsko, czyli my, za bardzo nie nudziło, bo wtedy o głupotach myśli, dowództwo wynajdowało różne, często nikomu niepotrzebne zajęcia. Tak było i tym razem. Na pierwszy rzut poszło sprawdzanie dzienników lotów, czy są wszystkie podpisy, czy nalot dobrze policzony i biada, jeśli komuś czegoś brakowało. Gdy problem występował na skalę

masową, a masowa skala, według naszego wodza liczyła się już od trzech osobników, wówczas padało sakramentalne: – Powiadam, przepustki do odwołania. – Za bardzo się tym nie przejmowaliśmy, bo „Papa” swoje, a my swoje.

Jeśli tylko pogoda pozwalała, graliśmy dużo w siatkówkę, przeważnie my kontra instruktorzy, a ponieważ ci byli przeważnie tylko niewiele starsi od nas, wynik był zawsze otwarty. Tak upływał dzień za dniem i scenariusz przeważnie się powtarzał. Przez tydzień udało się polatać tylko jednego dnia. Pod koniec tygodnia gruchnęła wiadomość, że w przyszłym tygodniu będziemy zdawać egzaminy końcowe. Egzaminatorami będą w większości latający wykładowcy z Dębina. Przygotowujemy się do tego wyjątkowo solidnie. Wiadomo – każdy chce wypaść jak najlepiej. Powtarzamy wszystko po kilkanaście razy, a instruktorzy sprawdzają, czy jesteśmy gotowi. Egzamin składa się z dwóch lotów. Lotu wg systemu USL/RSL w trudnych warunkach atmosferycznych lub w zasłoniętej kabinie, jeśli takich warunków nie ma, i strefy na średni pilotaż. W dniu egzaminu jest pełne zachmurzenie i pada decyzja, że zaczniemy od systemu USL/RSL. Lot ten wykonuję zupełnie poprawnie i zaliczam pierwszą część egzaminu. Następny dzień wita nas pełnym zachmurzeniem o podstawie 600 m. Górna granica chmur sięga 1100 m, a widzialność 2-3 km. No to kiszka. Przy takiej pogodzie latać nie możemy. Po długich dyskusjach nasi wodzowie znajdują wyjście z tej sytuacji. Lotu do strefy na średni pilotaż w DZWA w takich warunkach wykonać nie można, ale za to nisko położona górna granica chmur pozwala wykonywać pilotaż nad chmurami. Uprawnienia egzaminatorów na to pozwalają. Również widzialność 2 km nie jest niższa niż minimum widzialności do lądowania, więc problem rozwiązany. Sprawdzamy chronometraż kto z kim leci i na złamanie karku pędzimy do domku pilota przypomnieć sobie położenie stref pilotażu nad chmurami, sposób dolotu i odejścia z nich. Jako że te etapy lotu będą odbywać się bez widzialności ziemi, więc pilotaż musi być dość precyzyjny. Moim egzaminatorem jest sympatyczny wykładowca nawigacji ppłk N. Pamięta mnie jeszcze z wykładów, więc idąc do samolotu, ucinamy sobie krótką pogawędkę. Potem krótko referuję mu treść ćwiczenia, kiwa, potakuje głową i już jesteśmy przy samolocie. Pan pułkownik

przy pomocy mechanika sadowi się w drugiej kabine, a ja, po przejrzeniu samolotu zajmuję miejsce w pierwszej. Samo przygotowanie kabiny, rozruch i próba silnika to już prawie rutyna. Po zamknięciu kabiny i sprawdzeniu hermetyzacji zgłaszam egzaminatorowi gotowość.

– Rób swoje – pada z drugiej kabiny. Dają znak mechanikom na usunięcie podstawek, robią to błyskawicznie.

– Porter, 752, hermetyczna, burta, wykołować – zgłaszam kierownikowi lotów.

– Kołowanie zezwalam na lewo do pasa 29 – z krasuli pada standardowa komenda. Dodaję obrotów i po chwili jesteśmy już na drodze kołowania do pasa. Rozglądam się wokół, oceniając widzialność i nie za bardzo jestem pewien, czy to jest na pewno 2 km. Po zajęciu pasa, wież kościółka w Lubochni, który jest prawie na jego przedłużeniu, oczywiście nie widać. Otrzymawszy zgodę na start, pcham do przodu dźwignię obrotów silnika i po chwili pędzimy już po pasie. Chwilę po oderwaniu chowam podwozie, po chwili kłapy i osiągnąwszy 150 m, robię zakręt w lewo i po chwili w prawo. Manewr ten pozwala ocenić, zanim wejdzie się w chmury i straci z oczu ziemię, czy przyrządy, a przede wszystkim sztuczny horyzont i busola działają prawidłowo. Wszystko gra jak w zegarku.

– 752, sprawdzone, zezwól w górę – zgłaszam i po otrzymaniu zgody, zwiększam obroty i po chwili zanurzamy się w chmury. Nie trwa to długo i za moment wyskakujemy nad białą pierzynę. Po osiągnięciu wysokości 2000 m wykonuję zakręt na DRL (Dalsza Radiostacja Prowadząca) i dostaję polecenie nawiązania łączności z RSL (Radiolokacyjny System Lądowania), którego operator kontroluje również najbliższy rejon lotniska. Tuż przed osiągnięciem dalszej, osiągam wysokość 4000 m, przechodzę do lotu poziomego. Wokół nas nieskończona biel, a nad głową niebo jak pociągnięte niebieską farbą. Powietrze nie jest zupełnie spokojne i od czasu do czasu samolotem trochę rzuca. Wnioskuje z tego, że musi nieźle wiać. Pytanie tylko z jakiego kierunku, na odprawie przed lotem meteorolog o tym nie powiedział, a i nikt nie pytał. Mijamy dalszą, przyjmuję kurs 150 stopni, który zaprowadzi nas do wyznaczonej strefy i włączam stoper. Po 5 minutach lotu, zgłaszam egzaminatorowi, że jesteśmy w strefie i możemy zaczynać.

– Leć jeszcze 2 minuty i wtedy zgłoś rozpoczęcie zadania – odpowiada druga kabina, a ja, mimo że mam pewne wątpliwości, posłusznie przedłużam lot o dwie minuty.

– Teraz możesz zgłosić rozpoczęcie zadania – odpowiada druga kabina. Zgodnie z treścią zadania rozpoczynam od głębokich zakrętów, a następnie przechodzę do figur pionowych. Kiedy po wykonaniu przewrotu ciągnę do pierwszej pętli i wgniata mnie w fotel około 6 g, w słuchawkach ...damski głos.

– 752, co ty wykonujesz? – Gniewie mnie solidnie i nie wiem czy mi się coś nie przywidziało. Może to jakaś hurysa z rajy Mahomety się odezwała?

– 752, kontrola Warszawa, co ty wykonujesz? – Jestem już w pionie i myśl o hurysie znika wraz z ustąpieniem przeciążenia.

– 752, wykonuję strefę – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– 752, natychmiast kurs 280 przez 4 min, jesteś w strefie podejścia lotniska Okęcie. – Potwierdzam pośpiesznie i w górnym położeniu, odwróciwszy samolot, przyjmuję kurs 290. Więcej, aż się kurzy. Druga kabina milczy. Po 2 minutach kończę pozostałą część zadania i wracamy na lotnisko. Robię podejście wg systemu i, o dziwo, udaje mi się to przy MINIMUM POGODY. Zakołowuję na stoisko i po drodze do domku analizujemy sytuację.

– Panie pułkowniku – mówię. – Musieliśmy mieć nieźły wiatr z płu-zach, że nas tak wyniosło (o tych dwóch dołożonych minutach dyskretnie nie wspominam). Pan pułkownik skwapliwie przyznaje mi rację.

– Tylko gdzie był RSL, kiedy myśmy tam hulali? – zadaję retoryczne pytanie.

– Właśnie, gdzie był RSL? – Pułkownik skwapliwie podejmuje temat. – Trzeba to koniecznie wyjaśnić.

Następnie gratuluje mi zdanego egzaminu. I to jest w tej chwili dla mnie najważniejsze. Ale swoją drogą, gdzie był RSL?

kpt. Marian Rybczyński

Dragan Jovanović Danilov

(Požeško, Serbia)

*Przekład z języka serbskiego:
Olga Lalić-Krowicka.*

Трска

Немам само речи,
него и Оца.

Уместо у Јерусалим,
Христ улази у трску.

Ти си, трско, моја мајка –
ти ме рађаш и дојиш.

Како лепо спава ово дете
надојено млеком.

Препушта подрхтавању трске
да посведочи ко је
уистину било.

Лице

Непотопив брод је
лице људско.

Кад ти читам песме,
ја их заправо пишем.

Ти ме неко време слушаш
а онда одлазиш, остављајући ме
самог да беседим
са твојом одсутношћу.

Тај пусти ноћни трг и ја
више смо него обични
пријатељи.

Не знам колико ћу
још овуда ходати,
али знам да никада нећу
имати друго лице.

Trzcina

Nie posiadam tylko słowa,
ale i Ojca.

Zamiast do Jerozolimy,
Chrystus wchodzi do trzciny.

Jesteś, trzcino, moją matką –
rodzisz mnie i karmisz piersią.

Jak pięknie to dziecko śpi
karmione mlekiem.

Pozwala na drżenie trzciny
by zeznawać kim
rzeczywiście było.

Twarz

Niezatopialny statek jest
ludzką twarzą.

Kiedy czytam ci wiersze,
właściwie je piszę.

Słuchasz mnie przez jakiś czas
a potem odchodzisz, zostawiając mnie
samego bym rozmawiał
z twoją nieobecnością.

Ten opustoszały nocny plac i ja
jesteśmy więcej niż zwykli
przyjaciele.

Nie wiem ile będę
nadal tędy chodził,
ale wiem, że nigdy nie będę
miał innej twarzy.

Тело пуно звезда

Предмети мојих љубави
осветљени су самом љубављу.

Звук виолончела је неко биће
изван мене – увлачи ме
у дубоку шуму.

Све звезде упалиле су се у телу,
као да је поноћ.

Тек, заглај нагих тела
искупљење је за сво зло овог света.

Ми смо заслепили Грегора Самсу,
Кафку и сва друга сунца.

На један трен, звезде су нас
узеле и вратиле.

Тајна хлеба

Није ми познато одакле је мој отац дошао,
али знам да је, ушавши у кућу,
на сто ставио хлеб
коме су се видела ребра.

И да је у бележницу дужника записао:
унутар ове векне хлеба има један град,
већи од Вавилона.

Од тада, обузима ме тајна хлеба,
те бесмртне књиге отете од песка.

Нека су благословени старци бескућници
што из контејнера штаповима
преврћу по смећу
и ваде јучерашњи хлеб.

Зато, пољубите овај начитан хлеб, кћери,
кидајте комаде топле векне,
али оставите и мачићима и птицама,
да двориште не запусте.

Овај хлеб, децо моја, има руке,
и у невреме
враћа вас кући.

Ciało pełne gwiazd

Przedmioty moich miłości
oświetlone są samą miłością.

Dźwięk wiolonczeli to istota
poza mną – wciąga mnie
w głęboki las.

Wszystkie gwiazdy rozświetliły się w ciele,
jakby była północ.

Dopiero przytulanie nagich ciał
Jest odkupieniem za całe zło tego świata.

Oślepiiliśmy Gregora Samse,
Kafkę i wszystkie inne słońca.

Przez chwilę gwiazdy nas
zabrały i zwróciły.

Tajemnica chleba

Nie wiem skąd przyszedł mój ojciec,
ale wiem, że gdy wszedł do domu,
położył na stole chleb
z widocznymi żebrami.

I że zapisał w zeszycie dłużnika:
w tym bochenku chleba jest jedno miasto,
większe niż Babilon.

Odtąd ogarnęła mnie tajemnica chleba,
te nieśmiertelne księgi skradzione z piasku.

Błogosławieni bezdomni starcy
którzy przewracają w kontenerach śmieci
za pomocą patyczków
i wyjmując wczorajszy chleb.

Dlatego całujcie ten odczytany chleb, córki,
oderwijcie kawałki ciepłego bochenka,
ale zostawcie i kociętom i ptakom,
żeby podwórko nie było opuszczone.

Ten chleb, moje dzieci, ma ręce
nawet przy złej pogodzie
sprowadza was do domu.

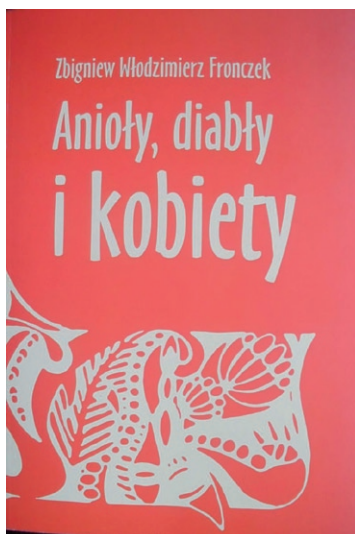
Jan Henryk Cichosz

Fronczka anioły, diabły i kobiety



Licząca 221 stron książka Zbigniewa Włodzimierza Fronczka z ilustracjami Bernarda Homziuka „Anioły, diabły i kobiety” to w sumie trzydzieści dziewięć gawęd, opowieści i baśni. A wszystko to opisane jest piękną i klarowną polszczyzną. Czytając ją, przypomniało mi się dzieciństwo i wczesna młodość, kiedy to w mojej rodzinnej wsi wieczorami starsi ludzie snuli barwne opowieści przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Jak już wspominałem, Fronczek swoją jakże piękną polszczyzną i poetyckością prowadzi czytającego niemalże pod rękę, mówiąc, że to wszystko działo się i dzieje obok nas. Są także w tej książce postacie literatów związanych z Lubelszczyzną: Sebastian Klonowic, Szymon Szymonowic, Bolesław Leśmian, Wacław Gralewski, Zygmunt Klukowski, Stanisław Weremczuk i Stanisław Królik, jak również geograficzne miejscowości, m.in. Hrubieszów, Zamość, Lublin, Gorzków, Izbica czy Krasnystaw.



Zbigniew Włodzimierz Fronczek
„Anioły, diabły i kobiety”, Stowarzyszenie Pisarzy
Polskich, Lublin 2021, ss. 221.

Ta książka, jak pisze Zbigniew Włodzimierz Fronczek „to gawędy, opowieści, baśnie. O aniołach, diabłach i dziełach Boga, cudach i złocie. Na anioła, jak też diabła, zawsze można się natknąć,

o dzieła Boga ocieramy się każdego dnia. Cuda się zdarzają, częściej niż sobie wyobrażamy, widziałem zakonnika w locie, któremu skrzydeł użyzył anioł, sam wiele cudownych wzruszeń zawdzięczałem świętemu Antoniemu. Złoto jest także dziełem Boga, choć wiele tego kruszcu w diabelskim posiadaniu. Ale co tam złoto, nawet jeśli masz je w garści, może zamienić się w bezpożyteczność. Lubię opowiadać o szczęściu, zwycięstwie dobra nad złem, pięknie i radości. Także kobietom poświęcam wiele życzliwej uwagi...”

Po lekturze, która sprawiła mi prawdziwą ucztę duchową, wypada tylko ukłonić się autorowi. Co niniejszym czynię.

Jan Henryk Cichosz

Jan Henryk Cichosz

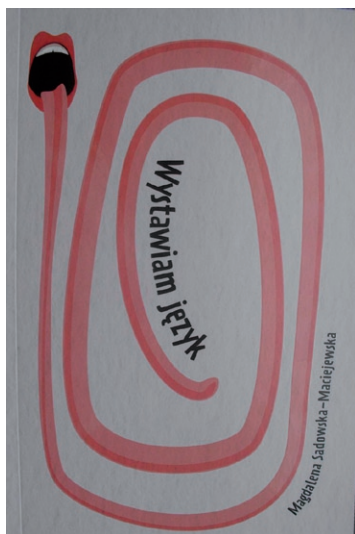
Wystawiła wilgotny język

Z wystawionego języka Magdy Sadowskiej-Maciejewskiej najbardziej czytelna jest kobiecość w całym tego słowa znaczeniu:

wieczorem stoją nad zlewem
długo myją talerze
na które nie nałożyły obiadu
s. 25 (kobiety z wierszy wybranych)

Tym poetyckim i jakże klarownym językiem, bez zbędnych uduziwnień i wymyśleń, poetka Magda Sadowska-Maciejewska opisuje otaczający ją na co dzień i od święta świat najbliższy:

Moja mama
Czasem zwyczajnie
Pisze wiersze
Tak jak rysuje
Albo pierze
Albo gotuje
Albo nosi szpilki
s. 35 (Zwyczajnie)



Magdalena Sadowska-Maciejewska „Wystawiam język”,
Wydawnictwo Papierowy Motyl, Warszawa 2022.
ss. 70.

i który niepokoi pomrukami niedalekiej wojny, jak w wierszu „Od dawna nie było wojny”:

*martwię się o mojego ucznia
jest Rosjaninem mówi
czysta polszczyzną i często zgłasza się na lekcjach
martwię się o moją uczennicę z Ukrainy
która jeszcze dobrze nie mówi po polsku
ale wszystko rozumie.*

Ten jakże spóźniony książkowy debiut Magdy Sadowskiej-Maciejewskiej jest ze wszech miar warty pochylenia się nad nim, albowiem język i prostota zawarte w tych wierszach są tego dowodem.

Jan Henryk Cichosz

Jan Henryk Cichosz



Między szeptem
a krzykiem Ochwanowskiego

Są poeci, którzy bezustannie chorują na polskość, tworząc wiersze sielskie, cierpkie i anielskie. W najnowszym tomiku poetyckim Adama

Ochwanowskiego „Między szeptem a krzykiem”, sielskości i anielskości jest jak na lekarstwo. Albowiem w tym niewielkim tomiku, składającym się z zaledwie siedemnastu wierszy, niemalże wszystko jest cierpkie i bolesne. To samo można powiedzieć o ilustracjach Tomasza Kordeusza, których także jest siedemnaście i które doskonale uzupełniają zamieszczone wiersze.

Poetyckość niektórych wierszy sięga zenitu. Czytający przechodzi przez ten tomik, chcąc nie chcąc poobijany i poobdzierany. I gdy dociera do ostatniego wiersza XVII – wiersze nie mają tytułów, tylko numery rzymskie – to staje się niemalże bezradny, nie wiedząc, w którą stronę polskość ma podążać... czy w tę, w której drogowskazem są wiersze poety Adama Ochwanowskiego, czy w tę, w której drogowskazem są wiersze niedawno zmarłego poety Jarosława Marka Rymkiewicza.

Osobiście uważam, że pewnego rodzaju alternatywą czy też wybawieniem, pozostają niezapisane trzy strony na końcu tego tomiku, które są niczym jak czek in blanco.

Jan Henryk Cichosz



Adam Ochwanowski „Między szeptem a krzykiem”,
Biblioteka „Bez podziałów”, Kielce 2022.

Protokół XXV Konkursu Poetyckiego im. Anny Kamieńskiej

Krasnystaw 2022 roku, 28 kwietnia

Komisja konkursowa w składzie: Ewa Hadrian, Marcin Jurzysta (przewodniczący) i Piotr Linek, spośród 16 zgłoszonych pozycji do nagrody głównej nominowało następujące książki:

- Aleksandra Majówka, „Cztery stany skupienia”, Wydawnictwo FONT, Poznań 2020
- Mateusz Melanowski, „Pierwsii napotkani”, Fundacja czAR(T) Krzywogońca Krzywogonec 2020
- Robert Gmiterek, „Oikoumene, Na roztoczu świata”, Wydawnictwo Czuły Barbarzyńca Press, Warszawa 2020.

Nagrodę główną imienia Anny Kamieńskiej Jury jednomyślnie przyznało Panu Mateuszowi Melanowskiemu za tom wierszy: „Pierwsii napotkani”.

Ponadto Jury postanowiło wyróżnić tomy wierszy Aleksandry Majówki „Cztery stany skupienia” i Roberta Gmiterka „Oikoumene. Na roztoczu świata”.

Organizator Konkursu: Krasnostawski Dom Kultury.

Współorganizator: Miejska Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie.

Nagrodę Główną im. Anny Kamieńskiej dla laureata Mateusza Melanowskiego ufundował Krasnostawski Dom Kultury.

Wyróżnienia dla Aleksandry Majówki i Roberta Gmiterka to nagrody finansowe zrealizowane z funduszy Miejskiej Biblioteki Publicznej w Krasnymstawie.

O nominowanych książkach piszą:

Łucja Dudzińska: *Drogi Czytelniku, rzadko zdarzają się ambitne przemyślenia, ciekawie skonstruowane debiuty w wieku 17 lat. Warto zapamiętać nazwisko Aleksandry Majówki – przyszłej prozaiczki i poetki. Narracja tomu „Cztery stany skupienia” wprost pęcznieje i pochłania, a jest*

ukierunkowana na ukazywanie lub poszukiwanie wspólnych miejsc, odczuć, związków przyczynowo-skutkowych.

Justyna Bargielska: *Lubię podróż, w którą czytelników ta książka zabiera. A jest to, jak się nie trudno domyślić, podróż w dużej mierze w czasie, ale też podróż w siebie, lub może bardziej – obok siebie. Nic konfesyjnego nie ma w tych wierszach, a przecież są subtelnym pod względem psychologicznym i wiarygodnym pod względem literackim zapisem autoanalizy, często w kontekście społecznym, czasem w metafizycznym.*

Agnieszka Herman: *„Oikoumene. Na roztoczu świata” Roberta Gmiterka to zbiór kilkudziesięciu miniatur, przewodnik po miejscach i historiach ludzi z terenu Roztocza i okolic. Nieprzypadkowo swoją pierwszą książkę „Sen na Książkach” autor nazwał „genetyczną pamięcią miejsc i zdarzeń”. Książce, Szczepreszyn, Stara Huta, Chodywańce, Hrebenne, Mołodowce, Chotyłub, Narol, Beżec – wszystkie te miejsca znajdziemy na mapie, ale z Gmiterkiem mamy szansę zajrzeć pod podszewkę rzeczywistości.*





KONKURS POETYCKI XXV im. Anny Kamieńskiej

W PROGRAMIE:

„O poezji Anny Kamieńskiej” – dr Anna Marciniak
 Podsumowanie 25. edycji Konkursu
 Ogłoszenie werdyktu jury tegorocznego Konkursu Poetyckiego im. Anny Kamieńskiej
 Rozmowa Ewy Hadrian z laureatami – Haną Bondarenko, Zbigniewem Dmitrocią i Mateuszem Melanowskim

Krasnostawski Dom Kultury / Sala Widowiskowa
 28 KWIECZNIA 2022, godz. 17:00

KRASNOSTAWSKI DOM KULTURY | MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA KRASNOSTAW | krasnostaw.nasze.pl

Lista tomików zgłoszonych do tegorocznego konkursu:

1. Urszula Michalak, „Wołanie trzciny nadłameanej”, Wydawnictwo POLIHYMNIA, Lublin 2020
2. Paweł Wojciech Maciąg, „Ratować krew przed zastęgnięciem”, Wydawnictwo POLIHYMNIA, Lublin 2020
3. Robert Gmiterek, „Oikoumene. Na roztoczu świata”, Wydawnictwo Czuły Barbarzyńca Press, Warszawa 2020
4. Aleksandra Majówka, „Cztery stany skupienia”, Wydawnictwo FONT, Poznań 2020
5. Danuta Agnieszka Kurczewicz, Robert Dariusz Gałań, „(O)pany”, Wydawnictwo TAWA Taurogiński Waldemar, Chełm 2021
6. Danuta Agnieszka Kurczewicz, „Półproste”, Wydawnictwo Diecezjalne i Drukarnia w Sandomierzu, Sandomierz 2021
7. Pablo Mocca, „Fortepian nieznajomego”, KryWaj Krystyna Wajda, Koszalin 2021
8. Mateusz Melanowski, „Pierwsi napotkani”, Fundacja czAR(T) Krzywegońca, Krzywegońca 2020
9. Anna Łyczewska, „Nieoczywistość nieanielska”, Norbertinum, Lublin 2020
10. Waldemar Michalski, „Mały tryptyk roztoczański”, Norbertinum, Lublin 2020
11. Katarzyna Sienkiewicz-Pogoda, „Słowa smakują”, Norbertinum, Lublin 2021
12. Alicja Barton, „Spacerzy paryskie”, Norbertinum, Lublin 2021
13. Henryk J. Kozak, „Imiona tęsknoty”, Norbertinum, Lublin 2021
14. Wiktor Kowalczyk, „Trwanie i przemijanie”, Norbertinum, Lublin 2020
15. Zygmunt Marek Miszczak, „Mały patriota. Wiersze rocznicowe”, Norbertinum, Lublin 2021
16. Anna Łyczewska, „Za oknem”, Norbertinum, Lublin 2021.

Marcin Jurzysta

Z wypowiedzi jurora

Za każdym razem, gdy przychodzi mi pochylać się nad cudzą twórczością w charakterze jurora, staram się być jeszcze bardziej uważnym, czułym i delikatnym czytelnikiem, by z jednej strony oddać właściwy szacunek autorowi i wydawnictwu, których pomysły, warsztat twórczy i wysiłki stoją za zmaterializowaniem się danej książki, a z drugiej strony, by wejść na taki poziom odbioru czytelniczego, który umożliwiałby możliwie pełną konkretyzację, za którą może przyjść interpretacja i wartościowanie krytyczne, do którego rola jurora się w dużej mierze sprowadza.

W tegorocznym jury XXV Konkursu Poetyckiego im. Anny Kamińskiej na najlepszy tomik poetycki województwa lubelskiego wydany w latach 2020 i 2021 zasiadłem jako przewodniczący, razem z Ewą Hadrian i Piotrem Linkiem, którym bardzo dziękuję za współpracę i niezwykle szybkie i zgodne ustalenie werdyktu, po lekturze 16 zgłoszonych pozycji.

Właśnie ta zgodność i jednomyślność jest dowodem na to, że istnieją pewne cechy dobrego wiersza i dobrej książki poetyckiej, które pozwalają dostrzec wspólnie to, co wartościowe i co wpisuje się w dyskusję o kształcie wiersza, ewolucji poezji i jej wyznacznikach.

T.S. Eliot pisał, że: „Poezja nie służy wyładowaniu emocji, lecz ucieczce od emocji; nie służy wyrażeniu osobowości, lecz ucieczce od osobowości. Ale oczywiście tylko ci, którzy mają osobowość i emocje, wiedzą, co to znaczy chcieć od tego uciec”. James Joyce dodawał, że: „Poezja, nawet pozornie najbardziej fantastyczna, zawsze jest buntem przeciwko sztuczności, buntem, w pewnym sensie, wobec rzeczywistości”. Allen Ginsberg mówił: „Jedyną rzeczą, która może uratować świat jest odzyskanie świadomości o świecie. To właśnie czyni poezja”. Stanisław Barańczak dowodził, że: „[Poezja] powinna być nieufnością. Krytycyzmem. Demaskatorstwem. Powinna być tym wszystkim aż do chwili, gdy z tej ziemi zniknie ostatnie kłamstwo, ostatnia demagogia i ostatni akt przemocy”.

Jeśli ktoś zapytałby mnie czego szukałem, czytając książki zgłoszone na tegoroczny konkurs i co sprawiało, że takie, a nie inne książki wskazałem do nominacji lub do nagrody głównej, to odpowiedziałbym, że zwróciłem uwagę na te książki, które dowodzą, że ich autorzy postrzegają poezję jako sztukę żywą, która nie zatrzymała się gdzieś na skostniałych, postromantycznych i usilnie wpa- janych w szkole schematach. Bo zarówno autorzy nominowani, jak i laureat nagrody głównej, w swoich książkach poszukują i starają się opowiadać na nowo o tematach starych jak literatura. Na tym właśnie polega sztuka, by jako autor nie udawać kogoś, kim się nie jest i nie opowiadać o czymś, czego się nie przeżyło, a jednocześnie, by powściągnąć konfesyjność, która potrafi zamienić wiersz w kozetkę psychoanalizy, tak daleką od sztuki i spróbować spojrzeć językowi prosto w słowa i przytulić do nich sensy i obrazy w możliwie najbardziej nowy i świeży sposób. Chowanie się za zużyтыми metaforami, anachronicznym przestawnym szykiem składniowym, rażącą umysł dosłownością i estetyczną powierzchownością, to nie jest tworzenie poezji, tylko czegoś poezjopodobnego, podobnego do kulawych dźwięków disco polo.

Wyróżniona Aleksandra Majówka i jej „Cztery stany skupienia”, Wydawnictwo FONT, Poznań 2020, to bardzo krzepiący mnie dowód, że z językiem wciąż próbują mierzyć się kolejne pokolenia. Wszak autorka ma zaledwie 17 lat i jeśli debiutuje z taką świadomością języka, jeśli uda się jej zachować wobec niego pokorę i kroczyć jego ścieżką, to wierzę, że autorka da nam jeszcze bardzo wiele dobrych książek poetyckich, które w przyszłości będą na pewno rywalizować o najwyższe laury. Aleksandra Majówka bez wątpienia ma talent i jeśli będzie czułym czytelnikiem literatury i nie zatrzyma się w miejscu, to może być jednym z ciekawszych głosów kobiecej poezji i poezji w ogóle. „Cztery stany skupienia” są dowodem dużych umiejętności warsztatowych i dobrej intuicji twórczej. Język i obrazowanie tej poezji są bardzo bujne, trochę jeszcze nieuporządkowane, bo młoda poetka w sposób naturalny szuka i testuje różne dykcje i poetyckie chwytły. Z czasem z tych poszukiwań wykrystalizuje się jej własny, rozpoznawalny styl, czego jej życzę jako starszy kolega.

Drugim wyróżnionym i tym razem w pełni dojrzałym autorem jest Robert Gmiterek, autor „Oikoumene, Na roztoczu świata”, Wydawnictwo Czuły Barbarzyńca Press, Warszawa 2020, o którym słusznie pisze Agnieszka Herman, stwierdzając m.in.: „Oikoumene. Na roztoczu świata” Roberta Gmiterka to zbiór kilkudziesięciu miniatur, przewodnik po miejscach i historiach ludzi z terenu Roztocza i okolic. Nieprzypadkowo swoją pierwszą książkę „Sen na Kniaziach” autor nazwał „genetyczną pamięcią miejsc i zdarzeń”. Kniazie, Szczepreszyn, Stara Huta, Chodywańce, Hrebenne, Mołodowce, Chotyłub, Narol, Bełzec – wszystkie te miejsca znajdziemy na mapie, ale z Gmiterkiem mamy szansę zajrzeć pod podszewkę rzeczywistości”. Melodyjność polszczyzny Roberta Gmiterka sprawia, że wspomniane miniatury czyta się jak dobrą prozę poetycką, której siła tkwi – w mojej ocenie – w osiągnięciu stanu równowagi pomiędzy autentyzmem i realnością opisywanych miejsc i zdarzeń, z jednoczesną melancholią, tkliwością i dogłębnością poetyckiego wglądu, który pozwala autorowi, a dzięki temu również czytelnikowi, zajrzeć głębiej niż wskazywałyby na to opisywane i posiadające swoje nazwy miejsca. Dlatego książka Roberta Gmiterka to podwójna podróż, z jednej strony tocząca się na jawie, w świecie dotykającym i realnym, a z drugiej strony w świecie emocji, wyobraźni, pamięci i podświadomości. Bardzo lubię takie podróże, bo nie wraca się z nich bardzo długo, czasem wcale.

Niezmiernie cieszę się, że całe jury było zgodne i nie napotkałem na opór, gdy zaproponowałem, by nagrodę główną w XXV Konkursie Poetyckim im. Anny Kamieńskiej otrzymał Mateusz Melanowski za książkę „Pierwsi napotkani”, Fundacja czAR(T) Krzywogóra, Krzywogoniec 2020. Tak się składa, że gdy w 2018 roku również dane było mi pełnić funkcję przewodniczącego jury Konkursu Poetyckiego im. Anny Kamieńskiej, to jedną z książek zgłoszonych na konkurs, a jednocześnie książką, która tamtą edycję wygrała, były „Uwagi do chwili” napisane właśnie przez Mateusza Melanowskiego i wydane wówczas przez Zeszyty Literackie. W uzasadnieniu werdyktu podkreślałem wówczas, że: „Autor doskonale orientuje się w nowej i najnowszej poezji polskiej, w jej nurtach i meandrach, łącznie ze śląską szkołą poezji, która

nie może być obca autorowi urodzonemu w Katowicach i wychowanemu w Mikołowie. W swojej twórczości skutecznie łączy doświadczenie języka poezji po 1989 roku, grę z gatunkami klasycznymi, pokorę wobec liryki i odpowiedzialność za słowo. To poezja dotykająca pojęcia zanikania, kończenia się, rozłożonego na kolejne wspomnienia i kolejne wiersze. Katastrofizm destylowany z codzienności, zapis przejścia od euforii do rozczarowania. To tylko niektóre pierwiastki tej poezji”. Moje ówczesne rozpoznania pokrywają się z tym, co przyniosła mi książka „Pierwsi napotkani”, w której Mateusz udowadnia po raz kolejny, że jest autorem w pełni świadomy, z bogatym bagażem lekturowym i gruntownie odrobioną lekcją z najnowszej liryki. Jednocześnie nowa książka dowodzi, że autor znalazł bardzo skuteczny sposób, by z jednej strony opowiadać czytelnikowi, żeby bardzo intymnie, osobiste, delikatne w swej strukturze, głęboko zanurzone w doświadczeniach autora, a zatem ciężące ku autoanalizie, a z drugiej strony Melanowski potrafi umiejętnie zapanować nad żywiołem języka, którego filtr sprawia, że czytając te wiersze nie mamy wrażenia, że to spowiedź, nie czujemy się przygniecenii nadmiernym opowiadaniem siebie samego, co więcej – udaje się autorowi osiągnąć pewien stopień uniwersalizmu, który pozwala odbiorcy samemu przejrzeć się i odnaleźć w tych wierszach.

Jeszcze raz gratuluję wszystkim wyróżnionym i oczywiście laureatowi nagrody głównej, dziękuję jurorom i dziękuję organizatorom, że zafali mi i umożliwili zabranie głosu w tak silnie osadzonym w krajowym życiu literackim konkursie, o którym zawsze myślę z dużą sympatią, podobnie jak o Krasnymstawie, który mam nadzieję, że uda mi się kiedyś odwiedzić, by móc z Państwem spotkać się bezpośrednio i osobiście.

Marcin Jurzysta

Jan Henryk Cichosz

Sam na sam z sobą, na moje 50-lecie pracy twórczej



Urodziłem się 555 lat po uzyskaniu przez Krasnystaw praw miejskich, 100 lat po zawaleniu się kopuły na krasnostawskim kościele pw. św. Franciszka Ksawerego, 100 lat po śmierci Chopina i 100 lat po Wiośnie Ludów, 80 lat od chwili urodzin Stanisława Bojarczuka, 10 lat po wybuchu drugiej wojny światowej. Dokładnie urodziłem się 1 lipca 1949 roku o godzinie 23.30 w Wielobyczu jako drugie dziecko Stanisława i Zofii z domu Czwońmóg. Poród odbierała akuszerka z sąsiedniej wsi Bobrowe. Do szóstego roku miałem białe jak len włosy, które po roku zamieniły swój kolor na czarne. Pamiętam jak jadący taborem Cyganie, zobaczywszy mnie mówili, że jestem do nich podobny i chcieli mnie ze sobą zabrać.

Pierwsze zapamiętane obrazy z mojego wczesnego dzieciństwa to jadący od Krasnostawu w stronę Gorzkowa, po tak zwanych kocich łbach, parowy wał drogowy. Na ten czas niemalże wszystkie dzieci, a w większości chłopcy, biegli co sił w nogach, aby zobaczyć, jak pan Wojciechowski, który tym wałem władał, nabierał wodę z pobliskiej rzeczki i uzupełniał palenisko węglem. Drugi z obrazów to średnich rozmiarów spadający w naszej wsi balon, który nad Polskę przyleciał gdzieś z Zachodu z przyczepionym pudełkiem, w którym prawdopodobnie były propagandowe ulotki. Pamiętam jak ten balon kilkakrotnie dotykał ziemi i kilkakrotnie unosił go wiatr, zanim na dobre wyładował. I pamiętam jak za nim biegła niemalże cała wieś z nadzieją, że być może w pudełku są amerykańskie dolary.

Do szkoły podstawowej w Wielkopolu chodziłem, a raczej biegałem, popychając przed sobą drucianą kulbaką, ukradzioną z komina mojej babci fajerkę. Szkoła mieściła się w dawnym budynku, który do roku 1944 był w posiadaniu Plewińskich mających swoje majątki w Wielkopolu i Orchowcu. Kierownikiem szkoły był pan Andrzej Chmura, żołnierz Września oraz II Armii Wojska Polskiego, uczestnik słynnej bitwy pod Budziszynem. Oprócz wspomnianego pana Chmury, podczas siedmiu lat

spędzonych w tej szkole, uczyli mnie także: Alicja Cichosz, Leokadia Mrozek, Maria Żurek i Maria Domańska. W pierwszej klasie, przez pół roku uczyła mnie i mojego brata, który był wówczas uczniem trzeciej klasy, w domu moja mama, ponieważ byliśmy odizolowani ze względu na chorobę naszej starszej siostry.

Jedną z największych rozrywek w szkole był comiesięczny przyjazd ruchomego kina, które obsługiwało dwóch panów w czarnych uniformach, nazywanych przez nas kiniarzami, którzy zawsze byli na lekkim rauszu. Nie pamiętam, jaki był pierwszy film, lecz doskonale zapamiętałem niemalże każdy szczegół kinowej aparatury, która przepięknie terkotała, a w chwilach nieuwagi panów kiniarzy zatrzymywała się, paląc kawałeczki kliszy. Do mojej rodzinnej wsi także przyjeżdżali wspomniani kiniarze i już od południa przez kinowe głośniki puszczały różnego rodzaju piosenki. A wieczorem na drzwiach stodoły zawieszali wielkie białe prześcieradło, na którym niemalże cała wieś oglądała przywieziony przez nich film. Po wielu latach znalazło to odbicie w moim wierszu:

Wiejskie kino

*Na drzwiach stodoły, ktoś zamiast
ekranu zawiesił prześcieradło po
niedawno zmarłym. Przed rozpoczęciem
seansu cała wieś jak zakłęta patrzyła na nie
tylko kiniarz raz jeszcze sprawdzał
staroświecką aparaturę, tak jakby
bał się, że coś nie wypali...*

*Za chwilę, za moment
Zmartwychwstał czas*

Doskonale pamiętam jak pod koniec pierwszej klasy, a było to na początku czerwca 1957 roku, wraz z moją klasą pojechałem na tak zwanym żelaźniaku, drogą pełną piachu, przez Niemienice do domu kultury w Krasnymstawie na przedstawienie zatytułowane „Szewczyk Dratewka”. Na przedstawieniu siedziałem w pierwszym rzędzie i z otwartą buzią chłonałem każde słowa i ruchy aktorów. Dzieciństwo i dorastanie, oprócz szkoły, to niemalże idealny czas zabaw. Zawsze w niedzielne, wiosenne, letnie i jesienne popołudnia, uzbrojeni w drewniane karabiny i pistolety,

bawiliśmy się w pobliskich lasach w wojnę. Przeciwnikami byli koledzy z Wielkopola, a innym razem z Wiśniowa. Ponadto graliśmy w dwa ognie, piłkę siatkową, piłkę nożną, pikora, hokeja na lodzie i palanta. Niemalże każdy z chłopców posiadał pistolet na zapaliki, łuk i kuszę. Były także zabawy w chowanego i podchody. W zimie był czas jazdy na łyżwach, sankach i nartach, a także skakanie na nartach ze skoczni. Nasze loty kończyły się w granicach od 2 do 14 metrów, albowiem progi skoczni były niewielkie, podobnie jak i najazdy na nie. Ponadto nasze narty to w większości były tzw. samoróbki. Graliśmy także w hokeja na lodzie. Jednakże najwięcej graliśmy w piłkę nożną.

Zanim stałem się poetą, to najpierw chciałem zostać górnikiem. W tym celu, mając 14 lat, pojechałem na Śląsk, a dokładniej do miasteczka Wilchwy, w którym była górnicza szkoła przy kopalni 1 Maja. Obecnie Wilchwy są jedną z dzielnic Wodzisławia Śląskiego. Niestety, po pierwszych odwiedzinach mojej mamy zostałem zabrany do domu. Z tamtego czasu zapamiętałem wielkie węglowe hałdy i obowiązkowe, wraz z całą szkołą, uczestnictwo w niedzielnej mszy świętej. Następnie chciałem być frezerem... i zostałem nim, tylko tyle, że nigdy tego zawodu nie wykonywałem. Wspomnę tylko, że jedną z nauczycielek języka polskiego w zawodówce była pani Maria Haładyjowa. Otóż ta pani przepięknie mówiła nam o słowie pisanym, jak również organizowała wycieczki do teatrów w Lublinie i Warszawie. Wspomnę tylko, że pani Haładyjowa, której mąż był lekarzem i pochodził z Bobrowego, była także żeglarką i współautorką hymnu „O Zawiszy Czarnym”. Po pewnym czasie zacząłem uczęszczać do liceum ogólnokształcącego, po ukończeniu którego miałem zamiar zdawać na historię. Ponieważ była to nauka wieczorowa, to w dziesiątej klasie, na siłę wcielono mnie do wojska. I tak stałem się żołnierzem, który biegał z karabinem po poligonach, a także kluczem wysyłał wszelkie, w większości kodowane, wiadomości z wielkiej radiostacji. W wolnych chwilach, szczególnie w niedziele, urywaliśmy się wraz kolegą na zwiedzanie Żar i okolic. Z tych wędrowek zapamiętałem położony na wzniesieniu stary niemiecki cmentarz, który nosił jeszcze ślady po artyleryjskich pociskach. A w samych Żarach – opuszczony i zrujnowany w czasie wojny pałac.

Po powrocie z wojska i krótkiej labie, nadzedł czas dokończenia nauki w liceum oraz podjęcia pracy w Zakładach Wyróbów Sanitarnych (obecnie Cersanit) w Krasnymstawie. W tych zakładach, niemalże obok mnie pracował Leonard Górski, poeta z powołania, który kilka lat później, w imieniu polonistów Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, witał świeżego noblistę Czesława Miłosza. Górski od połowy lat osiemdziesiątych minionego wieku mieszka w Nowym Jorku. Także niemalże obok mnie pracował niedawno zmarły poeta Edward Krzysztof Rogalski, który wówczas mieszkał w Rudniku, a później zamieszkał w Szczecinie. W 1976 roku, wraz z Leonardem Górskim, Andrzejem Davidem Misiurą, Mieczysławem Szmitem, Edwardem Cimkiem, Edwardem Krzysztofem Rogalskim, Markiem Swatowskim powołaliśmy do życia grupę literacką, która przez ponad dziesięć lat nieźle sobie poczyniała przy boku Krasnostawskiego Domu Kultury jako Grupa Literacka „Słowo”. Ewenementem na skalę krajową były organizowane przez „Słowo” wraz z Krasnostawskim Domem Kultury imprezy pod nazwą Koczowiska Literackie. Dwa pierwsze Koczowiska odbyły się w Wielobyczy, a następne w Borku i Białce. Wówczas byłem już po debiucie. Najpierw w Polskim Radiu, a następnie w „Zielonym Sztandarze”, w którym wydrukowano mój wiersz. Był to wiersz inspirowany klimatem i wyglądem cmentarza w Gorzkowie. Jednakże za swój literacki debiut uważam publikację w „Kamieniu” w roku 1975. Później drukowałem m.in. w „Akcencie”, „Autografie”, „Frazie”, „Nowym Wyrazie”, „Przekroju”, „Radarze”, „Okolicach”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Wiadomościach Kulturalnych”, „Więzi”, „Życiu Literackim”. Moje wiersze można było usłyszeć w Polskim Radiu w programach I, II i III. Ponadto byłem laureatem ponad trzydziestu konkursów poetyckich. Pierwszy tomik wierszy „Pielgrzymka” (Krasnostawski Dom Kultury), datowany rokiem 1983, ukazał się zimą 1984 roku. Później były następne tomiki: „Przez otwarte ogrody” (Wydawnictwo Lubelskie, 1988), „Wieczór autorski” (Norbertinum, Lublin 1990), „Malowanie czasu” (Norbertinum, 1993), „Krajobrazy pamięci” (Norbertinum, 1995), „Przestrzenie” (Norbertinum, 1997), „Czas fotografii” (Norbertinum, 2000), „Śmierć motyla” (Norbertinum, 2002), „Zegar słoneczny” (Norber-

tinum, 2005), „Codzień” (Norbertinum, 2007), „In blanco” (Norbertinum, 2010), „Stop-klatka” (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2012). I wreszcie, chyba mój najlepszy tomik wierszy „Stacje” (TAWA, Chełm 2019), który ukazał się w roku moich siedemdziesiątych urodzin. W tym tomiku starałem się, aby każde słowo, w czasach kiedy jest pełno otaczającego nas blichtru i bylejakości, miało swoją wartość i wagę. Aby wpisywało się w wielowiekową tradycję słowa pisanego i mówionego. Pozytywne recenzje o tym tomiku ukazały się m.in. w „Akcencie” i „Nowych Książkach”.

W moim wieku, świadomie i rozważnie wyrasta się z polityki i otaczającego chaosu, tak jak wyrasta z krótkich spodenek chłopiec. Chociaż krótkie spodenki wciąż mi są przydatne w pokonywaniu na rowerze przepięknych przestrzeni Lubelszczyzny.

Jan Henryk Cichosz

Milan R. Simić

(Velika Plana, Serbia)

Największe чудо na świecie. Wszystko z niczego.
Bóg jest jedynym świadkiem tego, że życie jest starsze o śmierci.

Człowiek sam sobie jest Bogiem i diabłem.
Sztuka to boska architektura.
Nawet Nieistnienie jest trwale.
Nie umieramy, umierają nasze iluzje o istnieniu w nieistnieniu.

Zadowolenie należy do mądrego, który potrafi posłuchać mądrzejszego od siebie.
Los Boga znajduje się w absolutnej wolności ludzkiego umysłu.

Mocnym królestwem jest biblioteka, jedno z najmocniejszych.
Kolebka – najbardziej złote słowo.

Przekład z języka serbskiego:
Olga Lalić-Krowicka.

Waldemar Seroka

Meteor

Pamięci
Staszka Grędzińskiego 1945-2022,
olimpijczyka z ziemi krasnostawskiej



Dzień 1 września 1966 roku był trzecim dniem trwających w Budapeszcie Lekkoatletycznych Mistrzostw Europy. Na bieżni słynnego Népstadionu stanęło ośmiu zawodników do finałowego biegu na 400 metrów. Wśród nich dwóch Polaków, czterech Niemców, Anglik i Czech. Ale faworyt był jeden – Andrzej Badeński – gwiazda stadionów całego świata i czołowy sprinter tego dystansu. Jego najgroźniejszym rywalem miał być Niemiec Manfred Kinder. Tymczasem niespodziewanie zwyciężył, mało jeszcze znany, Stanisław Grędziński. Badeński był drugi, a Kinder trzeci.

O szczegółach tej sensacji tak po latach opowiada jej główny bohater: – *Badeński był zawodnikiem fantastycznym. Miał bojowego ducha na bieżni, choć nie zawsze przykładał się do treningów. Lubił żyć rozrywkowo, do naszej grupy wprowadzał żarty, humor. To, że wygrałem z Andrzejem na mistrzostwach Europy, dla mnie nie stanowiło wielkiej niespodzianki. Wcześniej pokonałem go w mistrzostwach Polski, choć w Budapeszcie wszyscy stawiali na Andrzeja. Zwyciężyłem taktyką: wchodząc do finału, miałem najlepszy czas w całej stawce, a Andrzej trochę się oszczędzał w przedbiegach. Dlatego ja dostałem wygodny tor trzeci – Andrzej piąty. Miałem go więc przed sobą, mogłem kontrolować cały finał i wygrałem. Biegliśmy na ceglanej nawierzchni, z czasem 46,0 sekund. Niech ktoś dziś w Polsce na podobnej nawierzchni powtórzy ten rezultat!*¹

Tego pamiętnego popołudnia ludzie wcześniej schodzili z pól i kto tylko mógł zasiadał przed telewizorem. Ci, którzy go jeszcze nie mieli, wypełnili po brzegi szkolną świetlicę. Każdy chciał zobaczyć swojaka – chłopaka z Ostrzycy, o którym nagle zrobiło się głośno, na którego patrzyła teraz

¹ Jan Otałęga, *Pięknie biegał, dziwnie zniknął*, „Dziennik Polski” nr 24 z 4.09.2009 r.



Przedszkole w Ostrzycy. Staszek Grędziński kłęczy pierwszy z lewej. Autor w środku (z białym kominem). Ostrzyca, lato 1952.



Staszek z matką Heleną (w jasnej sukience), ojczymem Stanisławem, bratem przyrodnim Andrzejem, babką i wujostwem z córkami. Ostrzyca 1956 rok.

cała Europa! Znali go tu wszyscy, bo tu się urodził, tu chodził do szkoły, grywał w piłkę i krowy pasał. Ojcował mu dziadek Franciszek, gospodarz na paromorgowym zagonie, dorabiający na posadzie szkolnego woźnego. Ojciec Staszka zginął zanim on się urodził. Życie jego przerwała zdradziecka seria ubeckiej pepeszy w dniu, w którym się ujawnił jako członek AK...

Zwycięstwo Staszka przyjęto z radością, acz bez euforii – tak jak by mu się to należało. Wszak

wszystkim było wiadomo, że od dziecka *był letki w nogach i tak prędko latał...* że nawet pies ogrodnika nie mógł go dogonić, gdy uciekał z jabłkami za pazuchą. Jedynie babka, rozanielona tryumfem wnuka, obeszła pół wsi z gazetą pod pachą. Dziadek – gdy mu gratulowano w sklepie – odbąknął tylko: *A! Niech se lata...*

Po zwycięstwie naszej sztafety, Staszek, z dwoma złotymi medalami stał się rewelacją tych zawodów. Ustępował pod tym względem jedynie Irenie Kirszenstein (trzy złote i srebrny) oraz Ewie Kłobukowskiej (dwa złote i srebrny). Był na ustach całej sportowej Europy, ale nawet wytrawni kibice niewiele o nim wiedzieli; jedynie to, że był zawodnikiem wrocławskiego „Śląska”. Gdy redakcje ówczesnych sportowych mediów prześcigały się w wyszukiwaniu „newsów” w jego biografii – tylko Ostrzyca знаła „legendę” mistrza jednego okrażenia.

Jej ważna część związana jest z Wałbrzychem, gdzie podjął naukę w technikum górniczym i gdzie dostrzeżono jego wielki talent². Wystarczyły mu dwa lata treningu w lekkoatletycznej sekcji „Górnika”, by odnieść

pierwszy, wielki sukces. Było to na Europejskich Igrzyskach Juniorów rozgrywanych na warszawskim Stadionie Dziesięciolecia, we wrześniu 1964 roku. Zdobył wtedy dwa srebrne medale w biegach na 400 i 400 metrów przez płotki. Po odbyciu służ-

² Pod koniec lat 50. ub. w. Stanisław Grędziński wyjechał z rodzicami do Łęknicy w Zielonogórskim, gdzie dokończył naukę w szkole podstawowej. Jeszcze przez kilka lat przyjeżdżał do dziadków w Ostrzyca na każde święta i wakacje.



Tryumf w Budapeszcie 3 września 1966 r.
Foto: Janusz Szewiński.

by wojskowej wrócił do Wałbrzycha i kontynuował tu swą dalszą karierę. O tych wspaniałych czasach polskiej lekkoatletyki wspomina jego przyjaciel i rywal z bieżni Edmund Borowski – jedyny żyjący uczestnik złotej sztafety: – *Nie mogę się pogodzić z odejściem tego wspaniałego sportowca, mojego serdecznego przyjaciela. W 1966 roku w Poznaniu Stasio najpierw przerwał serię zwycięstw Andrzeja Badeńskiego w mistrzostwach Polski, zdobywając w czasie 46,0 sekund tytuł w Poznaniu, a potem z identycznym czasem został mistrzem Europy. Andrzej był dla nas półbogiem. Gdy w 1964 roku na Memoriale Janusza Kusocińskiego w Warszawie wygrał bieg główny na 400 metrów, pokonując swego przyszłego pogromcę w Tokio – Amerykanina Mike’a Larrabee, ja ze Stasiem startowaliśmy jeszcze skromnie w serii C. Być może, Badeńskiemu udałoby się osiągnąć dużo większe sukcesy, gdyby w głowie nie poprzewracał mu alkohol i dziewczyny. Stasio był akurat jego przeciwieństwem. Na wszystkich obozach chodził nieustannie z książką, traktując niezwykle serio studia na Wydziale Budownictwa Politechniki Wrocławskiej. Chciał koniecznie zostać inżynierem i to mu się*



Europejskie Igrzyska Juniorów. Na pierwszym planie S. Grędziński. Foto: T. Prażmowski, „Sportowiec” nr 39 z 22 września 1964 roku.

udało. A ja jestem mu wdzięczny do dzisiaj za to, że w 1967 roku wolał zająć się nauką, niż wyjechać do Meksyku na przedolimpijski rekonesans. No i w tym wypadku ustąpił mi miejsce³.

Jednak na olimpiadę pojechał. Polska sztafeta 4x400 m – ze Staszkiem na pierwszej zmianie – zajęła 4 miejsce. Choć uzyskała identyczny czas jak sztafeta RFN, to brązowy medal, wbrew logice, przyznano tylko Niemcom. Rok później, w 1969, po raz drugi zdobył tytuł mistrza Polski w biegu na 400 metrów i brązowy medal na mistrzostwach Europy w Atenach. Zwieńczeniem kariery był srebrny medal w sztafecie 4x2 okrążenia podczas Halowych Mistrzostw Europy w Wiedniu w 1970 roku. Rok później, z powodu przewlekłej kontuzji, wycofał się z czynnego uprawiania sportu. Jego talent rozblysnął niczym meteor na firmamencie lekkoatletycznych gwiazd i zgasł u progu najlepszych lat dla sportowca.

³ Maciej Petruczenko, *Przegląd sportowy* - 20 stycznia 2022 r.

Jednak ze sportem nigdy się nie rozstał: był trenerem i sportowym działaczem. Prezesował „Górnikowi” i Wałbrzyskiemu Okręgowi Lekkiej Atletyki. Będąc inżynierem budownictwa, przepracował 34 lata na różnych stanowiskach: kierownik budów, inspektor nadzoru, dyrektor... Jako człowiek znany i zasłużony, a przy tym wielkiej skromności i szlachetności był w Wałbrzychu nieledwie czczony.

Ale był taki czas, jak donosił „Super Express”, że: *Olimpijczyk z Meksyku Stanisław Grędziński utrzymuje się z zasiłku dla bezrobotnych. Po zakończeniu kariery sportowej pracował w budownictwie. W 1994 roku dopadł go zawał serca. Poszedł na rentę. Z groszem było krucho, więc wrócił do pracy. Nie na długo. W 2002 z nogą zwałił go drugi atak serca. Rok temu zabrano mu rentę. Lekarze stwierdzili, że jest na tyle sprawny, że może pracować. – Tylko, że tej pracy nie ma, a życz z czegoś trzeba – opowiada Grędziński. Teraz marzy tylko o tym, żeby znaleźć jakąś pracę i doczekać tych 6 lat do emerytury. Żeby „nie zwariować”, codziennie trenuje młodych lekkoatletów. Za darmo. – Bo nadal mam sentyment do sportu. Ale z drugiej strony bez normalnej roboty bieduję, „kuronówka” wystarcza mi ledwo na opłatę gazu i czynszu.*

Stanisław Grędziński nie biedowałby, gdyby w Meksyku zdobył z kolegami brązowy medal w sztafecie 4x400 m. Sami Niemcy uważali, że Polacy też zasłużyli na medal, a ich as Manfred Kinder chciał przekazać Grędzińskiemu i jego kolegom brązowe medale z Meksyku, ale biało-czerwoni nie chcieli łaski. Liczyli, że MKOl oficjalnie przyzna im miejsce na podium. Ale do tego potrzebne oficjalne wystąpienie PZLA (i wpłacenie 400 dolarów! na konto MKOl). Stanisław Grędziński czeka na nie do dzisiaj⁴.

Apel młodzieży z Ostrzycy -rodzinnej wsi St. Grędzińskiego

Przed kilkoma dniami od młodzieży Ludowych Zespołów Sportowych z Ostrzycy (pow. Krasnystaw) otrzymaliśmy wzruszający list. Zamieszczamy go w całości.

DROGA REDAKCJO!

Od 5 marca obchodzić będziemy „Dni Olimpijczyka”. Prosiłbyśmy bardzo o podanie nam konta, na które można wpłacać pieniądze na Fundusz Olimpijski! Bardzo nam na tym zależy, bowiem nasze Koło LZS w Ostrzycy też chce się przyczynić do wystania jak największej grupy naszych sportowców do Meksyku, by tam godnie bronili barw polskiego sportu.

Prosiłbyśmy bardzo Redakcję o wydrukowanie naszego listu w „Sztandarze Ludu”, ponieważ nie wszyscy sympatycy sportu na Lubelszczyźnie wiedzą, że mistrz Europy w biegu na 400 m, Stanisław Grędziński, urodził się i mieszkał do niedawna w województwie lubelskim w wsi Ostrzyca, pow. Krasnystaw. Tutaj też zaczął uprawiać czynnie sport, a gdy pojechał do szkoły do Wałbrzycha, tam zaopiekowali się nim trenerzy i w niedługim czasie został dobrym sportowcem.

Zwracamy się z apelem do wszystkich mieszkańców Lubelszczyzny o poparcie finansowe dla PKOl, by m. in. i nasz rodak mógł godnie reprezentować polski sport na Olimpiadzie w Meksyku.

ROMAN KSAWERY
przew. LZS w Ostrzycy

Z prawdziwą przyjemnością zamieszczamy list młodzieży z Ostrzycy, a licząc się z tym, że ich apel zostanie podjęty (o czym prosimy nas zawiadomić), podajemy numery konta Polskiego Komitetu Olimpijskiego:

NBP — Warszawa — II O/M - 1525 - 9 - 661

lub

PKO — Warszawa — I - 0 - 1 - 9 - 121863 — PKOl.

Autorzy kończą swój artykuł apelem do ówczesnej prezes PZLA Ireny Szewińskiej: *Pani Ireno, może pani w końcu wystąpi do MKOl z wnioskiem o przyznanie polskiej sztafecie brązowych medali. Stanisław Grędziński zasługuje na to, żeby godnie żyć z olimpijskiej emerytury.*

19 stycznia 2022 roku Mistrz dobiegł do mety życia. W pamięci starszych kibiców pozostanie tym szalenie szczęśliwym młodzieńcem z rozrzuconymi wysoko, jak warkocze meteoru, rękami.

Waldemar Seroka
Foto: Janusz Szewiński

⁴ Robert Migdał i Andrzej Basiński: *Sędziowie zabrali medal i emeryturę*. „Super Express” nr 237 z 8.10.2004 r.

Wiesław Krajewski

Korepetycje dla lekarzy



W numerze 2(40) „Nestora” z 2017 r. wykazałem w sposób, jak mniemam, dość przekonujący, że wszyscy jesteśmy lekarzami. Artykuł nosił właśnie taki tytuł¹. Właściwie nie było to stwierdzenie mojego autorstwa. Doświadczalny dowód tej tezy przeprowadził z powodzeniem już 500 lat temu nie byle kto, bo królewski błazen Stańczyk, a jego spostrzegawczości i bystrości możemy ufać. Przyjmijmy więc za pewnik – wszyscy jesteśmy lekarzami.

To zobowiązuje. Co prawda nie wszyscy składali przysięgę lekarską, ale kodeks lekarski obowiązuje każdego, kto choć dorywczo wykonuje ten zawód. Ciebie, Drogi Czytelniku, także. Zasady etyki lekarskiej sformułowano już za czasów Hipokratesa. Przez dwa i pół tysiąclecia były tylko trochę modyfikowane, ale obowiązują do dziś. Od wieków jedną z nich, zawartą w treści przyrzeczenia jest: „stałe poszerzać swą wiedzę lekarską i podawać do wiadomości świata lekarskiego wszystko to, co uda mi się wynaleźć i udoskonalić”². Przyjmijmy więc jako drugi pewnik – dokształcać się trzeba.

Wiedza lekarska jest wiedzą ogromną. Samych chorób jest nie setki, nie tysiące a dziesiątki tysięcy. Najnowsza Międzynarodowa Statystyczna Klasyfikacja Chorób i Problemów Zdrowotnych ICD-11³ (ang. *International Statistical Classification of Diseases and Related Health Problems*) stworzona przez Światową Organizację Zdrowia zawiera 55 000 jednostek chorobowych. Nie da się tego opanować, ale przynajmniej trzeba się starać. O kilkunastu chorobach należałoby sobie przypomnieć. Rozpocznijmy więc korepetycje dla lekarzy, czyli nas wszystkich.

Zespół Baby Jagi. Postać Baby Jagi jest znana wszystkim dzieciom i tym, którzy dziećmi kiedyś byli. Stara, odrażająca wiedźma z jednym zębem, kulawa i ślepa na jedno oko. Mieszkała w chatce na kurzej stopce w głębi lasu. Porywała błąkających się po lesie ludzi (zwłaszcza dzieci), a następnie zabijała je i zjadała. Wzbudzała ogólny strach. I coś z tego zostało. Dziś często boimy się nawet wypuścić dzieci na dwór lub na ulicę. Bo tam mogą czyhać niebezpieczni ludzie (dealerzy narkotyków, pedofile), zagrożenie może stanowić też duży ruch uliczny. To i wiele innych budzą w nas strach. Zespół Baby Jagi to silny, irracjonalny lęk przed spuszczeniem dziecka z oka.

Ale zagrożeniem może być i sama natura – pójdźcie do lasu, nad wodę czy po prostu „za miasto”. W przyrodzie również można widzieć wroga. Na całym świecie wzrasta liczba osób, których kontakt z naturą ograniczony jest do minimum. Dziś dzieci coraz więcej czasu spędzają w domu. Coraz więcej osób cierpi na **syndrom deficytu natury**, czyli zaburzenia w rozwoju emocjonalnym, fizycznym i społecznym na skutek oderwania od naturalnego środowiska.

Zespół nocnego jedzenia. Zespół nocnego jedzenia (nocnego objadania się, ang. *night eating syndrome*, NES) to niekontrolowane wielokrotne wstawanie w nocy, aby coś zjeść. Jest powiązane z zaburzeniami nastroju i snu. Po raz pierwszy NES opisano w 1951 r., ale dopiero w 2003 r. odnotowano pierwszy przypadek leczenia tego zespołu. Zespół nocnego jedzenia występuje w wersji świadomej, kiedy chory zdaje sobie sprawę, że je nocą, ale chory może też tego nie pamiętać, bo robił to we śnie somnambulicznym, czyli lunatykując. W leczeniu wykorzystuje się leki przeciwdepresyjne i przeciwpadaczkowe. Dobre efekty terapeutyczne przynoszą edukacja żywieniowa, prawidłowe rozplanowanie dobrze zbilansowanych posiłków w ciągu dnia, aby chory nie czuł zwiększonego łaknienia wieczorem.

Syndrom złego samopoczucia Marka Twaina. Kiedy Mark Twain przybył do Mediolanu w 1869 roku, oglądał chyba najśłynniejszy fresk świata – „Ostatnią Wieczerzę” Leonarda da Vinci (fresk był wtedy dość mocno zniszczony). Zaskoczony taką degradacją pisarz zaczął odczuwać smutek i popadł w melancholię. Zniszczenie fresku

¹ W. Krajewski, *Wszyscy jesteśmy lekarzami*, „Nestor” 2(40) 2017, ss. 118-119.

² *Kodeks etyki lekarskiej*, https://nil.org.pl/uploaded_images/1574857770_kodeks-etyki-lekarskiej.pdf.

³ https://pl.wikipedia.org/wiki/Mi%C4%99dzynarodowa_Klasyfikacja_Chor%C3%B3b_ICD-11.

udzieliło się jego duszy. Degradacja dzieła sztuki wywołała u niego także negatywne wrażenia zdrowotne. Dziś również niektóre osoby mogą odczuwać podobne objawy.

Choroba skaczącego Francuza z Maine.

Wywołują ją zaburzenia w funkcjonowaniu układu nerwowego. Osoby dotknięte schorzeniem są nadwrażliwe i przesadnie reagują, kiedy się przestraszą – zaczynają wówczas machać rękami i głośno krzyżeć. Choroba skaczącego Francuza z Maine nie jest jakoś szczególnie niebezpieczna, jednak potrafi być uciążliwa. Taka reakcja często wywołuje śmiech i rozbawienie otoczenia, chociaż nie wypada się śmiać z czyichś dolegliwości.

Syndrom Alicji w Krainie Czarów. Słynna powieść Lewisa Carrola opowiada o przygodach pewnej małej dziewczynki, która dostaje się do króliczej nory, gdzie znajduje tajemniczą folkę z napisem „Wypij mnie!”. Kiedy to zrobi, kurczy się do lilipucich rozmiarów.

Zespół Alicji w Krainie Czarów opisany został w latach 50. i dotyczy dość rzadkiego zaburzenia. Pacjenci mają wrażenie silnych zmian w proporcjach własnych ciał. Czasem wydaje im się, że np. gwałtownie rosną lub maleją. Zdarza się, że tylko jedna część ciała zmienia, według nich, swoje rozmiary (np. ucho). Chory widzi też różne przedmioty w zaburzonej wielkości. Pies lub samochód mogą być wielkości myszy. Zespół ten najczęściej spotkać można u dzieci, a jego przyczyn może być wiele – od guzów mózgu, przez powikłania związane z zakażeniem wirusem Epsteina-Barr, aż po efekt uboczny ataku padaczki.

Kłątwa Ondyny jest rzadką, genetyczną chorobą objawiającą się upośledzoną kontrolą oddechu przede wszystkim w czasie snu. Nazwa pochodzi z legendy germańskiej. Nimfa Ondyna postanowiła ukarać swojego niewiernego męża, rzucając na niego kłatwę i pozbawiając jego organizm wszystkich bezwolnych funkcji. Przeklęty małżonek ciągle musiał pamiętać, aby wykonać wdech i wydech. Gdy zasnął – przestał oddychać. Na szczęście większość pacjentów dotkniętych kłatwą Ondyny nie przestaje całkowicie oddychać nocą, jednak ich oddech nie jest wystarczająco głęboki.

Określenia kłątwa Ondyny po raz pierwszy użyto w 1962 roku do opisanego objawów, które wy-

stały u pacjentów po operacji mózgu. Wymagali oni mechanicznej wentylacji w trakcie snu, mimo prawidłowej czynności oddechowej w trakcie czuwania.

Choroba pocałunków (mononukleozą) to zakaźna choroba wirusowa, która wywoływana jest przez wirus Epsteina-Barr. Wirus ten występuje w ślinie osoby zakażonej. U niektórych osób zakażenie może przebiegać bezobjawowo. Najczęściej są nimi dzieci do 10. roku życia, u których objawy nie występują lub są słabo zaznaczone. Pełnoobjawowa choroba najczęściej dotyczy u osób wieku 15-25 lat.

Szacuje się, że nawet 90-95 % populacji jest zakażona wirusem Epsteina-Barr. Oznacza to, że prawie każdy człowiek na świecie w pewnym momencie swojego życia zostaje zakażony tym wirusem. Do zachorowania na mononukleozę dochodzi zazwyczaj raz w życiu, ponieważ przechorowanie daje trwałą odporność.

Pica to zaburzenie odżywiania, polegające na chęci spożywania rzeczy nieprzeznaczonych do tego. Jest to zjawisko znane u około 25 % dzieci, które chętnie zjadają takie przedmioty jak klej, pastę, kredę, glinę, papier, niedopałki. Chorzy mogą też zjadać ołówki, korę drzew czy też przedmioty wykonane z drewna. Do najpopularniejszych odmian piki należy także pagofagia, czyli spożywanie lodu. Pikę łączy się z niedokrwistością z niedoboru żelaza. Obserwuje się ją najczęściej u niedożywionych dzieci zamieszkujących kraje rozwijające się bądź kobiet w ciąży.

Zespół odoru rybnego (trimetyloaminiuria). Charakterystycznym przejawem tej jednostki chorobowej jest nietypowy zapach potu czy moczu pacjentów – przypomina on woń, którą wydzielają ryby. Obecnie nie istnieją żadne metody przyczynowego leczenia. Osoby, u których rozpoznany zostanie zespół rybiego odoru, mogą mieć obawy dotyczące tego, jak będą funkcjonować wśród innych ludzi. Pacjenci są jednak w stanie wieść normalne, szczęśliwe życie – aby to osiągnąć, powinni oni po prostu przestrzegać pewnych zaleceń: unikać pokarmów, które są źródłami trimetyloaminy, takich jak np. rośliny strączkowe, czerwone mięso, ryby, jaja. Do kąpeli zaleca się im stosowanie środków o kwaśnym odczynie, to jest mających pH od 5,5 do 6,5.

Choroba kociego pazura (ang. *cat-scratch fever, cat-scratch disease*) jest bakteryjną chorobą odzwierzęcą wywołaną przez bakterie z rodzaju *Bartonella*. Choroba jest miejscowym stanem zapalnym węzłów chłonnych, który występuje po zakażeniu skóry, oczu lub błony śluzowej. Człowiek najczęściej ulega zakażeniu po zadrapaniu przede wszystkim przez młode koty. Pierwszym objawem choroby kociego pazura jest grudka lub krostka w miejscu zadrapania, która poprzedza powiększenie okolicznych węzłów chłonnych. W zdecydowanej większości przypadków choroba ustępuje nawet bez leczenia w ciągu 6 miesięcy, a szybciej po zastosowaniu antybiotyków.

Choroba kociego krzyku (zespół cri du chat, CDS) to choroba genetyczna, którą diagnozuje się raz na 15-50 tysięcy urodzeń. Jej nazwa jest związana z najbardziej charakterystycznym objawem – z wydawaniem przez chore dzieci dźwięków przypominających miauczenie kota. Płacz ten jest wynikiem nieprawidłowej budowy krtani.

W zespole kociego krzyku pojawiają się także problemy ze strony układu pokarmowego – dziecko nie ma dostatecznie wykształconego odruchu ssania i przełykania, w związku z tym pojawiają się kłopoty z karmieniem, dziecko słabo lub wcale nie przybiera na wadze. Zespół kociego krzyku jest chorobą genetyczną, w związku z tym nie można jej wyleczyć. Istnieje jednak możliwość złagodzenia jej objawów. Podstawowym elementem terapii jest rehabilitacja, dzięki której chorzy mają szansę dożyć wieku dorosłego. W Polsce jest około 50 dzieci zmagających się z CDS.

Syndrom CIPA to rzadka choroba genetyczna objawiająca się niezdolnością odczuwania bólu, rozróżniania skrajnych temperatur, a także brakiem pocenia się. Nieodczuwanie bodźców bólowych sprawia, że chorzy łatwo doznają różnego rodzaju urazów kończyn, a także jamy ustnej (np. gryzą się w język, wargi) lub doznają oparzeń. U chorych często dochodzi też do złamań kości i zwyrodnień stawów. Ponadto stwierdza się opóźnienie umysłowe, skłonność do zakażeń.

Syndrom wilkołaka – nadmierny wzrost włosów (hipertrichoza). Choroba nazwana tak z uwagi na wizualne upodobnienie się chorych do wilkołaka. Włosy pojawiają się wszędzie tam, gdzie w warunkach normalnych nie występują,

czyli na twarzy, klatce piersiowej i plecach. Są to gęste włosy, podobne do sierści zwierzęcej. Dotychczas stwierdzono tę chorobę u około 40 osób na świecie.

Choroba wampirza (porfiria) to choroba, a raczej choroby, których wspólną cechą są zaburzenia przetwarzania hemoglobiny we krwi. Najczęściej jest to choroba dziedziczna. W rodzinie, gdzie u jednego z rodziców wykryto chorobę, predyspozycję do dziedziczenia wykazuje 50 % dzieci.

Często charakteryzuje się bladą cerą i światłowstrętem pozwalającym jedynie na opuszczanie pomieszczeń o zmierzchu i nocą, oraz zmianami na skórze – stąd porównywanie do wampira. Przy tzw. porfirii wątrobowej najczęstszym objawem jest silny i stały ból brzucha, który może być odczuwany także w okolicy pleców i pachwin. Inne często pojawiające się symptomy choroby to: nudności, wymioty, zaparcia, nadciśnienie, pocenie, bladeść, gorączka. Charakterystycznym objawem potwierdzającym rozpoznanie jest zmiana zabarwienia moczu. W czasie ataku mocz staje się czerwono-brązowy.

Syndrom Stendhala to nadmierna reakcja fizyczna, której przyczyną jest ogromne bogactwo wspaniałych dzieł sztuki w ograniczonej przestrzeni, które wywołuje u zwiedzającego szok. To zaburzenie jest obserwowane u ludzi przytłoczonych historycznymi skarbami kultury, sztuki, zabytkami, którzy reagują na nie gwałtownymi objawami fizycznymi jak zaburzenia percepcji, dezorientacja, ataki paniki, przyspieszone bicie serca, zawroty głowy, a nawet omamy i halucynacje. Termin „syndrom Stendhala” pochodzi od przypadku francuskiego pisarza Henri Boyle’a, znanego pod pseudonimem Stendhal. Jak opisuje on w pamiętnikach z 1817 roku, po wizycie we Florencji (stąd też nazwa „syndrom florencki”), a konkretnie zwiedzaniu galerii Uffizi, grobu Dantego i zobaczeniu „Dawida” Michała Anioła „wpadł w prawdziwy zachwyt i ekstazę” i poczuł się „jak kochanek”. Dostał gorączki i kilka dni spędził w łóżku. Po wyjeździe z miasta objawy ustąpiły.

Lekarze sądzą, że zaburzenie to wywołują nie tylko piękne dzieła sztuki, ale także gwar, hałas, czy tłum ludzi. Analogicznym zjawiskiem jest tzw. „przesyt wyboru”, który może pojawić się u ludzi podczas zakupów w hipermarketach, czy

w dużych galeriach handlowych. Jest to reakcja, która pojawia się, jako wynik dostrzeżenia ogromnej liczby rzeczy, które można byłoby kupić. Osoby te doświadczają objawów, które przypominają syndrom florencki.

Do podobnych zjawisk należy syndrom paryski i syndrom jerozolimski.

Syndrom paryski. Ta przypadłość zdarza się rzadziej i zwykle Japończykom. Turyści z tego kraju przeżywają ogromny szok, gdy zauważają, że Paryż wcale nie jest taki, jak sobie wyobrażali i jak opisywały przewodniki. Spodziewali się niezwykłych doznań, fali emocji, niesamowitych atrakcji, tymczasem stolica Francji sprawiła im zawód. Paryż okazał się miastem nie tak niezwykłym. Doznając z tego powodu urojeń, halucynacji, zawrotów głowy, kołatania serca, pocenia się i wymiotów. Na syndrom paryski choruje ok. 20 turystów rocznie.

Syndrom jerozolimski związany jest z doświadczeniem podniecenia religijnego u osób podróżujących do Jerozolimy. Święte miasto trzech religii: chrześcijaństwa, judaizmu i islamu co roku odwiedza tysiące wiernych, chcących poznać korzenie swojej wiary. I tu właśnie leży przyczyna problemu: obecność w miejscach związanych z religią powoduje psychiczny szok, a pielgrzymi zaczynają utożsamiać się z postaciami biblijnymi. Według psychiatrów to wynik zderzenia wyobrażeń i oczekiwań co do wizyty w świętym mieście z rzeczywistością. Problem ten dotyka ok. 200 osób rocznie, przede wszystkim młodych mężczyzn. Objawy syndromu ustępują zwykle po wyjeździe z Izraela. Problemy psychiczne bywają jednak tragiczne w skutkach – w 1969 roku Australijczyk Michael Dennis Rohan próbował z powodu syndromu spalić meczet Al-Aksa. Doszło wówczas w Jerozolimie do krwawych zamieszek.

Syndrom sztokholmski jest odmiennym typem zaburzenia. Ilustracją problemu jest przypadek z 1973 roku, kiedy podczas napadu na jeden z banków w Sztokholmie napastnicy przez sześć dni przetrzymywali pracujące tam osoby. Po uwolnieniu ofiary nie tylko odmówiły współpracy z policją, ale też stanęły w obronie porywaczy i zbierały środki na pomoc prawną dla nich, a jedna z zakładniczek nawet zaręczyła się z oprawcą.

Syndrom sztokholmski to stan psychiczny, będący reakcją na silny stres. Wyraża się odczu-

waniem sympatii i solidarności wobec sprawcy. Dotyczy nie tylko osób porwanych, w więzieniach, obozach pracy, doświadczających przemocy, ale też tych, którzy żyją w toksycznych związkach, kiedy jedna z osób jest wykorzystywana, zdradzana, a także w pracy – kiedy doświadczają mobbingu. Jednym z głośniejszych przykładów syndromu jest historia Nataschy Kampusch z Wiednia, która przez osiem lat była więziona, bita i poniżana przez Wolfganga Priklopila. Gdy zmarł, opłakiwała go, a dziennikarzom tłumaczyła, że dzięki porwaniu uniknęła zagrożeń młodości, takich jak: alkohol czy papierosy.

Choroba chikungunya jest chorobą wirusową przenoszoną przez niektóre gatunki komarów. Występuje w Afryce, południowo-wschodniej Azji i na subkontynencie indyjskim. Rodzime przypadki na terenie Europy po raz pierwszy stwierdzono w północno-wschodnich Włoszech w sierpniu 2007 r.

W wyniku zakażenia pojawia się wysoka gorączka, ostre bóle stawów i ból głowy. Zwykle większość pacjentów powraca do zdrowia po kilku dniach do kilku tygodni, ale u niektórych chorych może dochodzić do poważnych komplikacji lub przejścia choroby w stan przewlekły. U niewielkiej liczby pacjentów może dojść do przewlekłego zapalenia stawów, zaburzeń żołądkowo-jelitowych lub sercowo-naczyniowych.

Stosuje się leczenie objawowe. Zapobieganie zakażeniu obejmuje m.in. stosowanie repelentów, ubrań chroniących przed ukąszeniami komara. Nie ma skutecznej szczepionki przeciwko tej chorobie.

Choroba beri-beri to choroba pojawiająca się w wyniku niedoboru witaminy B1. Jest to skrajna postać awitaminozy, w dawniejszych czasach prowadząca najczęściej do śmierci. Beri-beri zaburza pracę układu nerwowego, układu sercowo-naczyniowego oraz układu odpornościowego. Powoduje drżenie, osłabienie i zanik mięśni (przede wszystkim mięśni nóg), porażenie nerwów, kołatanie serca, zaburzenia pamięci i trudności z koncentracją oraz dolegliwości ze strony układu pokarmowego – brak apetytu, nudności, wymioty i biegunka.

Hirsutyzm to owłosienie typu męskiego u kobiet. Problem objawia się wzrostem sztywnych, ciemnych włosów w miejscach, w których

kobiety zazwyczaj ich nie mają, a więc głównie na twarzy – nad górną wargą czy na podbródku, klatce piersiowej, brzuchu, plecach.

Główną przyczyną jest wysoki poziom męskich hormonów płciowych lub stosowanie niektórych leków hormonalnych. Czasem wynika on także z predyspozycji dziedzicznych.

Leczenie obejmuje mechaniczne usuwanie włosów oraz farmakoterapię. W niektórych przypadkach poprawę przynosi zastosowanie odpowiedniej diety. Hirsutyzm polekowy wymaga odstawienia leku wywołującego nadmierne owłosienie.

Syndrom Otella to stan najczęściej obserwowany u alkoholików i należy do grupy psychoz urojeniowych. Osoba z zespołem Otella jest paranoicznie zazdrosna o swoją partnerkę. Będąc przekonana o jej niewierności, stara się za wszelką cenę znaleźć tego dowody. A te bardzo często okazują się urojeniami człowieka uzależnionego od alkoholu.

Pierwowzorem nazwy syndromu jest tytułowy bohater tragedii Szekspira – pewien Maur, który za sprawą fałszywego przyjaciela zaczyna podejrzewać wybrankę swego serca, Desdemonę, o niewierność. Ostatecznie, dręczony obsesyjnymi myślami Otello w ataku szału dusi ukochaną, po czym popełnia samobójstwo.

Nie ma sprawdzonej i w pełni skutecznej metody leczenia zespołu Otella.

Zespół dziadka do orzechów (zespół ucisku żyły nerkowej) to pewna patologia krążenia trzewnego, która charakteryzuje się tym, że odpływ żylny krwi jest zaburzony. Schorzenie jest dość trudne do wykrycia. Po raz pierwszy przypadłość ta została opisana w 1974 roku.

Zespół dziadka do orzechów związany jest z różnymi objawami. Obserwuje się dolegliwości układu pokarmowego – nudności, wymioty, ale bardzo często ze strony układu moczowego – krwiomocz oraz białkomocz. Częstym objawem są bóle obejmujące zazwyczaj lewy dół biodrowy oraz okolicę lędźwiową.

Choroba przeklęta (zespół Tourette'a) objawia się tym, że dotknięte nią osoby wbrew swojej woli krzyczą, przeklinają, podskakują, kręcą się w kółko czy wykonują inne niekontrolowane rytmiczne ruchy, doznają licznych tików ruchowych – mrużenie, pokazywanie języka, chrząkanie, grymasy,

i werbalnych – plucie, powtarzanie tych samych słów lub zdań, często pozbawionych sensu.

Choroba najczęściej ujawnia się w wieku przedszkolnym lub wczesnoszkolnym, czterokrotnie częściej u chłopców. Choć syndrom jest nieuleczalny, zwykle pojawiają się okresy remisji. Przeważnie po okresie dojrzewania objawy ustępują lub zmniejsza się ich nasilenie.

Zespół ogona końskiego. Choroba związana jest z uciskiem na wiązkę nerwów rdzeniowych, zwanych ogonem końskim. Nerwy te znajdują się w dolnej części rdzenia kręgowego w odcinku lędźwiowo-krzyżowym, a ich zadaniem jest wysyłanie i odbieranie sygnałów do nóg, stóp i narządów miednicy.

Objawami mogą być: silny ból krzyża, ból, drętwienie lub osłabienie jednej lub obu nóg, co powoduje potykanie się lub problemy ze wstawaniem z pozycji siedzącej, utrata lub zmiana czucia w nogach, pośladkach, wewnętrznej stronie ud, tylnej części nóg lub stopach, problemy z funkcjonowaniem pęcherza lub jelit.

Chory z tym zespołem potrzebuje szybkiego leczenia, aby zapobiec trwałym uszkodzeniom prowadzącym do nietrzymania moczu, a nawet paraliżu nóg.

Gorączka Zachodniego Nilu to ostra choroba wywołana przez wirusa Zachodniego Nilu (WNV), należąca do gorączek krwotocznych. Nośicielami wirusa są ptaki, ale na człowieka przenosi się za pośrednictwem komarów. Zwykle daje łagodne objawy lub przebiega wręcz bezobjawowo. Symptomy przypominają grypę: gorączka, ból głowy, bóle mięśni, niekiedy nudności i wymioty. Jeśli zakażona zostanie osoba osłabiona innymi chorobami lub cierpiąca na zmniejszenie odporności, wirus intensywnie się mnoży i wywołuje poważne powikłania, takie jak zapalenie mięśnia sercowego, zapalenie trzustki, ostre zapalenie wątroby, zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych, zapalenie rdzenia kręgowego.

Chorobę odkryto w Ugandzie. W latach 90. notowano nieliczne przypadki w Afryce, zachodniej Azji i krajach Bliskiego Wschodu, ale doszło też do epidemii w Rumunii (1996), Rosji (1999) i Izraelu (2000), od 1999 roku notuje się również zachorowania w Ameryce Północnej.

Zespół niespokojnych nóg (ang. *Restless Legs Syndrome*, RLS) to dysfunkcja neurologiczna powodująca nieprzyjemne skurcze występujące głęboko w mięśniach, które wymuszają poruszanie nogami, a nawet energiczny chód. Objawy te nasilają się wieczorem, przez co utrudniają zasypianie. RLS pojawia się również w nocy, doprowadzając do zaburzeń snu. Schorzenie utrudnia dłuższe podróże samochodem czy samolotem. Długotrwałe siedzenie powoduje mrowienie, drętwienie kończyn, zmuszając do wstania i rozchodzenia skurczy, jak i rozmasowania nóg. Ulga jest jednak krótkotrwała, ponieważ po zaprzestaniu chodzenia i powrocie do spoczynku objawy wracają.

Przyuczyny występowania RLS nie są do końca wyjaśnione, a w leczeniu stosuje się masaż nóg, zimne i ciepłe kąpiele, unikanie zwiększonego wysiłku fizycznego wieczorami, odstawienie używek (papierosy, kawa, alkohol). Leczenie farmakologiczne opiera się na podawaniu leków uspokajających.

Syndrom Doriany Graya dotyczy osób, które mają obsesję na punkcie zachowania wiecznej młodości. Dotknięte nim osoby chwytają się więc różnych metod, aby zachować piękny i młody wygląd – zastrzyków z botoksu, liftingu skóry czy bardziej skomplikowanych operacji plastycznych. To desperaci stosujący wszelkiego rodzaju maści, maseczki, eliksiry, farmaceutyki – wszystko podporządkowane jednemu celowi. Syndrom ten uznawany jest za fenomen społeczny, za który winę ponoszą media lansujące wyidealizowany obraz kanonów współczesnej urody.

Nazwy syndromu użyczył bohater powieści Oscara Wilde'a. Piękny młodzieniec, który decyduje się sprzedać własną duszę, aby tylko uniknąć starości. W rezultacie starzeje się nie on, a jego portret.

Syndrom Huckleberry'ego Finna charakteryzuje się ciągłym próbowaniem unikania odpowiedzialności czy podejmowania ważnych decyzji. Osoby takie często zmieniają pracę, nie mogą znaleźć dla siebie miejsca w życiu. Psychologowie uważają, że tego rodzaju postawa jest reakcją obronną osób borykających się z niską samooceną, kompleksami i depresją.

Huckleberry Finn to wierny towarzysz przygód Tomka Sawyera z książek Marka Twaina. Jest

dzieciakiem wywodzącym się z biedoty, synem alkoholika i awanturnika. Huck to mały beztroski chuligan, który niczym się nie przejmując, robi co chce i ma w nosie, co myślą o nim inni.

Zespół Roszpunkki swoją nazwę wziął od bohaterki starej niemieckiej baśni spopularyzowanej przez braci Grimm – Roszpunkki zamkniętej w wieży przez czarownicę. Dziewczyna obdarzona była bardzo długimi i pięknymi włosami. Dzięki nim i pomocy księcia udało się jej uciec. Oboje żyli długo i szczęśliwie.

Zaburzenie psychiczne znane jako zespół Roszpunkki nie jest tak romantyczne. Objawia się on problemami z prawidłową pracą jelit. Jest to spowodowane efektem trudnego do opanowania pożerania włosów. U takich osób w żołądku często odkłada się sporej wielkości „kula włosowa”, która przechodzi przez układ trawienny w formie długiego sznura włosów. Przypadłość dotyczy najczęściej nastolatek, które odczuwają lęki, poczucie osamotnienia, u których występują zaburzenia emocjonalne, chorują na depresję, nerwice.

Można zaobserwować u nich tysienie spowodowane wyrwaniem włosów, bóle brzucha (zwłaszcza w nadbrzuszu), nudności, wymioty, spadek łaknienia, spadek masy ciała, refluks żołądkowo-przełykowy, obecność twardej, nieprzeżuwanej i bezbolesnej kuli włosów w śródbrzuszu, która może spowodować niedrożność jelita grubego lub cienkiego.

Nawyk jedzenia włosów jest trudny do wyleczenia – osoby chore wysła się na psychoterapię, konieczna może też być wizyta u psychiatry i przepisanie leków przeciwłękowych i antydepresyjnych. Kulę włosów usuwa się natomiast chirurgicznie.

Syndrom chorego budynku (ang. *sick building syndrome*, SBS) definiowany jest jako zespół dolegliwości zdrowotnych pojawiający się w czasie przebywania w konkretnym miejscu (budynku). Przyczyna związana jest bezpośrednio z klimatem wewnętrznym, a pośrednio z wadami konstrukcyjnymi danego budynku.

Dolegliwości zdrowotne, które pojawiają się przy SBS to powtarzające się bóle głowy, przemęczenie i senność, mdłości, omdlenia i problemy z oddychaniem. Ważne jest, że zawsze dzieje się to w tym samym miejscu, np. w biurze lub w domu.

Bardzo często towarzyszy temu silne podrażnienie błon śluzowych (piekące oczy, suchość w gardle i nosie). Może to prowadzić do groźnych chorób i schorzeń górnych dróg oddechowych oraz alergii. Przewlekły kontakt z miejscem objętym syndromem chorego budynku może sprzyjać chorobom nowotworowym.

Według szacunków Światowej Organizacji Zdrowia nawet 90 % swojego czasu spędzamy w zamkniętych pomieszczeniach. To właśnie w nich występuje najwyższe stężenie biologicznych zanieczyszczeń powietrza – szkodliwe alergeny, kurz, roztocza, pleśń, ponadto hałas i wibracje, niedostosowane oświetlenie, złe rozmieszczenie stanowisk w biurze, za wysoka lub zbyt niska temperatura w pomieszczeniu to kolejne elementy, które mogą prowadzić do **syndromu chorego biura**.

Syndrom chronicznego zmęczenia (ang. *chronic fatigue syndrome*, CFS). uznawany jest za jedną z chorób cywilizacyjnych. Charakterystycznym jego objawem jest bardzo silne zmęczenie, nieadekwatne do ogólnego stanu zdrowia. Syndrom, jeśli jest nieleczony, może poważnie utrudniać codzienne funkcjonowanie. Z powodu niestęchanego zmęczenia chory ma problem z najprostszymi czynnościami żywymi i społecznymi. Uczucie zmęczenia trwające co najmniej pół roku nie mija pomimo odpoczynku.

W zespole przewlekłego zmęczenia, muszą występować co najmniej cztery z objawów dodatkowych, takich jak ból gardła, powiększone węzły chłonne, bóle mięśniowe i stawowe, zaburzenia pamięci i koncentracji, nadmierna senność lub bezsenność. Po nocnym wypoczynku chorzy często budzą się niewyspani, z poczuciem, że są niemal tak samo zmęczeni, jak przed położeniem się spać. Wśród objawów wymieniane są też poczucie niepokoju oraz napięcia, osłabienie mięśni, bóle głowy, a także podwyższona temperatura.

W leczeniu stosuje się m.in. witaminę C, kwas foliowy, witaminę B12, magnez, cynk. Stosowane są także antydepresanty. Istotnym elementem leczenia jest psychoterapia. Dbałość o równowagę pomiędzy pracą a wypoczynkiem, codzienna aktywność ruchowa oraz stosowanie zdrowej diety mogą stanowić sposoby, które pozwolą zmniejszyć ryzyko wystąpienia CFS.

Choroba wdowia (zespół Kehrera) jest schorzeniem, które zwykle stanowi temat tabu. Dotyczy kobiet niezaspokojonych seksualnie, stąd kłopotliwe jest mówienie o niej. Podstawą tej dysfunkcji jest odczuwanie pobudzenia seksualnego bez możliwości jego całkowitego zaspokojenia. Potrzeby seksualne kobiet z zespołem Kehrera są prawidłowe, ale niemożność ich zaspokojenia wpływa bardzo negatywnie na psychikę. Problem dotyczy najczęściej młodych pań, ale także kobiet samotnych, wdów i tych bez partnerów.

Z tego powodu u kobiet zaczynają pojawiać się dokuczliwe schorzenia somatyczne w obrębie miednicy małej, które często nie zostają właściwie zdiagnozowane, powodując wieloletnie cierpienie.

Leczenie zespołu Kehrera jest różne w zależności od przyczyny tej dysfunkcji. Czasami wystarczy wyeliminowanie bezpośredniego powodu, np. powrót partnera po długiej rozłące, znalezienie nowego. Zdarza się jednak, że przyczyna choroby wdowiej jest bardziej złożona. Wówczas niezbędne może okazać się spotkanie z seksuologiem. Bardzo skuteczne mogą okazać się także terapie indywidualne dla samotnych kobiet lub tych w związkach, które nie są dla nich satysfakcjonujące.

Syndrom złamanego serca (choroba takotsubo) to choroba mięśnia sercowego często mylona z zawałem. Jej bardziej naukowa nazwa to zespół balotującego koniuszka albo zespół akinetycznego koniuszka (koniuszek serca to anatomiczna struktura stanowiąca część lewej komory). Jest to rzadka postać niewydolności mięśnia lewej komory serca, która przyjmuje w tym okresie kształt takotsubo, japońskiego naczynia posiadającego wąską szyjkę i szerokie dno, które służy do połowu ośmiornic.

Syndrom złamanego serca na pierwszy rzut oka bardzo przypomina zawał serca – występuje ból w klatce piersiowej, duszności, kołatanie serca, nudności, wymioty, omdlenie. Jednak po przeprowadzeniu badań okazuje się, że naczynia wieńcowe nie są dotknięte miażdżycą. Wszyscy pacjenci mają jednak pewną wspólną cechę – każdy z nich doświadczył, w ciągu ostatnich 2 dni silnego przeżycia emocjonalnego, takiego jak śmierć bliskiej osoby, utrata pracy, rozwód czy zawód miłosny.

Syndrom toksycznej matki. Toksyczna matka to kobieta, która została matką zazwyczaj

z powodu społecznych konwencji, a nie dlatego, że tego naprawdę chciała. Konsekwencje tej sytuacji odczuwa nie tylko ona, ale również jej dzieci. Ponieważ nie przyjmuje ona do końca swojej roli, może być odpychająca, zgorzkniała, może uciekać od obowiązków rodzicielskich. Jej dzieci cierpią, bo są przez nią obwiniane za jej poczucie nieszczęścia. W najcięższych przypadkach mogą cierpieć z powodu złego samopoczucia, manipulacji, krytyki, poniżania i okrutnego traktowania. Nie czują się kochane, nie są doceniane i mają niskie poczucie własnej wartości. Rzadko słyszą od swoich matek miłe słowa. Toksyczne matki mają tendencję do niezauważania sukcesów dziecka i nieustannego wytykania ich potknięć i porażek.

Syndrom poniedziałku (niedzielną nerwica, syndrom niedzielnego popołudnia) to nic innego jak lęk przed obowiązkami, które czekają w pracy po weekendzie. Osoba nim dotknięta już w niedzielny poranek stresuje się czy podoła zadaniom, zdąży oddać raport i jak potraktuje ją szef. W rezultacie nie odpoczywa, bo myślami jest w pracy. Towarzyszy temu frustracja, rozdrażnienie, pesymizm i zniechęcenie do wykonywania obowiązków zawodowych. Najczęstszymi przyczynami poniedziałkowej fobii jest przepracowanie i brak czasu na relaks, złe rozplanowanie obowiązków, stresująca atmosfera w pracy i trudne relacje między współpracownikami, a także wypalenie zawodowe.

Sposobem na uniknięcie syndromu poniedziałku jest rozdzielenie życia zawodowego od prywatnego. Czas wolny od pracy zarówno w weekendy, jak i w tygodniu, należy poświęcić na wypoczynek i regenerację.

Przedstawione jednostki chorobowe, przypadłości i fobie nie wyczerpują tematu. Mam takie ukryte marzenie. Marzy mi się jeszcze jeden syndrom. Jego objawy to zniecierpliwienie, podenerwowanie, złe samopoczucie, stany podgorączkowe, nerwowe spoglądanie w kalendarz i ciągłe sprawdzanie godziny, uporczywe chodzenie od ściany do ściany. Choroba jest przewlekła, ale objawy nasilają się mniej więcej co trzy miesiące. To **syndrom „Nestora”** polegający na niecierpliwym oczekiwaniu na kolejny numer naszego czasopisma. A może dopadł mnie **syndrom marzyciela?**

Wiesław Krajewski

Tadeusz Kiciński



Czterdziestka Czarnego Salcesonu

Gdyby to kość była
albo inny gnat
rozumiem starzeje się powoli
przez kilkadziesiąt lat
i czeka aż go ktoś wykopie
by stwierdził uczony
„ta kość jest po chłopie
przeleżał w ziemi 40 lat
to jest szmat czasu
a to jego gnat”.

A my czterdzieści lat z małym hakiem
w tym samym kolorze
i z podobnym smakiem
żywi i dryfujący na przybrzeżnej fali
humoru, inni dawno nam poodpływali
Cóż, niechętnie i dostojnie
plyniemy do brzegu
bez wielkich popisów
wyskakiwania w biegu
z gracją i jakimś powiedzmy
humorem.

Kabaret Czarny Salceson
ma czterdzieści lat
i jeszcze do ugryzienia
jeszcze nie suchy gnat



lotna brygada antykrzysowa

CZARNY SALCESON

RYTHM
SKA & ŁODIRIDI

WYDAWCA: WYDZIAŁ KULTURY I SPOŁECZNOŚCI
MIASTA ŁÓDZI



Jeden z pierwszych plakatów „Czarnego Salcesonu”,
rok 1982.



Ewa Sokolowska – urodziła się w Krasnymstawie. Jest absolwentką UMCS w Lublinie. Była nauczycielką krasnostawskich szkół, obecnie na emeryturze. Od 2015 roku realizuje swoją pasję w malarstwie. Należy do Stowarzyszenia Twórców Kultury „Paleta” w Krasnymstawie. Tutaj pod okiem malarki i pedagoga Bronisławy Żuk doskonali swój warsztat. Brała udział w plenerach malarskich i prezentowała swoje prace na lokalnych wystawach zbiorowych. Wiodące tematy jej prac to pejzaże, kwiaty i wątki religijne wzorowane na dziełach klasyków. Ulubioną techniką jest akryl na płótnie.





mal. Ewa Sokółowska